ZABAWKI
WIERSZEM POLSKIM.
PRZEZ
JOZEFA RZEWUSKIEGO
STAROSTĘ DROHOBYCKIEGO
GENERAŁA LEYTNANTA
WOYSK KORONNYCH.

Łepkowski

ROKU 1760.

w WARSZAWIE.
w Drukarni J. K. Mći y Rzpltey XX. *Scholarum Piarum.*

REGESTR ZABAWEK.

ZOŁKIEWSKI,

TRAGEDYA.

Wielmozny [illegible]

DO

J. O. XIĘZNY JMći

Z XIĄZĄT CZARTORYIŚKICH

LUBOMIRSKI

STRAŻNIKOWY WIELKIEY KORONNEY

JAgełłow z Oyca, wielu Wodzow z Matki,
 Krwią zacna; Cnot twych znacznieyſzá wyborem
Xiężno; co z Ciebie luſtr biorą Mężatki,
 Co ślicznym ieſteś Zon chwalebnych wzorem,
Co twa Pobożność, Piękność, y doſtatki
 Słyną, z Polſkiego narodu honorem,
Co Wuja mego uczyniłaś ſzczęście,
 Przez twe z wyrokow Niebieſkich zamęście.

PRzyim ten wierſz podły, a w Tragiczney Scenie,
Gdy niewidziany dotąd, Polak ſtawa,
Niech go twoy zaſzczyt, w ſzacunku y w cenie
Trzyma, niech ſłynie Zołkiewſkiego ſławá:
Jeźlić zaś moie choć niewdzięczne pienie,
Y ta do guſtu przypadnie zabawa,
A co wyświadczyć zechceſz, dla Sieſtrzeńca,
Ze mnie Młodziana, uczyń Nowożeńca.

ARGUMENT.

GRacyan, Hoſpodar Wołoſki, z Turkami, ktorym hołdował zniechęcony, ofiarował Zygmuntowi Trzeciemu Krolowi Polſkiemu, przyłączyć Wołoßczyznę do Rzeczypoſpolitey, byle Krol, zaßczycił go Woyſkiem przeciwko Turkom. Krol z Senatem rozkazał Zołkiewſkiemu. Wielkiemu, y Koniecpolſkiemu Polnemu, Hetmanom Koronnym, aby z Woyſkiem Polſkim do Wołoßczyzny wtargnęli, gdzie iuż zaſtali nierownie licznieyße Turkow y Tatarow ßyki. Hetmani, wiele zwycięzkich odporow, nieprzyiacielowi dali, aż naoſtatek Woyſko Polſkie uſtawicznemi utarczkami zmnieyßone, prawie wßyſtko pod Cecorą poległo, Hetman Wielki Zołkiewſki ścięty, Koniecpolſki Hetman Polny, w niewolą wzięty. Oſoby Praxedy y Salomei, Corek Gracyana Hoſpodara; także oſoby Złotopolſkiego wielkiego Rycerza na tey Woynie, y Tomſzy, ſą prawdziwe. Okropność tragedyi, uługodzić chciałem miłością Złotopolſkiego, z Praxedą Corką Gracyaną zaręczonego. Gniew zawziętey Salomei drugiey Corki Gracyana, tudzież zdrady Tomſzy, obraz ſerc złemi żądzami zepſowanych, wyſtawią oczom Czytelnika.

AKTOROWIE Y AKTORKI.

ZOŁKIEWSKI, Hetman Wielki Koronny.

KONIECPOLSKI, Hetman Polny Koronny.

PRAXEDA, Corka Gracyana, Hoſpodara Wołoſkiego.

SALOMEA, Sioſtra Praxedy.

ZŁOTOPOLSKI, Pułkownik Woyſk Polſkich, zaręczony z Praxedą.

TOMSZA, Pułkownik Woyſk Wołoſkich, ſtaraiący ſię o Salomeę.

Scena, ieſt w Obozie Polſkim, pod Cecorą na Wołoſzczyznie.

AKT PIERWSZY,

SCENA PIERWSZA.

ZŁOTOPOLSKI y PRAXEDA.

ZŁOTOPOLSKI.

Otrzyi z łez piękne oczy, y osusz zrzenice,
Przyrodzonym rumieńcem przyozdob twe lice:
Bog nam zdarzył zwycięstwo, Turczyn porażony
Z wielką klęską, w dalekie uszedł od nas strony.
Jak kurzawa, gdy wiatry zmiataią ią z ziemi,
Poszedł w rozsypkę Turczyn przed szyki Polskiemi:
A garstki bitnych ludzi zlększy się oręża,
Doznał, że nie gmin Woyska, lecz męstwo zwycięża.
Wątpię żeby się wrocił, y Kray twoy Wołoski,
Rozumiem, że oczyści z Turkow, wyrok Boski.
Lecz Praxedo, coż to iest proszę? coż się dzieie?
Ze gdy szczęście nad nasze sprzyia nam nadzieie,
Kiedy nad spodziewanie wszystko się nam darzy,
Smutek iakiś w twey ieszcze wydaie się twarzy?

Po-

PRAXEDA.

Powiem, bo ſerce moie, pewnie mię nie zdradza,
Gdy w tobie, ſame Cnoty, kochać mi doradza:
Więc z ufnością, mych troſkow zwierzę ci ſię tłumu,
Choć wiem, że ſłabość mego zganiſz mi rozumu.
Wſzyſtkoć wyiawię: wiedzże, że łzy moie kryię,
A żalami ſtrapiona, w ſmutku ledwie żyię,
Boię ſię o Oyczyznę, o Woyſko, o ſiebie,
Lecz bardziey niżli o mnie, boię ſię o Ciebie.

ZŁOTOPOLSKI.

Co ſłyſzę! mnie przekłada, nad ſiebie Praxeda?
Y ſwemi mnie to uſty, łaſkawie powieda?
Niechay umrę, niech u nog twych oſtatnie tchnienie
Złożę; a kontent poydę pod grobowe cienie!
Szczęśliwy, że ta będzie ma chluba y chwała,
Złotopolſkiemu, piękna Praxeda ſprzyiała.

PRAXEDA

Kocham twe cnoty, kocham w tobie Niebios dary,
Jm czynię winne ſerca moiego ofiary.
Wie Bog, y ty, iak od tey doby y godziny,
Ktorey z rąk Oyca danam tobie w zrękowiny;
Praxeda, wielkie twoie zważaiąc przymioty,
Ceni wſzyſtkie; nie kocha procz ſerca y cnoty.
Smielec mowię: bądź pewny, Praxeda nie płocha,
Twą urodę mniey waży, lecz męſtwo twe kocha.
Coć dziś wyznaie, wyzna na ſzlubnym kobiercu,
Jż innych żądz płci ſwoiey, nie zna w ſwoim ſercu,
Tylko miłość cnot twoich, ktorą w lubey parzę
Z Złotopolſkim, przed święte ponieść chce Ołtarze.
Toć z Tobą zaręczona Praxeda, nie błądzi,
Zeci ſprzyia tym ſercem, ktorym cnota rządzi.

Ale wrocmy ſię proſzę do pierwſzey rozmowy,
Boiazń moię krotkiemi opowiem ci ſłowy.
Sen ſtraſzny, w śrzod okropney nocy, widok ſrogi
Pokazawſzy mi, wielkiey nabawił mnie trwogi.
Widziałam, ach! trętwieię ze ſtrachu! y ieſzcze
Trwożą ſię zmyſły moie, przyſzłey klęſki wieſzcze;
Widziałam wprawdzie we ſnie, ale iak na iawie,
Naprzod iaki Iuſtr twoiey dziſiay przybył ſławie,
Widziałam, iakeś laurem piękne zdobiąc ſkronie,
Zwycięſtwo nad Turkami naſzey ziednał ſtronie.
Słyſzałam, iak twe męſtwo przed Polſkiemi ſzyki
Pochwały Wodzow, y Woyſk głoſiły okrzyki!
To ſię wyſniło: ale dalſze ſnu widoki,
Niechay od nas odwrocą Niebieſkie wyroki,
Y co ſię ma dziać z wami dziś, nim zachod ſłońca
Naſtąpi, żal mi nie da powiedzieć do końca.
Omdlewam, ſerce we mnie ze ſtrachu ſię wzruſza,
Smutek, płacz, ſłabość, na mnie milczenie wymuſza.

ZŁOTOPOLSKI.

Wdzięczne oczy, płeć piękney twarzy nad ſnieg bielſzą,
Orzyżw męſtwem Praxedo, y pokaż ſię ſmielſzą.
Cały świat ze mną trzyma, że ſen płonna mara,
Nie wart, by mu u ciebie była dana wiara.
Ty ktoraś ieſt płci twoiey ozdobą naywiękſzą,
Nie bądź nad inſze Damy trwozliwſzą y miękſzą.
Doſkonałość tak wielką, rozſądek tak cudny,
Czyż powinien zatrwożyć ieden ſen obłudny?
To ſerce, ktorym rozum twoy rządzi tak pięknie,
Gdy go na pomoc weźmieſz, czyliż ſię ſnu zlęknie?

PRAXEDA.

Ach! bodayby to był ſen obłudny y płonny,
Bodayby nie był wyrok Niebios nieuchronny.

Bodaybym ia tę klęſkę mą głową zaległa,
A Ciebie prędſzym krokiem do śmierci ubiegła.
Widziałam, ach truchleię! alić zgraia liczna,
Y gmin naſzych, ... omdlewam!

Z Ł O T O P O L S K I.

Już Praxedo ſliczna,
Zwycięż cnotą ſtrach płonny, dokończ ſnu powieści,
Pokaż ſerce mężnieyſze nad umyſł niewieści.

P R A X E D A.

Dokończę, bo twa wola wiele u mnie może.
Ty, ſen ſtraſzliwy w radość przemień wielki Boże!
Widziałam Woyſka Polſkie, że z hukiem y wrzawą,
Ruſzaiąc ſię, ſwoy oboz zacmiły kurzawą,
Tak, że z za podnieſionych chmurami tumanow,
Długom nie mogła widzieć Pułkow ni Hetmanow.
Dopiero iak proch opadł, gdym rzuciła okiem
Na Oboz, ztworzyłam ſię okropnym widokiem,
Ze Woyſko, ktoremu Bog dziś rano tak ſzczęści,
Zmnieyſzyło ſię do czwartey liczby ſwoiey części.
Garſtka was pozoſtała wprzod umrzeć ochotna,
Niźli by ią ſkaziła ucieczka ſromotna.
Wtym ſpoyrzę, alić ſmutnych ſępow wielka zgraia,
Siada od ſzykow waſzych na dwie lub trzy ſtaia.
Daley patrzę, aż widzę złego wieſzcza kruka,
Ze ſię u Hetmańſkiego zawieſza buńczuka.
Wtym ſłyſzę głos twoy temi budzący mię ſłowy:
Oſtatek ſnu zawiera wyrok naſz ſurowy.
Praxedo; otworz ze ſnu okropnego oczy,
Dziś w wieczor, twa zrzenica wiele łez wytoczy.
Natychmiaſt ocknełam ſię z przeſtrachem y z drzeniem,
Folgę ſercu wylanym czyniąc łez ſtrumieniem.

ZŁO-

ZŁOTOPOLSKI.

Niech ſię mężne twe ſerce płonnym ſnem nie trwoży,
Nie ſen los naſz ukaże, ale wyrok Boży.
Często ſię myli iaſnym okiem patrąc człowiek,
Jak że ſię nie ma mylić wzrok zamkniętych powiek?
Słowem; o przyſzłey Boga łaſce, albo gniewię,
Nikt z nas, nie tylko przez ſen, lecz na iawie nie wie.
Wierzmy Praxedo, że ſnu twego płonna trwoga,
A czekaymy wyrokow naſzych z ręki Boga.

PRAXEDA

Wielki Boże! uſpokoy ſnu mego przeſtrachy,
Y ſtrzymay nam grożące twey ręki zamachy.
A iezli Woyſka naſze ſtaczać będą bitwy
Przyim za niemi niegodne łzy me, y modlitwy.

SCENA DRUGA.

ZŁOTOPOLSKI, ZOŁKIEWSKI, y KONIECPOLSKI.

ZOŁKIEWSKI.

Wybacz proſzę, żem przerwał, ſchodzące tak mile,
Z twą Praxedą ſwobodne, dwoch pięknych ſerc chwile,
Winſzuię ci, że twoie, rownym ſzczęściem gości,
Y w cudnych męſtwa dziełach, y w ſłodkiey miłości.
Waleczny twey odwadze, Hetman z Woyſkiem przyzna,
Ze dziſieyſze zwycięſtwo winna ci Oyczyzna.
A piękna twa Praxeda biorąc cię za męża,
Swiadczy, że cnot twych miłość, iey ſerce zwycięża.

ZŁOTOPOLSKI.

Wielki Wodzu, tyś wygrał bitwę, nie ia, ani
Ten zwycięża, kto służy, lecz ten kto hetmani.
Dość mam honoru, że mi pomieścic się zdarza,
Pod władzą tak sławnego krwi Polskiey szafarza.
W Wołoszech na połudnìu, w Moskwie na pułnocy,
Polak słynie zwycięztwem, twey władzy y mocy.
Car wzięty na Stolicy, laur uwił twey głowie:
Y w Stambule z Cesarzem niech drzą Janczarowie.

KONIECPOLSKI.

Waleczna dzielność twoia, y wielkie twe męstwo,
Ziednały dziś Oyczyznie, y Woysku zwycięstwo.
Day Boże, aby prędko przyszła czasu doba,
Gdy na Seymie Hetmani pochwalą cię oba.
Ta, ktorąś dziś pokazał, rycerska odwaga,
Niechay się coraz bardziey, y wsławia y wzmaga.
Bodayby się rodzili tak mężni, y tacy
Jak ty, ludzie; a będą zwyciężać Polacy.

ZŁOTOPOLSKI.

Pochwały Wodzow, ziednać sobie, krwi okupem
W boiu mężnie stawaiąc, w oczach ich paść trupem,
Powołanie iest nasze; a krwawą śmierć niczym,
U nas zowiemy, tylko za powinność liczym.
Jezli nam Bog zwycięztwo zdarzy, to w tey mierze,
Nie my, lecz Wodz, z wygraney lustr naypierwszy bierze,
Jego są nasze czyny, należy mu zgoła
Woysk, ktorym on hetmani, śmierć, krew, y pot czoła.
Gdybym tylko mogł na ich roskazy bydź zdolny!
Teraz odchodzę; Wodzom zostawiam czas wolny.

SCE-

SCENA TRZECIA.

ZOŁKIEWSKI y KONIECPOLSKI.

ZOŁKIEWSKI.

Kochany moy Kollego, y ty ieden z wielu
Naypodufalfzy w życiu moim Przyiacielu.
Niech mi fię ieſzcze godzi kochać cię iak Zięcia,
Choć ma Corka, twa Zona, zeſzła bez dziecięcia;
Tobie ferce, otworzę, tobie poufale
Wyiawię y wynurzę taiemne me żale.
Aby, kiedy dokonam y życia y doli,
Strzegłeś fię na mym ſtopniu, tego, co mnie boli.
Od młodości do białey woiuiąc ſiwizny,
Z razu nic w zyſkum nie miał, tylko krew y blizny.
Potym, ſzczęście, przez wſzyſtkie, prowadząc mnie ſtopnie,
Sprawdziło, że honorow Cnota z czaſem dopnie,
Jezlim żaś wart Buławy, ieżlim wart Pieczęci,
Swiądczą, Stolica, Państwo, Woyſko y Car wzięci.
Coż potym? gdy w tey zaſług mych y ſzczęścia porze,
Prawdą fię nie obłudą rządziłem przy Dworze,
A żem miał uſta z fercem, ferce zgodne z cnotą,
Rzetelność moię zwano niebaczną proſtotą.
J z niey, w ſwych ſztucznych działach, boiąc fię zawady,
Sprzyfięgli na mą zgubę knowali mi zdrady.
Bo widząc, że fię z fałſzem nie mogę polubić,
Niżbym im miał przeſzkadzać, woleli mię zgubić.
Przyſzedł czas, w ktorym moich nieprzyiacioł ſztuka,
Nie bez nadziei ſkutku, klęſki moiey ſzuka,
Kſztałtnemi ſpoſobami, namowiwſzy Pana,
Aby niechcący ſtracił Woyſko y Hetmana.
Kazał mi Krol y Senat, z Polſki mi ſzeregi,
Graniczące z Turkami przebyć Dnieſtru brzegi,

Pod-

Poddaiącą się Polszcze obiąć Wołoszczyznę,
A tak obszernym Xięstwem powiększyć Oyczyznę.
Odpisałem, Stambulskie przyłączywszy listy,
Prawdziwych wiadomości dowod oczywisty,
Ze w stu tysięcy Turkow Skinder Pasza ciągnie
Do Wołoch, y to Państwo przed nami osiągnie.
Ze choć sobie naylepiey pocznę y poradzę,
To ledwie pięć Tysięcy w pole wyprowadzę.
Ze Hospodar nas płonną obietnicą łudzi,
Ze do boiu y tysiąc nie będzie miał ludzi.
Ze kto radzi, porwać się z nierownemi siły
Na Turkow, ten chce z Woyska usypać mogiły.
Taką Krolowi dawszy radę y przestrogę,
Wyraziłem, że z Woyskiem za Dniestr iść nie mogę,
Ze mi nie rzecz, krew Braci darmo lać y trwonić;
Bo czymże bym miał potym granic Polskich bronić?
Ale mię sztuczne rady przemogły u Dworu,
Obłudnym swoim zdaniom, dawszy lustr pozoru.
Udano mię, że Pańskie za nic mam rozkazy,
Y że Krol czuć powinien tak wielkie urazy.
Więc napisał powtornie, surowo y groźno,
Ze ufa, iż mu będę posłusznym, choć poźno.
Ze gdy Krol każe, Senat gdy radzi uprzeymie,
Jesli ich nie posłucham, odpowiem na Seymie.
Naostatek, Krol do mnie, tak skończył list długi:
Na dowod twey miłości, żądam tey posługi.
Cożem miał czynić? tylko oddać Woyska dolę,
Naprzod na Boską, potym na Krolewską wolę.
Przyszedłem tu, a chociaż zwycięztwo dzisieysze
Oświadcza nam, wyroki Niebios przychylnieysze:
Jednakże, z niezliczonym codzień walcząc ludem.
Nie możemy, ztąd wynieść życia, chyba cudem.
Powiedz mi w tym, twe zdanie, a Woysko z tey toni
Wyrwiy, mocą twey rady, dzielności, y broni.

Ja tu zginę, nie Turkow ręką, ale braci,
Ktorych ſztuczna zawziętość, mnie y Woyſko traci.
Znał mię Swiat ſławnym Cara zwycięzcą: a przecie
Zwyciężony zostałem, w Polſkim Kabinecie.
Jam nieprzyiacioł znoſił, ſzablą w krwawym boiu,
Mnie ſztuczna rada piorem zabiia w pokoiu.

KONIECPOLSKI.

Oycem mym zawſze będzieſz, choć z Niebios wyroku,
Y iednego z twą corką, nie mieſzkałem roku,
Łzy me, cnotom iey winne, ſą mym świadkiem iawnym,
Zem twoy Zięć, zniewolony obowiązkiem dawnym.
Bo drugą wziąwſzy Zonę, choć ią kocham z duſzy,
Po pierwſzey, oko moie, z łez ſię nie oſuſzy.
Do tego, zwyczay nieſie, w tym narodzie wolnym,
Ażeby ſię kochali, Hetman Wielki, z Polnym,
Jak Ociec z Synem; a w tey ſerc y myſli zgodzie,
Stawali przy Oyczyſtych Prawach, y ſwobodzie.
Więc iak Syn z Oycem, mowić będę, a me zdanie
Powiem ci wiernie, w naſzym nieſzczęśliwym ſtanie.
Już ſię ſtało, przez ſztuki, y przemyſły bratnie,
Ześmy wpadli Tatarſkim gminom niby w matnie.
Ale Bog, y Zołkiewſki, częſte dał dowody,
Ze z więkſzych niebeſpieczeńſtw, wyſzliśmy bez ſzkody.
A kiedy ręka Boſka, dzwigneła nas nie raz,
Ufam mocno, że nie da, zaginąć nam teraz.
Jle, że nieprzyiaciel, porażony znacznie,
Nie tak łatwo, utarczki nowe, z nami zacznie.
Bliſkośmy też iuż Dnieſtru, a pewnie go za nic
Mielibyśmy, przyſzedłſzy do Oyczyſtych granic:
Do ktorych, w oczach moich, za twoim rozkazem,
Ruſzyło ſię iuż Woyſko, y Tabory razem.
Tabor tak umocniłem, y gęſto y ludno,
Ze nieprzyiacielowi przerwać by go trudno.

Dotąd

Dotąd też tłum Turecki, Woyſka nie uſtraſza:
Potrafi mu dać odpor, Bog, y ſzabla naſza.
Ja radzę bić ſię mężnie, a co nam Bog ſądzi,
Mile przyiąć, on dolą y loſem Woyſk rządzi,
Tak znieſie gmin Turecki, iak zniosł gmin Moſkiewſki,
Wielki Bog Oycow naſzych, y wielki Zołkiewſki.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA,

SALOMEA y PRAXEDA.

SALOMEA.

Gdy luſtr nowy przybywa, z zwycieżkiego wieńca,
Skroniom zaręczonego z Praxedą Młodzieńca:
Kiedy twoy Złotopolſki męſtwem ſłynie wſzędzie,
Pomieść Praxedo, Sioſtrę, w winſzuiących rzędzie.
Do urody, y pięknych przymiotow Oſoby,
Sława y dzielność, wiele przydaią ozdoby:
Złotopolſkiemu, wſzyſtkie zamyſły ſię wiodą,
Męſtwem Turkow zwyciężył, Praxedę urodą.

PRAXEDA.

Wierz mi Sioſtro, że ſercu memu pochop ſłaby,
Do kochania go, wſzyſtkie ſą iego powaby,
Cnotę Złotopolſkiego, ſzacuie Praxeda,
Urodzie iego dotąd, żadnych pochwał nie da;
Wie iakie ſą w Panieńſkim powinności ſtanie,
Wie ſwoiey obowiązki płci: a pomniąc na nie,
Nie zna, iakim ſię ogniem, miłość w ſercu zarzy,
Kiedy ią wznieca piękność, y miły wdzięk twarzy.

SALO-

SALOMEA.

Aniołow taka miłość ieſt, ſerce zaś ludzi,
Z Cnotą ſię bez piękności, y ztęſkni y znudzi.
Nie poludzku Praxedo, kochać byś ſię chciała,
Tak w Cnocie bez urody, iak w Duſzy bez ciała.

PRAXEDA.

Wybacz Sioſtro, że w ſerca moiego proſtocie,
Nieumiem ſię inaczey kochać, tylko w cnocie.
Znać, że twoy umyſł kunſztu miłości świadomſzy,
Kochaiącemu, lepiey umie, ſprzyiać Tomſzy.
My, iak Sioſtry, wzaiemnie kochaymy ſię obie,
A ſercem, podług woli naſzey, rządźmy ſobie.

SCENA DRUGA.

SALOMEA SAMA.

Uſtom mym, co cię ganią, ſerce ſię ſprzeciwia,
Y nad twemi ſię Sioſtro, cnotami zadziwia.
Bodaybym ia, wſtępuiąc w piękne twoie ſlady,
Brała z twych obyczaiow, chwalebne przykłady:
A poddaiąc me ſerce, pod rządy rozumu,
Nieznała żądz naciſku, namiętności tłumu.
Wiem, że gdzie piękność rządzi affektem, tam ſnadnie,
Serce rozumem, a nie rozum ſercem władnie.
Taki zaś, nam nie może bydź, tylko Tyranem,
Co, ſługą naſzym bywſzy, ſtanie ſię nam Panem.
Nieſzczęśliwa! iakiey dziś koſztuię goryczy,
Rozum moy to nagania, czego ſerce życzy.
A ia, żądzom obłudnym, daiąc ſię uwodzić,
Nieumiem, ſerca mego, z rozumem pogodzić.
Serce moie, pozorne daie mi przyczyny,
Ze Sioſtry, z Złotopolſkim, ſpełzną zaręczyny,

Ze iey affekt, ku niemu, coraz bardziey ſtygnie,
Ze ſię tey oziębłości, Złotopolſki wzdrygnie;
Ze nikt nie zgadnie, w ſercu iego, miłość czyia
Przeważa, y czy Sioſtrze, czy mnie bardziey ſprzyia.
Bo kiedy, chwilę iaką czaſu, trawi u mnie,
Twierdzi, żem piękna, że go zabawiam rozumnie.
Jeżeli go zaś Sioſtra, od ſiebie odrazi,
Kochaiąc go me ſerce, cnoty ſwey nie ſkazi.
Z drugiey ſtrony, moy rozum, groźny y ſurowy,
Każe mi targać, pierwſze miłości oſnowy:
Przeſtrzega, że iak affekt raz ſię wkradnie w ſerce,
Prętko, płomień po małey wybuchnie iſkierce,
Ktory ſię, bardzo trudno, tłumi y ugaſza,
Y czaſem go zaleią łzy, czaſem krew naſza.
Jak ow nieſzczęſny ptaſzek, gdy padnie na lepie,
Chcąc wyiść z więzow, darmo ſię ſkrzydełkami trzepie;
Chociaż mu ſię gałązka, y poda y nagnie,
Nie wyzwoli ſię z więzow, z ktorych wyniść pragnie.
Tak gdy miłość, piękności, rzuci nam ponęty,
Uśidlonych krępuie, więzami y pęty.
A iako ſtrzały maiąc, tak y ſerce z ſtali,
Nigdy ſię nad więźniami ſwemi nie użali.
Ale tu Złotopolſki, wielkim krokiem śpieſzy,
Rozmowa z nim, zaſmuci mię, albo pocieſzy.
Będę z nim prowadziła dyſkurs, tak układnie,
Ze ſkrytość ſerca iego, Salomea zgadnie.
Jeśli do mnie nakłania, affekt ſwoy, y żądzę,
Sercu nie rozumowi, wygraną przyſądzę.
Jeżeli zaś, w miłości Praxedy, ieſt ſtały,
Powiem, że rozum wygrał, żądze me przegrały.

SCENA TRZECIA.

SALOMEA y ZŁOTOPOLSKI.

SALOMEA.

Gdy twe zwycięſtwo, głowy naſze, ubeſpiecza,
Od dobytego na nie, Tureckiego miecza;
Gdy Wodz, y Woyſko chwali, twe Rycerſkie cnoty,
Racz domieścić, w twych pochwał gminie, głos ſieroty.
Dawno winny ſzacunek wſpaniałey twey duſzy,
Przynioſła mi twa ſława, do ſerca przez uſzy;
Ale ſtan moy mi radził, ſzacować cię ſkrycie,
Dziś, iawnie chwalę tego, ktory mi dał życie.
Dzielność twą, Panie, w Kraiach naſzych, będzie co dzień
Wielbić y czcić mieſzkaniec, a chwalić przychodzień:
Rozniosą Wołochowie, po między Narody
Jmie, dawcy nam życia, ſławy, y ſwobody.

ZŁOTOPOLSKI.

Na tak wielkie, z tak zacney Damy uſt, pochwały,
Mieſzam ſię, zbytkiem ſzczęścia mego, zadumiały;
Tłumią ſię podziwieniem, myśli me y ſłowa,
Y wſzyſtka dziękczynienia, rwie mi ſię oſnowa.
Wyſokie Urodzenie piękney Salomei,
Mieści ią, z Xiężniczkami, w rzędzie y w kolei,
A Damy, tak iak ona, y śliczne y zacne,
Do pochwał Krolow ſamych, nie bywaią łacne;
Tak wielkiey czci y łaſki, nigdy ia nie wartem,
Proſzę, niech mi ſię godzi, zwać ią pięknym żartem.

SALOMEA.

Uſta mam z ſercem zgodne, y myśl ma nie inna.
Tylko, żem ci y wolność, y życie me winna.

Zaden czas, mey wdzięczności, granic nie okryśli,
Ktora do śmierci będzie, trwać w sercu y w myśli.
Winnam te obowiązki, twey Rycerskiey cnocie,
Boś życie ubespieczył, łzy otarł sierocie.
Y przyznam ci się, że się kłucę, z moią Siostrą,
Czemu tak iest dla ciebie, surową y ostrą;
Czemu Praxeda, swego nie szanuiąc szczęścia,
Nie czuie, iaki honor czeka ią z zamęścia;
Jakby nie zaręczona, surowe swe oko,
W ostrey z tobą postaci, nosi zbyt wysoko;
A fochom, daiąc imie, cnoty swey niebaczney,
Nigdy ci swey miłości, nie pokaże znaczney.
Mnie nawet powiedziała, że dla twey urody,
Nie straciłaby, serca y życia swobody:
Ze nie twoia Osoba, lecz tylko twe cnoty,
Dodadzą iey do ślubu, serca y ochoty.
A łatwo się każdemu, domyślić z tey miary,
Ze rozumu, nie serca, czyni ci ofiary,

ZŁOTOPOLSKI.

Co dzień się uczę cnoty, y korzystam wiele
Z Praxedy, co ma piękną Duszę, w pięknym ciele.
Usta iey, sprawiedliwy ten wyrok wydały,
Ze cnocie, przed pięknością, należą pochwały.
Y o tych dwoch przymiotach, powiem złote słowa
Praxedy, ktore pamięć moia, w sercu chowa:
Piękność, iest z gliny posąg, rumiany y biały,
A cnota przymiot Duszy, ktorą Nieba dały.
Drzewka, kwiatki, y ziołka piękne, ziemia rodzi:
Szczegulnie ludziom, zwać się cnotliwemi godzi.
Tak wyborna nauka, z ust Praxedy płynie,
Ktora rownie y cnotą, y pięknością słynie.
Co się mnie tycze; mogę wyznać poufale,
Zem się nigdy, nie uniosł pychą, tak zuchwale,

Ani mi nigdy dotąd, nieprzyfzła myśl pufta,
Zeby śliczney Praxedy, chwaliły mię ufta,
Nigdym tego niegodzien, dość mam fzczęścia, że mi
Godzi fię, do niey wzdychać; iuż mam Ray na ziemi.
Poki zaś, dopełniaiąc fzczęśliwey mey doli,
BOG mi z Praxedą śluby, przyfiądz nie pozwoli,
Ty zacna Salomeo, coć umyfł wfpaniały;
Z pięknieyfzą Dufzą, w śliczne ciało, Nieba wlały,
Jeśli by mi fię kiedy ftawiła furowo
Praxeda; racz mi u niey, dawać dobre fłowo.

SCENA CZWARTA.

SALOMEA SAMA.

Rozumiem cię, że fztucznym, y układnym kfztałtem,
Chwaląc mię, fłow dobierafz, przymufzonych gwałtem;
Ze gdy rozum twoy, wzgardę mą, w fercu fwym dusi,
Język mi piękność przyznać, poniewolnie musi.
Ale doznafz, co miłość pogardzona umi!
Gdy fię w gniew przemieniwfzy, affekt złością tłumi;
Co pod płafzczykiem cnoty, nofifz umyfł hardy,
Przypłacifz Złotopolfki, śmiercią twą mey wzgardy.
Niżli fię fłońce fpuści, niżli ten dzień minie:
Złotopolfki, a przy nim Woyfko Polfkie zginie!
Wytnie ie miecz Turecki, nie uydzie go noga,
Wygubi go, y klęfka ftrafzna, y śmierć froga.
Jak piana, ten gmin ludzi, znifzczeie y zniknie,
Kiedy na niego, gniew moy, z Turczynem fię fpiknie.
Ten, co nad Woyfkiem Polfkim, z Tatarami wiśi
Kantymir, z chytrym Tomfzą, co ma umyfł liśi,
Gdy fię przez moie fztuki, zniofą y ziednoczą,
Na pomftę wzgardy moiey, krew Polfką wytoczą.
Ale tu, prędkim do mnie, Tomfza fpiefzy krokiem,
Przymufzę fię, łafkawym przyimuiąc go okiem

Do

Do zemſty go zagrzeią, mey miłości ognie;
Jeśli mi ſię nie poda, to pewnie ſię pognie,
Poki przez iego zdrady, Polakow nie zgubię;
Językowi rozkażę ſkłamać, że go lubię.
A po uſłudze, zbrodnie iego, mu ochydzę,
Powiem, że zdradę kocham, a zdraycą ſię brzydzę!

SCENA PIĄTA.

SALOMEA y TOMSZA.

TOMSZA.

Miłość mię Salomeo, do Ciebie prowadzi,
Serce, u nog twych klęczyć, y wzdychać mi radzi;
A złączonym affektem, życzą mi oboie,
Bym ſtatecznie kochaiąc, znoſił wzgardy twoie.
Skarzęć ſię na moy rozum, że bardzo wykracza,
Gdy zwątpiwſzy, o łaſce twey, w żalach rozpacza,
Niebaczny; że nadludzka piękność Salomei,
Godna, aby ią kochać, bez żadney nadziei.
A ten, kto ſurowością twoią ſię odraża,
Nie ma oczu, albo twych wdziękow nie uważa.

SALOMEA.

Dziś z ſercem Salomei, nierownie znaiomſza,
Y grzeczniey ſza, niż przed tym, ieſt twa miłość, Tomſza.
Dwa ſerca, częſto z ſobą, idą na wytrwaną,
A kto nie ſchodzi z placu, ma ten w poł wygraną.
Miłość, choć nam ſię oſtro ſtawi, to pochwili,
Tym co ich doświadczała, wdzięcznie ſię przymili.
Skrzydlaſty chłopiec, długo z ſercami ſię drażni,
Pierwey, niżli ſię z niemi, ſtatecznie ſprzyiaźni,

TOM-

TOMSZA.

Zycie mi daie, gdy ſię nademną użala
Salomea, y gniew ſwoy od Tomſzy oddala;
A rozpacz moią cieſząc, łaſk ſwoich nadzieią,
Łzy ociera, ktore ſię, z oczu moich leią.
Czy mogłbym ſię ſpodziewać, z czaſem y powoli,
Ze do piękności ſwoiey wzdychać mi pozwoli?
Bo nad śmiertelnych dolą, Tomſzę uſzczęśliwi,
Gdy ſię w tym, ſerca iego żądzom, nie ſprzeciwi.

SALOMEA.

Miłość męſzczyzn, ſłomianym ogniem w ſercach świeci,
Prędko waſz płomień zgaſnie, choć ſię prędko wznieci.
Doſkonalſze w affektach, celuią was Damy,
W prawdzie nie łatwo, ale ſtatecznie kochamy.
Chcemy w przod ſerc doświadczyć, przez rożne ſpoſoby,
Potym ie oſzacować, iakiey też ſą proby.
Chcemy wiedzieć, czy ſerce waſze nieobłudne,
Przyieło by, rozkazy naſze, choć też trudne.
Mienicie ſię; nam wiecznych obowiązkow dłużni,
Chcemy obaczyć, iak nam, ieſteście uſłużni.
A doświadczaiąc ſerca, czy nas kocha wiernie,
Podobne pięknym rożom, mamy naſze ciernie.

TOMSZA.

Ah! gdybyś chcąc mię ſwemi, uczcić rozkazami,
Choć raz na mnie ślicznemi, ſkineła oczami.
Czuiąc w mym ſercu, twoiey miłości zapały,
Chętnie poſzedłbym oślep, na miecze, na ſtrzały.

SALOMEA.

Obaczę. Naprzod ſekret, powierzam ci wielki.
Wieſz; że choć nie mam Oyca, nie mam Rodzicielki.

Cho-

Chociaż po cudzych kątach, tułam ſię ſierota,
Jeſt iednak we mnie, Przodkow mych, ſerce y cnota.
A pamiętna, że z nacznych Xiążąt Greckich idę,
Wſpaniałą myślą cieſzę mą nędzę y bidę.
Ociec moy, obietnicom Polſkim, gdy dowierza,
Niebaczny, w nieſzczęśliwe w ſzedł z niemi przymierza;
Bo prędſze, Woyſk Tureckich, niż Polſkich przybycie
Sprawiło, że utracił, y Pańſtwo y życie.
A zgubiwſzy nieſzczęſny, Oyczyznę y ziomkow,
Zarobił, na nie dobre Jmie, u potomkow.
Pomniſz, owe wſpaniałe Zamki y Kościoły?
Obrociły ſię teraz, w prochy y popioły.
Patrz na zabite naſzych Wołochow tyſiące,
Spoyrzyi, na krwi twych Braci, ſtrumienie płynące,
Na Miaſta, ktore ſzabla Turecka, wycieła:
Przymierza z Polakami, ſą to ſmutne dzieła.
Niechay pomſta wſpaniała, twe ſerce zapali,
Zgub Polakow, ktorzy nas, w tę klęſkę wplątali.
Znieś ſię z Turczynem, Polſkie wydaway mu rady,
Potym, złącz z nim twe Pułki, y dokonay zdrady.
Pierwey, bądź wraz z Turczynem, Polakow morderca,
Dopiero, będzieſz' pewnym Salomei ſerca.

TOMSZA.

Czegoż bym nie uczynił, na twoie rozkazy?
W ogień, na śmierć, na męki, poſzedłbym ſto razy.
Poprzyſięgam, na piękne Salomei oczy,
Że w krotce, Woyſko Polſkie, krwią ſię ſwoią zbroczy,
Coś rzekła, ieſt w robocie, owſzem iuż ſię ſtało,
A ſzczęście myśli twoie, uprzedzić mi dało,
Bo dziś, y wiele razy, przez taiemne Poſły,
Skryte Polakow rady, Turkom ſię donioſły.
Nie minie trzy godziny, a potężnym ſzturmem,
Tatarowie, na Polſki Tabor, natrą hurmem.

W teź

W też tropy nastąpiwszy, Skinder Pasza szypki,
Złamie Tabor, przymusi Woysko, do rozsypki.
Ja znacznieyszych Polakow, skłucę, y powadzę,
Potym ich z memi Pułki, odstąpię y zdradzę.
Ciebie z sobą uwiozę, a skutkiem pokażę,
Jak twe skinienia, iak twoy rozkaz, sobie ważę.

SALOMEA.

Upewniam cię, że iak się to, coś przyrzekł stanie,
Nadgrodą twą, me będzie serce, y kochanie.

AKT TRZECI

SCENA PIERWSZA.

TOMSZA, ZOŁKIEWSKI, KONIECPOLSKI.

TOMSZA.

POmyślne wam Wodzowie, donoszę nowiny,
Skinder Pasza, w Multańskie umknął się krainy,
Zabitych swych rachuie, rannych swoich goi,
A odtąd, szabli Polskiey, doświadczać się boi.
Kantymir z Tatarami, maiaczy z daleka,
O staie na nas natrze, o dziesięć ucieka.
Rozumie biedny, że nas strászy, albo drażni,
A on godnieyszy śmiechu, niżeli boiaźni.
W tym momencie, wiadomość mam, od moich szpiegow,
Ze poprzestanie, swoich Kantymir zabiegow;
Ze Tátar, przykrzy sobie trud dzienny y nocny,
Ze zwątpił, aby przerwać mogł, Tabor tak mocny.

A gdy pomyślne ſzczęście, Woyſkom Polſkim ſłuży,
Ja radzę, niech naſz Zołnierz, trudem ſię nie nuży.
Niech, choć ieden dzień ſpocznie, niechay ciężkie zbroie
Zdyimie, á z czoł zwycięzkich, niechay otrze znoie;
W czaſie potrzeby, będą zdolnieyſi do pracy,
Gdy z wytchnienia, nabiorą ſił, mężni Polacy.

KONIECPOLSKI.

Ja radzę, niechay Zołnierz naſz, nie zſiada z konia,
Kopijnik, niech z żelaza, nie obnaża ſkronia;
Niech ſtraſzy Turkow, błyſzcząc w zbroi, czy w ſzyſzaku,
Niech iazda naſza, trzyma ſzablę, na temblaku;
Niech konia, z rąk nieſpuſzcza maſztalerz oſtrożny;
Woznica, niech ma w ręku drągi, kucharz rożny;
Niech bazarnica nawet, kij trzyma przy wozie,
Niechay, y bab boią ſię Turcy, w tym Obozie.
Doznał Turczyn, y Tatar w boiu niedołężny,
Jak Polak, pod Zołkiewſkim, bitny ieſt y mężny.
Niech ieſzcze, y to wiedzą, w Krymie y w Stambule,
Ze zwyciężaiąc mężnie, obozuiem czule.
Nigdy pilna oſtrożność, w Woyſku nie zawadzi,
Rozumiem, że nie błądzi, ktokolwiek ią radzi.
A kto nieprzyiacielem gardzi, ten nie zyſka,
Bo ſzczęście zwykło rożne, wyprawiać igrzyſka.
Czy raz, na nas Turecka potęga natarła?
Zawſze ią, czuła dzielność Polakow odparła.
Wytrwaymy w niey do końca, a do Dnieſtru biegu,
Dochodzący, ſtrzeżmy ſię, tonienia u brzegu.
Tak, Hetman Wielki kazał, tak mu radził Polny,
Tak zwykł woiować Narod waleczny y wolny.

ZOŁKIEWSKI.

Zartuie mężny Tomſza, gdy nam w ſamym boiu,
Spocząć życzy, y czoło radzi otrzeć z znoiu.

Woy-

Woyſko to, co w zwycięztwach, zſtarzało y zroſło,
Nigdyby tey ſromoty, na ſobie nie znioſło,
Ma zwyczay, że zmorzone ſnem, w rynſztunku zaśnie,
A wczas ma podczas Woyny, za żarty y baśnie.
Zołnierz, co pod moiemi, mężnie ſłuży znaki,
W Pokoiu tylko, ſkłada zbroie, y ſzyſzaki;
A gdy ſię bić potrzeba, wczaſować ſię wſtydzi,
W pracy ſię kocha, podłą wygodą ſię brzydzi.
Czułość ſądzi bydź znakiem Rycerſkiego ducha;
A gnuſne beśpieczeńſtwo, przymiotem leniucha.
Wola ieſt moia; aby me, y twe ſzeregi,
W ſzyku ſtały, y mego ſłuchali kollegi,
On, podług ſwego zdania, gdy na Woyſko ſkinie,
Niech mu będąc poſłuſzne, zwycięża, lub ginie.

SCENA DRUGA.

ZOŁKIEWSKI y KONIECPOLSKI.

KONIECPOLSKI.

NIe poſądzam ia Tomſzę, ale iego rady
Czynią mi podeyrzenie, ſkrytey w ſercu zdrady.
Zważ proſzę Wielki Wodzu, co te zdanie znaczy?
Spocząć Woyſku? gdy nad nim, Kantymir maiaczy.
Bydź w nieczynności? kiedy wkoło, liczne Ordy
Gotuią Woyſku klęſki, zaboyſtwa, y mordy.
Y gdy iuż Dnieſtru, prawie widziemy, brzeg bliſki,
Oſtatni ten, niebacznie uczynić, krok śliſki.
Czemu raczey, w Oyczyźnie, za Dnieſtru przeprawą,
Nie radzi, z beśpieczeńſtwem, ſpocząć nam, y z ſławą?
Ja rozumiem, że Tomſza, w przepaść nas prowadzi,
Ze zdrady knuie, kiedy Woyſku ſpocząć radzi.
Wiem y to, że dziś Tomſza, z Woyſkiem wſzyſtko ſzepcze,
Z Pułku do Pułku chodząc, po Obozie depcze.

Co godzina, do Ordy wyſyła, ſwych ſzpiegow,
Ktorzy ſię nie wracaią, do naſzych ſzeregow.
Z takich okoliczności, wſzyſtko mi ſię zdaie,
Ze twe taiemne rady, Tatarom wydaie.
Strzeżmy ſię, czy nie zdradza, obłudnie y chytrze:
Patrzmy na chmury, poki, Niebo ſię nie wytrze.

ZOŁKIEWSKI.

Dawno, o to do BOGA, z prożbą ręce wznoſzę,
Aby od nas odſtrychnął przewrotną Wołoſzę.
Kanclerz, y Hetman Wielki, w Woyſku ſię zſtarzałem,
Y z tym Narodem, wiele do czynienia miałem,
W dotrzymaniu Soiuſzow, wiem, iak był obłudny,
Wiem iak ſztuczny w robocie, w obeyſciu iak trudny
Był Gracyan; iak Krola obietnicą łudził
Woyſk, ktorych nie miał; iak go do Woyny pobudził,
A z mężnym Kalinowſkim, iak ten na oſtatek,
Utonął w nurtach Prutu, Hoſpodar nieſtatek.
Wiadoma mi, y Tomſzy ieſt obłuda ſkryta:
Coż czynić? wſzakże brzytwy, tonący ſię chwyta:
Widziſz, liczne na znakach Tureckich Mieſiące,
A my, nie mamy Woyſka, ledwie trzy Tyſiące.
Tomſza, ma ſiedmſet ludzi, chociaż nie Junakow,
Przecież, y ci zwiękſzaią, ſzczupłość Polſkich znakow:
Nadſtawiaymy ſię niemi, a Tomſzę wyśledzić
Chcieymy, y zdrady iego zniſzczyć, y uprzedzić.
Potym, iaką zaſłuży, nie minie go kara,
Teraz, myślmy dać odpor, natarczkom Tatara,

SCE-

SCENA TRZECIA.

ZOŁKIEWSKI, KONIECPOLSKI, ZŁOTOPOLSKI.

ZŁOTOPOLSKI.

ZDarzył Pan BOG, Wodzowie, że w ucieczce ſkory
Kantymir, uderzywſzy na naſze Tabory,
Gdy mu odpor był dany, mężnie y ochotnie,
W rozſypkę poſzedł, z ſwemi Woyſkami ſromotnie.
Kazanowſki, dzielnością y męztwem wſpaniały,
Wytrącił mu, z rąk ſłabych, ſzablę, łuk, y ſtrzały.
Z drugiey ſtrony, naſz Uſarz, ſamym zbroi blaſkiem,
Tak Ord tłumy przeſtraſzył, że uciekły z wrzaſkiem.
Ale, po ſzczęściu, nowa przeciwność wynika,
Z uſt, wziętego w potyczce, Murzy niewolnika,
Twierdzi ten znaczny więźień, pod ſtratą ſwey głowy,
Że nam, dziſiay przybędzie, nieprzyiaciel nowy,
Skinder Paſza, z ſwym Woyſkiem, przyidzie za godzinę,
Z uſt Kantymira, ſłyſzał Murza, tę nowinę.

KONIECPOLSKI.

Biegnę ia, Wielki Wodzu, do Woyſka, obiadę
Tabor, ty, day mi twoie rozkazy, y radę.

ZOŁKIEWSKI.

Czyń, podług zdania twego, ia po małey chwili,
Sam przybędę; a wſpolnie będziem ſię znoſili.
Ty, mężny Złotopolſki, zoſtań trochę ze mną,
Wynurzę ci w ſekrecie, myśl moię taiemną.
Przyſzedł, ten czas okropny, y zbliżył mię klęſki,
W ktorych, ſpadnie mi z głową, wieniec moy zwycięſki.

A laur, ktory ſiwego, ozdobą był włoſa,
Już na mnie zaoſtrzona, zetnie śmierci koſa.
Nie zginę ia Tureckim zabity żelazem,
Ale zginę; dobrego Krola złym rozkazem,
Wyiednanym, przez Dworſkie do mnie nienawiści,
Ktorych zemſta, na mey ſię głowie, dziś uiści.
Wieſz dobre, iak przeciwko mey radzie y zdaniu,
Krolewſkiemu, poſłuſzny będąc, rozkazaniu,
Za uſilnemi Liſty, Krola y Senatu,
Przeſzedłem Dnieſtr, na iawną mą zgubę, ktora tu
Nieuchronna nas czeka: bo chyba przez cuda,
Zycie, z tak ſtraſznych gminow wynieść, nam ſię uda.
Swiadomyś, iak Zołnierza, mamy tu nie wiele,
Ze na iednego, maią ſto, nieprzyiaciele.
Wielbię BOGA, że będąc, y ſłaby y ſtary,
Zginę przy doſtoieńſtwie Oyczyzny, y Wiary:
Dawno tego pragnąłem; ale na to ſrodzem
Załoſny, że tak bitnych ludzi, będąc Wodzem,
Nie wiem, iak ich ocalić; bo chociaż iuż ledwie,
Dnieſtr od nas, ieſt odległy, na mil tylko ze dwie,
Jednak, każdy to iawnie widzi, iak na dłoni,
Ze ieſt, prawie w oſtatniey Woyſko naſze toni.
Coż to, na ſto Tyſięcy? trzy Tyſiące ludzi,
Y kilka ſet Wołochow, co tchurze, y cudzi.
Procz tych, ieśli ieſt Zołnierz, to ranny, lub chory,
A bardziey niżli broni, zatrudnia Tabory.
Ale nie tak mię trwożą, klęſką nam grożące,
Liczne Turkow y Ordy, nie bitney tyſiące,
Jak między Rotmiſtrzami rozterki y zwady,
Y podobieńſtwo, ſkrytey w Woyſku naſzym zdrady.
Już ſzepcą w poſiedzeniach, y na ſchadzkach nocnych,
Ze Hetman, ma u Dworu, nieprzyiacioł mocnych,
Ze ktoby go, w tym razie tak ciężkim, odſtąpił,
Nieprzyiaciel Hetmańſki, łaſk by mu nie ſkąpił.

Czy to, nie cichy naboy, czy w ul nie dmuchniono,
Aby niechybniey, zgubę moią, upewniono?

Z Ł O T O P O L S K I.

Wiem ia o tym, y dawno widzę, że ſię knuie
Spiſek iakiś, a żołnierz, kupami ſię ſnuie
Po Obozie; iednakże, iawnego zdradziectwa
Nie mamy, ieſzcze do tąd, żadnego świadectwa.
Jeźli ſię o czym dowiem, to wolałbym nie żyć,
Niźlibym nie miał, zdradom Woyſkowym zabieżyć.
Co ſię Turkow, y Ordy tycze, to w tym razie,
Pierwey, niżby podpadło Woyſko, męztwa ſkazie,
Niżby przeſtał Zołkiewſki, Laurem wieńczyć ſkronie,
Leymy krew, traćmy życie, przy iego obronie.

AKT CZWARTY,

SCENA PIERWSZA.

KONIECPOLSKI, TOMSZA, ZŁOTOPOLSKI.

K O N I E C P O L S K I.

COż to ieſt Tomſzo? czemu przed Hetmanem Wielkim
Radziłeś nam ſpoczywać, w beſpieczeńſtwie wſzelkim?
Zyczyłeś nam; zwycięzkie otrzyć z potu czoło:
A tu nas Woyſk Tureckich, gmin, otacza w koło.
Skinder Paſza, daleko, podług twey powieści,
Już w odległych, Multańſkich krainach, ſię mieści:
A on, z ſwym gminem, do nas ſpieſzy, wielkim krokiem,
Y za godzinę, z bliſka uyrzyſz go twym okiem.

Powiedz

Powiedz, co ſię to znaczy: y ſtaw nam twe ſzpiegi,
Co ich poſyłaſz, zwiedzać Tatarſkie ſzeregi.
Chcę z niemi ſam pomowić, y doznać, kto kłamie,
Czy me oko, czy Tomſza, co nam wiarę łamie.

TOMSZA.

Niech nie wpadam u ciebie, w podeyrzenie żadne,
Abym ſkaził mą cnotę; przez zdrady ſzkaradne,
Wkrotce ci to pokaże na oko czas dalſzy,
Ze nad Tomſzę, nikt nie ieſt, w wierności ſwey trwalſzy.
Stawięć mych ſzpiegow, ktorzy wywiodą ſię iawnie,
Ze poſługę ſwą czynią, poczciwie y ſprawnie,
Przebrani po Tatarſku, między Woyſk ich gminy,
Jeżdżą, a nam potrzebne, przywożą nowiny.
O Skinder Paſzy, że ſię do Multan przerzyna,
Słyſzeli, z uſt krewnego Hańſkiego, Szyryna.
Ale coż nam daremnie, czas trwonić y ſłowa,
Wyniknie z ſzpiegow, prawda czyſta y gotowa:
Naprzod mi ich należy, przed Hetmany ſtawić,
A potym, z niepotrzebnych zarzutow ſię ſprawić.
Upewniam cię, że tego wſtyd y kara potka,
Co ſię ważył, przed tobą, oczernić mię plotka.

KONIECPOLSKI.

Chwalebnie czyniſz, świadkow chcąc ſtawić, bez ſporu;
Byś uſzedł podeyrzenia zdrady y pozoru.
Gdzież ſą? chcę prędkim ſądem, twą cnotę ucalić,
Możeſz ſię potym, ſłuſznie na plotki użalić.

TOMSZA.

Czyż to ieſt rzecz podobna? bym w takim odmencie,
Szpiegow moich, mogł w iednym, ſtawić ci momencie.
Nikt inny, przyzwać ich tu, nie może bezemnie:
Wſzak z ſzpiegami trzeba ſię, obchodzić taiemnie;

Stawię

Stawię ich w nocy, by mię świadectwo ich wsparło,
Jeźlibym ich nie stawił, w zakład chcę dać garło.

ZŁOTOPOLSKI.

Czas zyskać chciałbyś Tomszo, nadzieia cię cieszy,
Ze Skinder Pasza, z Woyskiem swym, wprędce pospieszy,
Ze do boiu weźmie się Hetman, nie do sądu:
Ale pomni, że możesz utonąć u lądu.
Bog rządzi losem bitwy, lecz choćbym miał zginąć,
Wiedz, że śmierć z moiey ręki, nie może cię minąć,
Jeśliby, gdy się stoczy z Turkiem bitwa krwawa,
Pokazała się, iaka twa zdradliwa sprawa;
Jeżeli cię zaś mężnym w boiu, y w robocie,
Obaczę, winne oddam pochwały twey cnocie,

KONIECPOLSKI.

Y w gwiazdach znaydzie skazy, kto zbyt bystro patrzy.
Ty Tomsza, podeyrzenie wiernością twą zatrzy;
Niech twa dzielność, zarzutom płonnym milczeć każe,
Y zakały, choćby też iakie były, zmaże.
Nastąpi usług twoich, nadgroda sowita,
Krol o nich myśleć będzie, y Rzeczpospolita.
Wspaniałym y szacownym, zapłaci ie darem:
Ktoż by mogł bydź przed tobą, Wołoch Hospodarem?
Czyż nie lepiey złączyc się, z Państwem Chrześciańskim,
Niż podłym niewolnikiem bydź, w iarzmie Pogańskim.
Niechay do dzieł Rycerskich, bierze cię ochota,
Niech zagrzewa twe Serce, y wiara y cnota.

TOMSZA.

W kilka godzin, mogłbym się wywieść bez ochyby,
Y fałszywe złych ludzi zarzuty, spełzłyby.
Ale, że ci iest pilniey, Woysk szykami rządzić,
Niżeli słuchać świadkow, y sprawę mą sądzić;

Pierwey twych Nieprzyiacioł, zniesie moia ręka,
Niżeli przeciwnikow swych, Tomsza ponęka.
Przyidzie potym czas, ktorym z złośliwey potwarzy,
Wyiść mi, Niebo przychylne niewinności, zdarzy.

SCENA DRUGA.

ZOŁKIEWSKI, KONIECPOLSKI, ZŁOTOPOLSKI, TOMSZA.

ZOŁKIEWSKI.

Waleczny Kazanowski, z podiazdu w tey chwili,
Powrociwszy, zostawił Turkow o puł mili.
Niezawodne bliskości ich, tym stwierdził wieści,
Ze zabrał niewolnika, Janczarow trzydzieści.
Spodziewam się, że prędzey niż za dwie godziny,
Stoczymy krwawą bitwę, z Pogańskiemi gminy.
Tym czasem, Kantymira tłumy niedołężne,
Odbieraią od naszych, odpory potężne.
Da Pan Bog, że y Turczyn, iuż raz od nas zbity,
Będzie y teraz, drugą klęską znakomity.
W stu tysięcy Poganow, ufa Skinder Pasza,
My w BOGU, w męstwie Woyska, y w ostrzu pałasza.

KONIECPOLSKI.

Ludzi, a nie Zołnierzy, te tłumy gromadne,
Ma Turczyn, do zwycięztwa szykom naszym snadne.
Choćby naywiększe owiec boiazliwych trzody,
Kilku lwom, na zwycięzkie łatwo poydą gody.
Dzielność w naszych, w Zołkiewskim umieiętność Woyny,
Sprawi, że dziś zwycięży Turkow, Polak zbroyny.
Ufam mocno, wielkiemu Chrześcianow BOGU,
Ze Mięsiącom Tureckim, dziś przytrzemy rogu.

Naosta-

Naoſtatek, iakkolwiek padnie, wyrok Boſki,
Y cokolwiek nam przyśle, czy radość, czy troſki,
Dziś, albo Laur zwycięzki, uwieńczy nas obu,
Albo wraz do iednego, poydziem z ſobą grobu.

ZŁOTOPOLSKI.

Daruię wam Wodzowie, krew moię, y życie,
Chętnie umrę, gdy Turkow gminy zwyciężycie;
Bo ochotnie wyprułbym, każdą żyłkę z ciała,
Kroraby pod Zołkiewſkim, krwi toczyć nie chciała.
Obaczyſz, iak śmierć od nas, w boiu pogardzona,
Poydzie do Turkow, męztwem Polſkim zawſtydzona,
Umrzećbym wolał, życie bym ſobie obrzydził,
Gdyby przegraną z Turkiem, Polak ſię ochydził.

TOMSZA.

Złotopolſkiego ſłowa, na złocie y cedrze,
Ryſować trzeba, bo czas, choć z duſz ciała zedrze,
Jednakże odiąć cnoty, nigdy im nie może,
Bo ta poyść muśi z niemi, w Niebieſkie podroże,
Y ia chcę z Złotopolſkim, pod twoią Buławą,
Albo zwyciężyć, albo poledz śmiercią krwawą:
A tych, co moią ſzpetnie, ſpotwarzyli cnotę,
Pohańbić mą wiernością, krwią zmyć tę ſromotę.
Y tak mą ſławę zechcę, męztwem ubeſpieczyć,
Ze iuż nie będą śmieli odtąd mi złorzeczyć,
Plotkom ich zamknę uſta, milczyć ich nauczę,
Gdy zakałę mey cnoty, w krwi Turkow opłuczę.

ZOŁKIEWSKI.

Serca, Rycerſką cnotą, od BOGA natchnione,
Niech zwycięztwem, od Niebios będą obdarzone.
Wy; co na plac nieśiecie, y życie y zdrowie,
Niech BOG laurowe wieńce, ſkłada wam na głowie.

Jdźmy w ogień, iak inni idą na weſele,
A mieymy męztwo w oczach, y dzielność na czele.
Ja zginę, albo wyidę z tąd, Laurem ozdobny,
Y zawſze bedzie, ſobie Zołkiewſki podobny.

SCENA TRZECIA.

ZOŁKIEWSKI SAM.

BOZE, Naywyżſzy dawco, ludow y Woyſk doli,
Poddaię loſy moie, świętey twoiey woli:
Za wſzelakieć Zołkiewſki, cześć y chwałę wyzna,
Zebrze tylko, niech będzie, w twey pieczy Oyczyzna.
Odtąd, iak mię krępować przeſtało powicie,
Za rękęś mię prowadził, iak Ociec ſwe dziecie;
Bym ſię w życiu nie kochał zbyt, me dotąd lata
To ſzczęściem, to nieſzczęściem, twa dobroć przeplata.
Wieſz BOZE, iakem pragnął, abym Zołnierz ſtary,
Krew wylał, duſzę wytchnął, przy obronie Wiary.
Nie moia rzecz ieſt, ſzpyrać w twych ſądow ſkrytośći,
Ale podobno, w bitwie tey, położę kośći.
Jeśli tak ieſt, bynaymniey na to ſię nie żalę,
Niech tylko do Oyczyzny wſtęp, głową zawalę,
Niech klęſka Polſki, na mym ſkończy ſię tułubie,
A zabież Panie dalſzey, mey Oyczyzny zgubie.
Nie dopuść BOZE, aby twe Swiątnice Pańſkie,
Pohańbiły, bezecne narody Pogańſkie.
Ubeſpiecz od nich, cnotę Panny, y Mężatki,
Nie day wydzierać dzieci, z rąk płaczącey Matki,
Ktoreby potym mogły w Mahometa wierze,
Na Chrzcie z tobą zawarte, porzucić przymierze.
Zabroń Turkom, zabranych w kaydany y w pęta,
Chrześcianow, przedawać targiem, iak bydlęta.

Odda-

Oddaię głowę moię, na krwawą ofiarę,
A Oyczyznie przepuścić racz, grzechow swych karę.

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

SALOMEA y PRAXEDA.

SALOMEA.

Coż to widzę? Praxeda, y wzdycha y szlocha,
Kiedy Turkow zwycięża, ten ktorego kocha,
Złotopolski, walecznym męztwem sławny Młodzian
Powroci z bitwy, Laurem zwycięzkim przyodzian.
Już hufce Turkow znosi, iuż szyki ich łamie,
Na Skinder Paszy głowę, iuż podnosi ramie,
Już złamana przez niego, Tatarska potęga,
Do karku Kantymira, iuż swą szablą sięga. . . .
Obaczymy co wskora, ta śmiałość zuchwała,
Ta pycha, co niesłusznie, odwagą się zwała.
Da się widzieć, czy straszne Woysk Tureckich tłumy,
Hardey Złotopolskiego, nie uskromią dumy:
Czy nie inszy niż rano, Woyskom los wypadnie,
A co byli na wierzchu, czy nie będą na dnie,

PRAXEDA.

Urągasz się z łez moich, ktore żal wyciska,
Z nieszczęścia Siostry, czyniąc sobie pośmiewiska.
Dosyć mi iest nieznośna, srogość moiey doli,
Ale mię bardziey Siostry mey, nielitość boli.
Trętwieię! z ust twych słysząc, że nad Chrześcianow,
Bluźniących Boga twego, przekładasz Poganow.

Ju-

Inſzaś w wieczor iak rano, y cale iak nie ta,
Gdy nie Chryſtuſa trzymaſz, ale Machometa.
Zyczyſz, ażeby bitwa, od Turkow wygrana,
Laurami ozdobiła, Pułki Ottomana:
Aby ſzabla Turecka, krew Chrześcian lała:
Ah Przebog! Salomeo, iakąś ſię dziś ſtała!

S A L O M E A.

Nie wiem, nie znam ſię ſama, a w żądz moich tłumie,
Zda mi ſię, że iuż teraz, nic mi po rozumie.
Serce me gorę wzięło, rozſądek ieſt niczym,
Jęczy, pod namiętności iarzmem niewolniczym;
Zabrnęłam zbyt daleko, ſtanęłam na głębi,
W ktorey mię zemſta Niebios, zgubi y pognębi.
Zbrodnia, w przepaść mię nurza, y na dno pogrąża.
Strach mię otacza, rozpacz w koło mię okrąża.
Złość moia iadowita, zawziętość ma wściekła,
Nie oprze ſię w zapędach, chyba na dnie piekła!
W tak ſtraſznym y miłości, y gniewu zapale!
Dzielą me ſerce, zbrodnia, rozpacz, ſtrach, y żale.
Wſtydzę ſię ſama ſiebie, obrzydło mi życie!
Wkrotce, ſrogi moy wyrok z przeſtrachem uyrzycie!
Y ty, choć maſz żal wielki do mnie, iednak pewnie,
Na ſrogość moiey doli, będzieſz płakać rzewnie.

P R A X E D A.

Strzymay kroki, a w toni tey, nie poydzieſz na dno,
Chciey tylko, ręka Boſka, wyrwie cię z niey ſnadno.
Kto w Bogu ufa, tego ſtraż Boſka otacza,
Ten tylko ginie, kto chce ginąć, y rozpacza.
Poſtrzeż ſię Salomeo, a nie bądź dla Boga,
Y na ſiebie y na mnie, okrutna y ſroga.
Pod iedną Matki naſzey, byłyśmy wątrobą,
Jednemiśmy pierſiami, wykarmione z ſobą.

Powierz

Powierz mi ſekret, azaż ſpoſob ſię wynaydzie,
Dzwignąć cię, nim ſię daley, y zabrnie y zaydzie.
Chętniebym życie moie, y krew właſną dała,
Zebym cię Sioſtro, z ſtraſzney przepaści wyrwała.
Niechay ſię ſerce twoie, y piekła nie lęka,
Bo mocnieyſza ieſt nad nie, Naywyżſzego ręka.

SALOMEA.

Już nie wczas; bo iuż miarę dopełniłam zbrodni,
A tacy iak ia, żadney litości niegodni.
Krew Chrześcian wylana, zaboyſtwa y mordy,
Gmin Polakow ięczący, w niewoli u Ordy.
Oyczyzna ma zdradzona, y w rząd Ottomana,
Przez iadowitą moię, zawziętość podana,
Sromotne pohańbienia, Kościoła y Wiary,
Czyliż nie dopełniły, grzechow moich miary?
Gdy to wſzyſtko, o ſtraſzną zemſtę, na mnie woła!
Nie mogę podnieść w Niebo, oczu mych, y czoła!
Możeſz Sioſtro, rozumem zaſiągnąć z daleka,
Jaka zemſta, y kara, takie zbrodnie czeka!
Wſzyſtko w krotce obaczyſz, y za puł godziny,
Strętwieieſz, na okropne, o Woyſku nowiny!

SCENA DRUGA.

PRAXEDA SAMA.

Ty, co ſerce me widziſz! co myśli me czytaſz!
Co wewnętrznie mey duſzy, badaſz ſię y pytaſz;
Jeśli znoſzę cierpliwie, ſurową mę dolę,
Jeśli mile przyimuię, twoię świętą wolę,
Jeśli gorzkie łzy moie, cierpliwością ſłodzę,
Jeśli po oſtrych cierniach, bez mruczenia chodzę,
Boże! ktory maſz w ſtraży twoiey, me ſumnienie,
Nachyl ucha, na ſługi twey płacz, y ięczenie!

Pośliy Panie Praxedę, na męki, na mary!
Chętnie krwi ſwey y życia, uczynić ofiary!
Przyimę wſzyſtko z twey ręki, ochotnie y mile,
Chwalić cię będę w bolach, y wielbić w mogile.
O to cię tylko Panie, proſzę z łez wylaniem,
Tego u ciebie żebrzę, z ſerdecznym wzdychaniem.
Boże! ktory piaſtuieſz w rękach, los człowieczy,
Miey Woyſko Chrześciańſkie, w Swiętey twoiey pieczy!
Potłum liczne poganow, zaiuſzonych ludy!
Zaſzczyć naſzych nowemi mocy twoiey cudy,
Jeśli zaś chceſz twych Synow, za grzechy wychłoſtać?
Przemień prędko gniewliwą, w miłośierną poſtać!
Karz zlekka po Oycowſku, lud w drogach twych błędny!
Choć krwi upuściſz, bądź iey, łaſkawie oſzczędny,
A chociażbyś odſtąpił, Chrześcianow w boiu,
Pocieſz ich prędko, miłym powrotem pokoiu!
A le coż to? do mnie ſię Salomea wraca?
Czas pułgodzinney zwłoki, poprzedza y ſkraca,
Tomſza także ſpieſznemi, do nas dąży kroki,
Znać nam nieſie, oſtatnie Woyſk naſzych wyroki,
Czy mi ſię przyidzie, cieſzyć z nich, czy na nie żalić,
Zawſze cię Boże, Serce moie, będzie chwalić!

SCENA TRZECIA.

PRAXEDA, SALOMEA, TOMSZA.

TOMSZA.

Stało ſię Salomeo; a za twym rozkazem,
Zgineło Woyſko Polſkie, Tureckim żelazem;
Dnieſtr z krwią Polſką zmieſzany, wſzyſtek ſię rumieni,
A iuchą ich zwiękſzony, wzdyma ſię y pieni,
Pola naſze, Polſkiemi okryte ſą trupy,
Leżą, martwe pobitych Pułkownikow kupy,

Niedo-

Niedobitek na placu, z ranami ſię męczy,
Y na śmierć nie poſpieſzną, narzekaiąc ięczy.
Tatar, zadziwion mnoſtwem, bogatey zdobyczy,
Woiować z Polakami, zawſze ſobie życzy.
Niewolnik Polſki, w ciaſne okuty kaydany,
Płacze, że w krwawym boiu, nie poległ przez rany.
Słowem, gdzie tylko rzucić, pozwoliłem oku,
Wſzędziem obaczył poſtać, ſtraſznego widoku,
Smierci, rany, niewolą, ięczenia, rozpacze,
Loſem ſą dziś Polaka; lub zginął, lub płacze.

SALOMEA.

Co z Złotopolſkim? co ſię z Hetmanami ſtało?
Powiedz? y wſzyſtko co ſię, na tey bitwie działo.

TOMSZA.

Czynię twoy rozkaz, ale przyznać ci ſię muſzę,
Ze iakiś żal okropny, przeraża mą duſzę:
Zem chociaż ſam Polakow, y zdradził, y zgubił,
Chociażem nigdy tego Narodu nie lubił,
Jednak opowiedaiąc tak ſtraſzne ich klęſki,
Bierze mię iakaś litość, żal iakiś nie męſki;
Dlatego nie wiem, czyli nie przyidzie mi z płaczem,
Bydź ci tey krwawey bitwy, wiernym powiadaczem.
Chcąc zgubić Woyſko Polſkie, a knuiąc mu zdrady,
Zacząłem mą robotę, od Rotmiſtrzow zwady,
Ktorych tak pokłuciłem, przez ſztuki wytworne,
Ze y zdania ich były, y czyny nieſworne,
Z tąd częſte huczki w Woyſku, bez żadnego względu
Nawet na Hetmańſkiego powagę urzędu,
Karność y poſłuſzeńſtwo, popſuło ſię z gruntu,
A Woyſko było zawſze, gotowe do buntu.
Zołkiewſki, choć Woiownik Wielki, y Wodz ſtary,
Muśiał pobłażać Woyſku, y patrzyć przez ſzpary,

Widząc, że niekarności Woyſkowey, y ſporu
Były przyczyną Domy, wſparte ode Dworu,
Dlatego nigdy karą śmierci, rzadko groźbą,
Ale przyiaznią bunty, uśmierzał y proźbą.
Gdym tak porożnił Woyſko, widziałem że ſnadnie,
W te, ktorem pod nim kopał dołki, prędko wpadnie;
Donioſłem Skinder Paſzy: niech ſię dziś potyka,
A niech ma na Polakow, kaydany y łyka;
Bo iak grzyby pobierze, garſtkę tego ludu,
Ani na to wielkiego nie podeymie trudu.
Ja bez niego rozerwę, tabor tak potężny,
A kropli krwi nie ſtraci na to, Turczyn mężny:
Radziłem, aby prędko ſpieſzył, aby miecze
Oſtrzył, bo pewnie Woyſko Polſkie, dziś wyſiecze.
Odpiſał mi przez ſwego taiemnego gońca,
Ze będzie przed Taborem, o zachodzie ſłońca.
W prędce potym, z radością poſtrzegło me oko,
Ze ſię tuman kurzawy, rozciągnął ſzeroko;
A rownaiąc wielkością, chmury y obłoki,
Wyſtawił, ſtraſzne Woyſku Polſkiemu widoki.
Zmiarkowałem, że Turczyn, z ſwym Woyſkiem ſię zbliża
Y na rowniny naſze, z pagorkow ſię zniża,
Jam też ſwoy tuman puścił, a me ſztuczne figle,
Y ſkryte zdrady, ktorem knował niedościgle,
Wykonałem; bo zaraz przez taiemne poſły,
Po Obozie, trwożące wieści ſię rozniosły,
Ze Hetmani iuż przeſzli, za Dnieſtru przeprawę,
A naſz Oboz wydali Turkom, na śmierć krwawę.
W tym moi Wołochowie, nayprzod zdradę zaczną,
Tabory rozrywaiąc, lukę zrobią znaczną,
A w momencie gmin luźnych, do ucieczki rączy,
Na złą robotę, z memi Wołochy ſię łączy.
Już Tabor rozerwany, roznieſione wozy,
Otworzyły zamknięte, Woyſk Polſkich Obozy,

Gdy

Gdy Pocztowych, gmin wielki, luźnych zbiegow ſzladem,
Uſzedł z Taboru, ſzpetnym zgorſzony przykładem.

P R A X E D A.

Kiedyś Turkom, krew przedał Woyſka, y Hetmanow,
Nie bał żeś ſię, wielkiego BOGA Chrześcianow?

S A L O M E A.

Pozwol Sioſtro, niech kończy; niech wſzyſtko opowie,
A potym ſię o naſzych, ſentymentach dowie.

T O M S Z A.

Doydzie ta wieść Hetmanow, ktorzy prędkim biegiem,
Spieſzą za niemi, z ludzi wybranych ſzeregiem,
A dopędziwſzy zbiegow, żałoſnemi głoſy,
Na nieſzczęśliwe, Woyſka narzekaią loſy.
Zołkiewſki zdiąwſzy Szyſzak, pokazuiąc blizny,
Y doſłużoney w Woyſku, uczciwość ſiwizny,
Tak im rzecze: Rycerze; z ięczeniem y z płaczem,
Do ſerc waſzych, za wſpolną Oyczyzną kołaczem;
Za Bogiem Chrześcianow, co go Turczyn bluźni,
Smieiąc ſię, że was wodzą, ciurowie, y luźni.
Przebog! my to Hetmani, myśmy was wodzili,
Myśmy z wami, w zwycięzki laur, ſkronie ſtroili,
My was poprowadziemy: w zakład głowę kładę,
Jeźli z wami, na karkach Turkow, nie poiadę,
Zawoła Koniecpolſki; Jmie Polſkie, cnotę,
Ową, do dzieł rycerſkich, dowodną ochotę,
Wſzyſtkoż to razem ſtraciem? y także oręża,
Nie dobywſzy, poſtrachem Turczyn nas zwycięża,
Wroćcie ſię przebog z nami, y Wiara, y ſława,
Niech was o litość prosi, niech wam w oczach ſtawa.
Ale na nic, nie baczny ſtrach, y boiaźń głucha,
Ni ſumnienia, ni ſławy, ni Wodzow nie ſłucha,

Tym pospieszniey, gmin zbiegow, od Hetmanow pierzchnie,
Chcąc się przez Dniestr przeprawić, poki się nie zmierzchnie.
Ale ten gmin zatopion, nurty Dniestrowemi,
Znać nie był godny, życia dokonać, na ziemi,
Tym czasem, iako mowią, że w złey doli, idzie
Nieszczęście po nieszczęściu, y bida po bidzie,
Złotopolski co tabor, z Hetmanow rozkazu,
Bronił mężnie, y wielki odpor dawał zrazu,
Prożno czekaiąc, swoich Hetmanow przybycia,
W krwawym boiu dokonał, y doli y życia,
Bo go między więźniami nie masz, a w taborze,
Głowęm y tułub ścięty, widział w iego porze.

PRAXEDA.

On ieźli zszedł, męczeńskim Bog go zdobi wieńcem,
Ty, coś go zgubił, szpetnym zapłoń się rumieńcem!
Ale czyli z Swiętemi, laurem wieńcząc skronie,
Złotopolski dał garło, przy wiary obronie,
Czyli w ciężkiey niewoli, wiek swoy opłakany
Pędzi, brzękaiąc Turkom, pęty y kaydany,
Czyli mu opatrzywszy, y czołny y wiosła,
Przez Dniestr do Polski, ręka Boska, go przeniosła,
Ja, chociem cnoty iego, kochała serdecznie,
Rwę obowiązki, w ktorych miałam z nim trwać wiecznie,
Chrystusa chcę do śmierci, mieć za oblubieńca,
Przysięgam Mu dochować, czystości mey wieńca.
Jemu samemu miłość, y wiarę do zgonu,
Oświadczę, w ciasnych murach, ostrego Zakonu!
Tym czasem, za męczeńskie Chrześcianow Palmy,
Dziękuiąc Bogu, Jmię iego święte chwalmy.

TOMSZA.

Kończę; wybor Rycerzow; przy Hetmańskim boku,
Długo nieustępował, licznym Ordom kroku;

Ale

Ale to czoło Woyſka, gminem zatłumione,
Poległo prawie wſzyſtkie, krwią ſwoią zbroczone:
Część ich większa, na placu, mieczem w pień wycięta,
Daleko mnieyſza, Ordzie doſtała się w pęta.
Hetmani oba walcząc, mężnie y ochotnie,
Umrzeć woleli, niżli poddać ſię ſromotnie:
Szukali śmierci, z ktorą nie mogli ſię zminąć,
Bo nieumieli, tylko zwyciężać, lub zginąć.
Navprzod tę głowę, ktorą laur ozdobił ſetnie,
Zołkiewſkiego, Turecki oſtry bułat zetnie.
Koniecpolſki, gdy mężnie broni ſię, w kark cięty,
Upadſzy bez pamięci, w niewolą ieſt wzięty.
Z wielkiego Zołkiewſkiego tułuba, krew ciepła,
Dopiero w moich oczach, ścięła ſię y ſkrzepła.
Koniecpolſki w Stambule, goić będzie rany,
A teraz, z podłym więzniow gminem, ieſt zmieſzany.
Było Woyſko zwycięzkie; ale bydź przeſtało,
Moſkwę z Carem podbiło, u nas garła dało.
Na pułnocy, laurami zwycięzkiemi ſłynie,
Na południu, krew z niego, ſtrumieniami płynie.
Tyle Polakow, ſzabla Turecka wyſiekła,
Ze oblana. Rycerſką krwią ich, ziemia ściekła.
A to z ſzyki Polſkiemi, me zdrady zrobiły,
Ze iedni poſzli w pęta, a drudzy w mogiły.
Te zdrady, cnocie Tomſzy, nie uczynią ſkazy,
Bo Salomei u mnie, cnotą ſą, rozkazy.

SALOMEA.

Prawda! żem w mym ſzaleńſtwie, proſiła cię o to,
Znaiąc twoy zły charakter, wierutny niecnoto!
Miłości, gniewu, zemſty, żądze y zapały,
Chytrey twoiey poſługi, wezwać mi kazały,
Złotopolſkiego cnoty kochałam, a wzgardy
Jego, znieść nie mogł umyſł moy, mściwy y hardy,

Z nim

Z nim mi Jmie obrzydło Polſkie, wſzakże w gniewie,
Y w miłości, człek każdy; co czyni, ſam nie wie.
Powinieneś był poznać, z oczu mych y twarzy,
Ze ſię ſkryty żądz płomień, w ſercu moim żarzy;
Ze do krwawey mey zemſty, wzywaiąc twe ramie,
Gdy ci mą obiecuie miłość, język kłamie;
Że z tak ſzkaradnym zdraycą, z tak wierutnym ſzachem,
Nie mogłabym pod iednym, puł dnia zmieſzkać dachem,
Ze znam twoy podły umyſł, wiem żeś thorz y zdrayca!
Ufaſz tylko w potędze Turkow y Nahayca;
Zal mi Polakow! ktorych ſławie y pamięci,
Niechay świat, winne cnotom Ołtarze, poświęci.
Ale coż to? biie mi ſtraſzny widok w oczy,
Salomea, krwią Polſką, ſkala ſię y zbroczy,
Płyną koło mnie byſtre, krwi y łez ſtrumienie,
Jęczą błąkaiące ſię, wielkich ludzi cienie,
Tu głowa Zołkiewſkiego, a tam tułub leży,
Tu Złotopolſki, z Wodzem ſwym chcąc ginąć, bieży;
Tu Tomſza, tchorz y oſzuſt, Tatarom z daleka
Szepcze, że po zwycięztwie, wielki łup ich czeka;
Tu trupy obnażone, leżą bez pogrzebu,
Tu krew woła o zemſtę, y żali ſię Niebu.
Jędze piekielne, ſtraſzne zapalcie pochodnie!
A płomieniem ſiarczyſtym, pieczcie mię za zbrodnie!
Ogniow waſzych, w łez moich, nie ugaſzę morzu,
Ah obrzydły mi zdrayco! obmierzły mi thorzu!
Wſzyſtkich poczwaro niecnot! y kłamſtw! mego wſtydzie,
Narodu, ktory w wieczney pogrążaſz ohydzie!
Jdź mi precz ztąd! ponury ten twoy wzrok, y ſmoczy,
Srożſzy mi ieſt nad piekło! Tomſzo idź mi z oczy!
Zyi! y ſkutkow zdradzieſtwa twego, długo użyi;
Lecz na to, by ſumnienie twe gryzło cię dłużyi!
Jeżli ztąd Turkow ſzabla, Polakow wypłoſzy,
Za zdradę, Hoſpodarem być możeſz Wołoſzy.

Lecz furye twe zawſze, niech drapią wnętrzności !
Bezbożny ! aż odbierzeſz nadgrodę twych złości !
Cień moy, gdzie ſię obrociſz, będzieć ſzeptać zcicha !
Zyieſz duſzo zdradziecka ? ſzpetna, podła, licha ?

TOMSZA.

Odchodzi od rozumu Salomea; Sieſtrze
Praxedo day ratunek, ia muſzę przy Dnieſtrze,
Tę noc przebyć do świtu, bo mam Ferman taki,
Aby przeprawy, moie pilnowali znaki,
Otoż ten zyſk ażardow mych, dla Salomei,
Tak mi płaci, wtakiey mnie zoſtawia nadziei.
Prawda, żem podło zdradził, żem to zrobił ſzpetnie,
Hańby mey czas nie zmaże, y wieki ſtoletnie.
Będą (z mego zdradziectwa ſam to ſobie wnoſzę)
Polacy mieć za zdraycow, niewinną Wołoſzę.
Wiem, że me zbrodnie, Niebios pokarzą wyroki,
Coż? daleko zabrnąwſzy, trudno cofnąć kroki.

WŁADYSŁAW.

POD WARNĄ,

TRAGEDYA.

DO
JASNIE WIELMOZNEY, JMći PANI, Z XIĄZĄT RADZIWIŁOW,
RZEWUSKI,
PODSTOLINY, W. X. Litt:, KOCHANEY BRATOWY SWOIEY.

TY; co z cnotami, z zacnością, z bogactwem,
W Dom moy, ſzczęśliwym raczyłaś wniść krokiem,
Co za łaſkawym, przeznaczenia ſwactwem,
Z mym Bratem, Boſkim złączonaś wyrokiem,
Wielkiey Jmienia moiego ozdobie,
Ten wierſz, Bratowo, ofiaruię tobie.

NAywybornieyſze, dobrych Zon przymioty,
Przed Pańſkie z ſobą, przyniosłaś Ołtarze,
Gdy od Biſkupa, ślubny pierścień złoty,
Wziełaś z mym Bratem, w dożywotniey parze,
Doſyć Cię poznać, chwalić Cię, rzecz łacna,
Pobożnaś, piękna, bogata, y zacna.

 Brat

BRat moy ieſt z tobą, nayſzczęśliwſzym z ludzi,
A z taką Zoną, ma niebo na ziemi,
Zadnym fraſunkiem, myśli nie utrudzi,
Wiek momentami, liczy weſołemi,
A Cnoty Twoie, y pobożne czyny,
BOG dwoma razem, nadgrodził ci Syny.

Z Oycá y z Matki, Dom twoy rownie wielki,
Pod iedną miarą, ſzczęściem Niebo dzieli,
To maſz z Rodzica, co y z Rodzicielki,
Oboie Krewnych, Krolow naſzych mieli,
RADZIWIŁOWNA, ſiedziała na Tronie *
A WISNIOWIECKI, panował w Koronie *

* *Krolowa Barbara, Zona Zygmunta Auguſta, z Domu Radziwiłowna.*

* *Krol Michał.*

RODzoney Jana Siostry, Wnuk Twoy Ociec,
Twa Matka, bliskie plemie iest Michała,
Mogłaż zacnieysza, krew w żyłach twych pociec,
Jak ta, ktora się z oboiey płci wlała?
Y z Oyca twego, y z Matki Twey strony,
Liczysz, Sarmackie Berła, y Korony,

SYn Corki Jana, gdy Cesarstwa dopnie,
Bawarczyk; (*) nowe szczęście ci się zdarza,
Bo Dom Twoy, bliskie liczy z nim krwi stopnie,
Y Plemiennika, rachuie Cesarza,
A w nim na większe, do szczęścia pochopy,
Lustr ma od Tronow, połowy Europy.

* *Karol siodmy, Cesarz, ktorego rodzi, Corka Krola Jana.*

MAtkę twą rodzi Leſzczyńſka, a berła,
Dom iey rachuie, w Krolu Staniſławie,
Droga Korony Ludwikowey perła,
Marya; (*) ſłynie w żywey Cnot poſtawie,
A Ręką Boſką, żegnane iey brzemie,
Łączy, Burbonow, y Leſzczyńſkich plemie.

PRzyim Władyſława, pod Warną Jagełła,
Co Męża Twoiey Barbary, był Dziadem, *
A choć Dom iego, czas y śmierć, w proch zmełła,
Choć Wiśniowieccy, zeſzli tymże ſzladem,
Niech iednak, męſtwa ich, y Cnot nauki,
Słuchaią Syny Twoie, a ich Wnuki.

* *Krolowa Francuſka.*

* *Władyſław, ktory pod Warną zginął, był Dziadem Zygmunta Auguſta, Męża Barbary Radziwiłowny. Bo Kazimierz Jagellonczyk. Brat rodzony Władyſława, pod Warną zabitego, był rodzonym Dziadem, Zygmunta Auguſta.*

ARGU-

ARGUMENT.

Władysław Krol Polski y Węgierski, zawarszy y poprzysiągszy Pakta z Turkami, zerwać ie musiał, przycisniony nieodbitą całego Chrześciaństwa potrzebą, bo Amurath pierwszy Cesarz Turecki, iuż maiąc w mocy swoiey Adryanopol, groził bliskim wzięciem Konstantynopolowi, wschodnich Cesarzow na ten czas Stolicy. Tym zaś sprawiedliwiey zerwał Władysław Pakta z Turkami, że były uczynione bez wiadomości Oyca Swiętego, y wielu Panow udzielnych Chrześciańskich, ktorym był przysiągł Władysław w dawnieyszych z niemi Traktatach, że miał woiować przeciwko Turkom. To iednak zerwanie Paktow Tureckich, Polacy odradzali. Ociec Swięty y wiele bardzo Państw Chrześciańskich wysłali wielkie floty na morze dla zabronienia przeyścia z Azyi, Posiłkom Woysk Tureckich, ale Amurath liczniey ßym nie rownie Okrętow gminem, tak okrył morze, że mu umknąć się musiała Morska Chrześcianow potęga. Takim Sukkursem zmocniwßy swe Woysko Amurath stoczył pod Warną krwawą bitwę z Władysławem, ktory z małym Woyskiem dawßy wielkie dowody odwagi y dzielności w boju mężnie poległ. Biskupi Węgierski Agryeński y Waradyński, przywodząc znaki swoie w tey bitwie za wiarę zgineli. Julian Kardynał Legat Oyca Swiętego, to przy boku Krolewskim, to przed swoim Pułkiem, za Wiarę mężnie spotkawszy się, naostatek z placu umknąć musiał, a przez Dunay przeprawuiąc się zabity od Wołoßyna; Jan Tarnowski z Polskim, Zawißa z Litewskim Woyskiem w tey bitwie polegli. Hunniad Korwin, z małą częścią Węgrow wyniosł życie z boju. O tey bitwie piße Długosz, ktory był Nominatem Arcybiskupem Lwowskim, iako twierdzi Niesiecki. Dla ułagodzenia przerażaiącey żalem Tragedyi, przyteczyłem czystą miłość Emiliany z Władysławem, y skłonność serca Faustyny do Zawißy. Te dwie Damy były Corki Jerzego Despoty. Rascyi, ktory pod czas tey Woyny był z Władysławem, iako piße Długosz. Krotkie ale zwięzłe opisanie tey Woyny, znayduie się w rocznych dziejach Kwiatkiewicza.

AKTO-

AKTOROWIE Y AKTORKI.

WŁADYSŁAW Krol Polſki y Węgierſki.

KORWIN, Hunniad Wodz Woyſk Węgierſkich.

TARNOWSKI, Wodz Woyſk Polſkich.

ZAWISZA, Wodz Woyſk Litewſkich.

EMILIANNA, Corka Jerzego Deſpoty Raſcyi.

FAUSTYNA, Druga Corka Jerzego Deſpoty Raſcyi.

Scena ieſt w Obozie pod Warną w Bulgaryi.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

WŁADYSŁAW, y TARNOWSKI.

WŁADYSŁAW.

TU nas czeka, w tych polach, przed tego dnia mrokiem,
Smierć, lub zwycięztwo, Boſkim zrządzone wyrokiem.
Krew y życie nieść na plac to rzecz Władyſława,
Zwycięztwa zaś rozdawać, Boſka to ieſt ſprawa.
Lecz, czy mi przyidzie umrzeć, czy wygraney dożyć,
Ni w tym ſzperać nie umiem, ani ſię tym trwożyć.
Zwyciężę? oddam Bogu dzięki y ofiarę,
Zginę? wielbić go będę, że umrę za wiarę.
Szczęścia, czyli nieſzczęścia, mężnie czekam; ſłowem;
Co mi Bog przysle, mile to przyiąć gotowem.
Ty co wybor Polakow, maiąc pod twym znakiem,
Naybitnieyſzym me Woyſko, zaſzczycaſz orſzakiem.

Tarnowſki; coś na krwawych woynach zeſtarzały,
Wysłużył ſobie zaſzczyt, y ſławy y chwały,
Coś cały wiek twoy ſpędził, w ſzyſzaku y w zbroi,
Co ſię wzmianki Jmienia twego, Tatar boi.
Co przeplataſz zwycięzkie Laury, z ſiwym włoſem,
Z iakim też, dziś zwieść bitwę, ſpodziewaſz ſię loſem?

T A R N O W S K I.

Do ſchyłku życia mego, woiuiąc od dziecka,
Nigdy mię nie trwożyła potęga Turecka.
Znoſić tłumy Poganow, wprawiona ta ręka,
Minęło lat pięćdzieſiąt, iak ich w boiu nęka,
Jak w kilku małych hufcach, mężne naſze ramie,
Stotyſięczne ich ſzyki, ły znosi y łamie.
Lecz Panie, gdyśmy Pogan, płoſzyli iak zwierza,
Mieliśmy dobrą ſprawę, mieliśmy żołnierza.
Teraz, gdy po ztwierdzonym przyſięgą pokoiu,
Ciągniem niechcących Turkow, do krwawego boiu,
Jeżli ſzczęście poſłuży, ſprawiedliwey ſtronie,
Zważ, czy Turkow, czy naſze, Laur uwieńczy ſkronie.
Na Woyſko twe gdy ſpoyrzę, tckni mi ſię, y nudzi,
Ze nie mamy żołnierzy, ale tylko ludzi.
Złożony z ſług Kościelnych ten twoy gmin pobożny,
Inſzemi cnoty chwalny, w dzielność niezamożny.
Lud co nietrzyma ſzyku, co zrożſzy przy Farze,
Niezna Obozu, tylko Kościoł y Ołtarze. *
Co chyba z kadzielnicy zna dymu potrochu,
A przez ſwe życie nigdy niepowąchał prochu.
Tłum niesforny, pierzchliwych dzwonnikow y żakow,
Jeſt to częśċ naylicznieyſza, Władyſława znakow.
Z tego, com ci przełożył, domyśliſz ſię ſnadnie,
Jaki, ieżli ſię ſpotkaſz, los ci dziś wypadnie.

WŁA-

* *Zwyczay ten, w przeſzłych wiekach, że Kościelni ludzie kommendowali woyſkami y służyli, był przedtym nienaganny, teraz go więcey niesłychać.*

WŁADYSŁAW.

Widzę go iak w zwierciedle; lecz w zyſku, czy w ſzkodzie,
Jak mowią: nie możemy płynąć przeciw wodzie,
Gdy mię tu zprowadziła, łatwość nieoſtrożna,
Miarkuię, że mi nazad, cofnąć ſię niemożna,
Za dolą moią poydę, zamrużywſzy oczy,
Wſzak nikt, ſzczęścia y życia kreſu, nieprzeſkoczy,
BOG rządzi, loſem krwawey bitwy, on nam zgoła,
Zwycięzki, czy Męczeńſki Laur, zeſzle na czoła.
Nie ufam wprawdzie, w płochym poſpolſtwa motłochu,
Co dotąd, nigdy ieſzcze, nie powąchał prochu,
Lecz ośm tyſięcy Węgrow, przywykłych do bitwy,
Cztery tyſiące, mężnych Polakow y Litwy.
Lubo przyſzczupłe Woyſko, lecz do zwycięztw zręczne,
Przełamać może Pogan, tłumy ſtotyſięczne,
Na oſtatek, woiuiąc męſtwem, a nie likiem,
Albo będę zwycięzcą, albo Męczennikiem.

TARNOWSKI.

Nie śmiem nazwać Męczeńſtwem krwi Chrześcian zdroiu,
Ktora nie w cierpliwości leie ſię, lecz w boiu,
Ktora nie wiem, czy twoiey, luſtr przynieſie ſławie,
Y czy tą krwią ſzafuie Cnota, czy bezprawie.
Wſpaniałe wielkich Krolow, y ſerca y duſze,
Zwykłyż łamać przyſięgi? y zrywać Soiuſze?
Co rzecze świat? gdy dotąd, Władyſław bez wady,
Da mu złamania Paktow zawartych, przykłady?
Mowić muſzę; choć moia śmiałość cię urazi,
Zważ Panie, czy ta woyna, ſławę twą nie ſkaźi,
Milczenie by mą Cnotę, mogło oſzkaradzić,
Przyſiągłem ci na wierność, wiernieć muſzę radzić,
Lecz w tym, dołoż ſię świętych Biſkupow, tych czyſte
Nauki, czynią Niebios bramy otworzyſte,

Niech wprzod przeyrzą traktaty, y Chryſtuſa Xięgi,
Potym, niech każą trzymać, lub łamać przyſięgi,
Jeźli nam bitwę, radzić będą, ich wyroki,
W ogień, iak na weſele, poydziemy bez zwłoki,
Dotąd podobno, w ſzykach ci Swięci Paſterze,
Obronnie tylko, łożyć chcą życie, przy Wierze,
Lecz gdy Turczyn, o pokoy, dziś przez poſły ſwoie,
Prośi; niech każą, czy krew toczyć, czy zdiąć zbroie.

WŁADYSŁAW.

Naradzaią ſię o tym, z Julianem Poſłem
Oyca Swiętego, z ktorym, y ia ſię iuż znioſłem,
Ten, ſłynący mądrością, y Cnotą Kardynał,
Zyczy; bym ſę oſtrożnie, z Turczynem poczynał,
Ktory gotuiąc całey, kaydany Europie,
Mnie wprzod zdradza, podemną naprzod dołki kopie,
A gdy iuż trąby naſze, y kotły brzmią hucznie,
Wprzod nas zdradą, niż męztwem, chce pokonać ſztucznie,
Y kiedy mu iuż, Polſka ſzabla, w oczach błyſka,
Nim wſzyſtkie Woyſko zkupi, myśli iak czas z zyſka.
Jawna rzecz ieſt, że chytrze uwodzi nas, zwłaſzcza;
Gdy widać ſrożſzą woynę z pod pokoiu płaſzcza.
Wſzakże wieſz; że ſzpiegowie, y dzienni y nocni,
Twierdzą nam, iż ſię Turczyn, w tych dniach bardzo zmocni,
Ze mu żołnierz co moment, przybywa iak woda,
Ze mu Azya, nowych ſzykow, w prędce doda,
Woyſko zaś naſze, ktore odległość daleka,
Dzieli od naſzych, wſparcia iuż nizkąd nie czeka,
W iednym Bogu pokłada, wſzyſtkie ſwe nadzieie,
A w nim ſamym ufaiąc, w męſtwie ſię nie chwieie,
Toć, gdy go Turczyn, płonnym pokoiem uwodzi,
Im dłużey czeka bitwy, tym ſę bardziey ſzkodzi.
Lecz powracaiącego, ſłuchaymy Zawiſzy,
Czy burz Woiennych, czyli pokoiu zaciſzy,

Zyczą Swięci Biſkupi, opowie nam, ieśli,
Już ſię z ſobą na zdanie, iednomyślne znieśli.

SCENA DRUGA.

ZAWISZA, WŁADYSŁAW, TARNOWSKI,

ZAWISZA.

KArdynał cię z Węgierſkich Infułatow gronem,
Uniżonym przezemnie, obſyła ukłonem,
Jednomyślne ich zdania, y zgodne ſą uſta,
Na to; byś ſię ſtrzegł zdrady, Turczyna oſzuſta,
Bo pewnie, ieżli mu ſię chytrość iego uda,
W przepaść cię, ſztuczna iego, pogrąży obłuda.
Tak zawſze czyni Turczyn, gdy mu kto dowierza,
Chcąc czas z zyſkać, oświadcza chęć ſwą, do przymierza.
Potym Woyſko ſkupiwſzy, zrywa pakta płonne,
Gotuiąc Chrześcianom, klęſki nieuchronne,
A Traktat zamieniony, w ſrogość ſwego barku,
Mieczem w krwi ich zbroczonym, piſze im na karku.

WŁADYSŁAW.

Niżli bitwę, lub pokoy, Władyſław obierze,
Chce zdanie Tarnowſkiego, uſłyſzeć w tey mierze,
Sławny Wodzu; Laurami znakomity Starcze,
Coś wiek ſpędził, ſzarzaiąc Szyſzaki y Tarcze,
Coś zroſł, y zſtarzał w Woynach, a wyſługą krwawą,
Jmie twe, wiekopomną zaſzczyciłeś ſławą,
Jak mi radziſz? czy oſtre dobywać bułaty?
Czy wziąć ſię do pokoiu, y piſać traktaty?

Za Twoim zdaniem poydę, bo wiem, że nie zbłądzi,
Kto ſię ſędziwych ludzi, mądrą radą rządzi.

TARNOWSKI.

Ty mow z Poſły, ia Woyſku dobyć każę miecze,
Tak pokoiu; ni bitwy, czas nam nie uciecze,
Zmowie z Turkami, założ termin dwugodzinny,
A kto zerwie traktaty, krwi Woyſk będzie winny.
Jeźli ſię do pokoiu, Turkow ſkłonność zyści,
Szukay w nim, Chrześciańſkiey ſławy y korzyści.
Jeźli zaś nas obłudą, uwodzą Poſłowie,
Każ nam, mężnie nieść na plac, y życie y zdrowie.
Tak y Poſłow nie zraziſz, y unikneſz zdrady,
To zdanie Tarnowſkiego; te ſą iego rady.

WŁADYSŁAW.

Ty Zawiſzo; wſławiony przez Tureckie klęſki,
Coś przywykł, czoło twoie ſtroić, w Laur zwycięſki,
Ty; ktorego obfity Dom, walecznych Przodkow,
Zawſze Rycerzow, nigdy nie wydał wyrodkow,
Radź mi; czy Pakta zawrzeć mam, czy woynę toczyć,
Czy bitwę zwieść z Turczynem, czy z nim w przyiaźń wkroczyć.
Ten co potęgę Pogan, y niſzczył y burzył,
Ocieć Twoy, pod Gołubcem, w ſwey krwi ſię zanurzył.
A gdy Turkow, ſwą mężną ręką, z placu zmiata,
Poległ, oſtrzem płytkiego Poganow bułata,
Y na ziemi wſławiwſzy, mężne czyny ſwoie,
Poſzedł z męczeńſkim Laurem, w Niebieſkie podwoie.
Wprzod zaś Cnotą, z krwią wlaną, podzielił ſwych Synow,
W ktorych ſię zwiękſza ſława, dzielnych Jego czynow.
Ty mi poradź; z walecznych Braci twych nayſtarſzy,
Czy w przyiaźni żyć z Turkiem, Pakta z nim zawarſzy,
Czy też dobyć płytkiego, ſzabli moiey oſtrza,
Niech Chrześcian granice, y ſławę rozpoſtrza.

ZAWISZA.

Gdy twoie Krolu ſkronie, Rycerſkie twe czoło.
Y Korony y Laury, uwieńczaią wkoło,
Gdy w każdey bitwie, zwykły mieć ſławę w zdobyczy,
Szczęście z zwycięztwem, wodziſz z ſobą, iak na ſmyczy,
Gdy od iednego ziemi, do drugiego końca,
Słynieſz; wſpaniale zwany, Chrześcian obrońca,
Gdy Ceſarz wſchodni mężney twoiey wzywa ręki,
Gdy cię o bitwę proſzą, ludow płacz y ięki,
Czemu Panie, na całey Europy okrzyki,
Nie ſpieſzyſz ſię, byś z nami łamał, Turkow ſzyki,
Wieſz dobrze, iak ſię zatrząſł, Tron Paleologa,
Jaka tego Ceſarza wſchodniego ieſt trwoga,
Y iak Konſtantynopol ſzlocha, iak rozpacza,
Ze Poganin iuż prawie, w bramy iego wkracza,
Ze go nic nie pocieſzy, nic nie ubeſpieczy,
Jeżeli twoiey ſpełznie, nadzieia odſieczy,
Czyli żałuieſz Panie, krwi naſzey y znoiu,
Czyli ſobie ſmakuieſz, w ſłodyczy pokoiu?
Czy rozumieſz, że ſzczęście będzie ci przeciwne,
Ze przekładaſz nad Laury, gałązki oliwne?
Wſzak gdy za ciebie Boga, Chrześcianin błaga;
Sława twoia codziennie, zwiękſza ſię y wzmaga,
Wſzak; gdy Kościoł za tobą, w Niebo ręce wznośi,
Słynieſz, od iedney świata, aż do drugiey ośi.
Podufay Panie naſzey, y ſzabli y zbroi,
A uznaſz, że nam Turczyn placu nie doſtoi,
Jle że te ſą tylko, Woyſk twoich otuchy,
Zwyciężyć, lub Rycerſkie, w boiu wythnąć duchy.
A gdy Polak, y Węgrzyn mężny, śmiercią gardzi,
Szablą iego Poganie, poſkromią ſię hardzi,
Y ſam Turczyn, przed światem, z drzeniem ſerca przyzna,
Ze w Laury twe zwycięzkie, ta ziemia ieſt żyzna.

WŁA-

W Ł A D Y S Ł A W.

Władysław poufale, wam obom się zwierza,
Że lubo bardziey iego chęć, do woyny zmierza,
Jednak się między woyną, a Pokoiem chwieie,
Ważąc, to małość Woyska, to w męstwie nadzieie,
Chwila iedney godziny, pokaże, azali,
Woyna Pokoiu, na tey, nie przeważy szali,
Niźli się zaś zwycięstwem, czyli klęską wsławię,
Sam się na moment, z memi myślami zabawię.

SCENA TRZECIA.

W Ł A D Y S Ł A W S A M.

PIerwiastki życia mego, kwitnący wiek młody,
Jakże mi upływaią, nakształt bystrey wody.
A ia, gdy mi naylepsze, iak cień schodzą lata,
W dobie dni naypięknieyszych, nie zażywam świata,
Nie zna dotąd miłości, młodzieńskie me serce,
Sława mną szarza, w ciężkich trudow poniewierce,
A kto wie, czy wprzod, niźli będę oblubieńcem,
W boiu, głowa z zwycięzkim nie spadnie mi wieńcem?
Rzadko berło, a często szablę, trzymam w ręku,
Rzadko na Tronie siedzę, a często na łęku,
Y kiedy po woiennych pracach, sen mię zmorzy,
Budzą mnie kotły, pierwey niźli dzień przysporzy.
Korony, co się do mnie, wpraszaią y cisną,
Nie raz mi się przez dolę chwieią nienawisną,
A gdy Woysko na miecze, wiodę iak na iatki,
Myślę, że iuż mam skończyć, dni moich ostatki,
Y kiedy ie poświęcam, na ofiarę sławie,
O wygranę nie pewną, dobiiam się krwawie.

Wątpiąc o powodzeniu, śliſkich moich krokow,
Czekam, śmierci lub życia, niepewnych wyrokow,
A biedząc ſię co dziennie, iaki mię los ſpotka,
Widzę, że ſtan Monarchy, gorſzy ieſt, niż kmiotka,
Ale coż; za naſzemi loſy, iść nam trzeba,
Y tam ſię powodować, gdzie prowadzą Nieba,
Władyſław; co panuie, w Węgrzech, w Polſzcze, w Litwie,
Zwycięży, albo zginie, w krwawey z Turkiem bitwie.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

ZAWISZA, y EMILIANNA.

ZAWISZA.

WYbacz Emilianno, że w pośrzodku woyny,
Zołnierz Młodzian, śmiem u nog twoich, ſtawać zbroy-(ny,
Wſzak, gdy Zwycięzcy Laurem, z czoła otrą znoie,
Na tryumfach, przed ſobą, każą noſić zbroie,
Okrytego żelazem, Rycerſkiego męża,
Jedne twych pięknych oczu, ſpoyrzenie zwycięża,
Wieſz podobno od ſławy, żem w boiu zuchwały,
Patrz, iak u ſtop twych ieſtem lękliwy, nieśmiały,
Zwyciężonym; a ſłodkie noſząc w ſercu rany,
Całuię więzy moie, y kocham kaydany,
Sliczne oczy, ſkład cudny, bielſzey niż śnieg twarzy,
Piękność, iakiey ſię nigdzie, obaczyć nie zdarzy,
Wdzięczne lice, co gaſzą lilie y roże,
Ktore ktokolwiek widzi, nie kochać nie może,

Gmin wyſokich Cnot twoich, ktorych nikt nie zliczy,
Zawiſzy ſerce wzięły, w hołd ſwoy niewolniczy,
Ten co ślicznie wychodzi, z zrzenic twoich promień,
Wzniecił we mnie, miłości twoiey, czyſty płomień,
Wſzyſtek nim pałam, w każdey twych ogniow iſkierce,
Pożar żądz goreiących, czuie moie ſerce,
Ktory albo dziś w boiu, śmierć mą krwią zaleie,
Albo go piękniey wzniecą, łaſk twoich nadzieie,
Wiem że do zacney Corki, Raſcyi Deſpoty,
Mogą ſię y Krolowie, odezwać w zaloty,
Ale kto w Polſzcze, ſiedzieć może między Pany,
Krolow obiera, Krolem może bydź obrany,
Y kto ſię zacnym rodzi, w tym Narodzie wolnym,
Ten, y dawać Koronę, y noſić ieſt zdolnym.

EMILIANNA.

Panieńſkiemu wſtydowi, racz wybaczyć Panie,
Że słowa, w uſtach moich, tłumi pomieſzanie;
Bo ta, ktorą od ciebie, dziſiay ſłyſzę mowa,
W mych uſzach, niezwyczayna zdaie ſię, y nowa,
A moy ięzyk, przed tobą prawdziwie to wyzna,
Że pierwſzy o miłości, mowiſz mi męſzczyzna,
Nie znam dotąd kochania, y nie mogę wiedzieć,
Co mi należy, na twoy dyſkurs, odpowiedzieć,
Naradzę ſię z Rodzicem, a kochany Ociec,
Tey dla mnie taiemnicy, będzie umiał dociec,
Nie ſądź iednak, z tey zwłoki, że moy umyſł hardy,
Znakiem ma bydź, moiego gniewu, albo wzgardy,
Dalekam od tych mysli, ſzacuię twe cnoty,
Cenię, zacności twoiey y męſtwa przymioty.
Rozum y ſerce twoie dość mi ſię podoba,
Nie mogę ieſzcze mowić; ieźli y Oſoba,
Zoſtawmy to czaſowi, a co nam Bog ſądzi,
Stanie ſię tak, iak dolę naſzą rozporządzi.

Snuie iedwab z wnętrzności, robaczek na morwie,
A nie wie, gdzie go wprędce, nawalny wiatr porwie,
Y my poydziem, gdzie oko Naywyższego skinie,
A co komu przeznaczył Bog, to go nie minie.

ZAWISZA.

Z przyiemnego mym uszom, twych ślicznych ust głosu,
Wnoszę sobie: łaskawy wyrok, mego losu,
Gdy pełne Cnot wysokich, twe serce dziewicze,
Nie odmawia mię przyiąć, w więzy niewolnicze,
Nie śmiałbym, tak się w pychę wzbiiać, y wynosić,
Bym cię o cień nadziei, odważył się prosić,
Na te łaski, naywiększe, po Bogu y Niebie,
Ani dosyć Cnot nie mam, ni zasług u Ciebie,
Dościem szczęśliwy, kiedy w twych pięknych zrzenicach,
Wzgardy nie widzę, tylko wstyd śliczny na licach,
Ten dar Niebios tak cenię, że z losy moiemi,
Nie kładę nigdzie szczęścia, rownego na ziemi,
Zebym zaś wart był Ciebie, y twoich cnot godzien,
Albo powrocę do nog twych, sławy nie głodzien,
Albo z gminow Tureckich, krew leiąc orężem,
Z twą miłością, y z sławą, na placu polężem.

EMILIANNA.

Szablą robiąc na sławę, y woiuiąc bitnie,
Ufay, że na twym skroniu, nowy Laur zakwitnie,
Ze gdy potęgę Turkow, zwątli y wycieńczy,
Zawisza; dziś się pięknym, tryumfem uwieńczy,
W pośrzodku gminu Pogan, czyniąc męstwa cuda,
Gdzie ty, tam y zwycięztwo poydzie, tam się uda,
Gdzie się z mieczem obrocisz, wszędzieć się poszczęści,
Rozproszysz hufce Turkow, na tysiączne części,

A nurzaiąc w Poganach miecz y rękę krwawę,
Zmieciesz z placu ich szyki, tak, iak wiatr kurzawę,
Te są moie życzenia, a Bog, co człowieczy,
Los ma w ręku; niech w boiu, w swoiey cię ma pieczy.

ZAWISZA.

Pierwey niźli Zawisza, z Turkiem bitwę stoczy,
Męstwa mu przyda: ogień pięknych twoich oczy,
W cnotach twoy uczeń, w słodkiey twoy więzień niewoli.
Jdę doświadczać, losu moiego y doli,
Jeźli zdrow wyidę z boiu, twą miłością ranny,
Smierci lub życia czekam, z ust Emilianny,
Jeźli zginę; za krwawy na Cnotę zarobek,
W nadgrodę czynow moich, chcę mieć ten nadgrobek:
Tu spoczywa Zawisza, ktory w czoła pocie,
Na Woynach, krwią y życiem, mężnie służył cnocie.
Szczęśliwy; że wysłużył, y korzystał siła,
Gdy nim, Emilianna piękna, nie wzgardziła.

SCENA DRUGA.

WŁADYSŁAW, y EMILIANNA.

WŁADYSŁAW.

SLiczna Emilianno, składam pod twe stopy,
Berła, co wielką częścią, władaią Europy,
Tego, ktory Narodom wolnym, daie Prawa,
Krola za niewolnika przyimiy Władysława,
Kilka Koron, Laurowym przeplatanych wieńcem,
Ciśnie się do nog twoich, z Rycerzem młodzieńcem,
Ale droższe, niźli to wszystko, niosę dary,
Serca kochaiącego, dozgonne ofiary,

Tego ſerca, o ktorym ſława wiernie głosi,
Ze w cnoty bogatſzego, nikt z męſzczyzn nie nosi,
Przyimiy hołd ieſzcze ieden, winny twey piękności,
Nigdy przedtym nie znaney pierwiaſtki miłości,
Ktorą z podziału ſerca, Korony y Tronu,
Piękney Emiliannie, chcę przyſiądz do zgonu.
Wiem że to wſzyſtko fraſzka, ważone na ſzali,
Z twemi Cnotami, ktore świat wielbi, y chwali,
Nad-ludzkie twe przymioty cenię tak wyſoko,
Ze znam, iż mię powinno, przenoſić twe oko,
Ale, że iak ty Cnotą, gaſiſz wſzyſtkie Damy,
Tak my ſławą, Monarchow wſzyſtkich przewyżſzamy,
Jak ty, przedziwną Panny zwyciężaſz urodą,
Tak mnie nad innych Krolow, zwycięztwa ſię wiodą,
Przeto, niepłonnie tego ſpodziewam ſię ſzczęścia,
Ze mi nadzieię twego uczyniſz zamęścia,
A o ſercu wſpaniałym, o piękney twey duſzy,
Moia miłość w twych oczach, dobrze ſobie tuſzy,
Ze te; ktorem do Ciebie, śmiał uczynić kroki,
Przyimą ślicznych uſt twoich, łaſkawe wyroki.

EMILIANNA.

Wielki Krolu; wybaczy twe ſerce wſpaniałe,
Ze ięzyk moy lękliwy, uſta me nie śmiałe.
Zgodney do twey powagi, duſkurſu oſnowy,
Pięknie dobieranemi, nie wyrażą ſłowy,
W poranku życia mego, w kwitnącey młodości,
Nie mam ieſzcze z kochaniem, żadney znaiomości.
A z Cnotą tylko trwaiąc, dni y nocne cienie,
Nie znam miłości; nie wiem, co to za ſtworzenie,
Na twe ofiary, tyle mogę mowić Panie,
Ze ie czcić, w mym należy, nie przyimować ſtanie,
Wyznać mogę, że Cnoty twe, moy rozum kocha,
Ale ieſzcze nie ſerce, bo bym była płocha,

Cnoty, Berła, Korony, Laur zwycięzkich wieńcow,
U Panien ziednać mogą, ſzacunek Młodzieńcow,
Lecz miłość w czyſtych naſzych, nieprzyſtoi ſercach,
Dotąd; aż nie ſtaniemy, na ślubnych kobiercach,
Co ſię tycze zamęścia mego, to w tey mierze,
Przez uſta Oyca gadam, on moy los obierze,
A lubo piękne ſerce, y umyſł wſpaniały,
Hoyną ręką, łaſkawe Nieba, w Ciebie wlały,
Lubo wolnych Narodow, oſiadaiąc Trony,
Od Cnoty, nie od ſzczęścia, odbieraſz korony.
Lubo w Laury zwycięzkie, uwieńcza Cię ſława,
Obrońcą Chrześciańſtwa, zowiąc Władyſława,
Lubo ten twoy tak wielki luſtr, biie mi w oczy;
Me ſerce w przyiaźń z tobą, bez Oyca nie wkroczy,
Wiele czynię, gdy mowię; że w moiey zrzenicy,
Doczytaſz ſię, moiego ſerca taiemnicy.

WŁADYSŁAW.

Sliczne oczy, zwierciadła duſzy, ſerc tłumacze,
Wy mi bądźcie, mych loſow, wierni powiadacze,
Wy ſię zemną rozmowcie; wſzak pięknych ſerc dwoie,
Rozmawia ſię oczami; zgada-myśli ſwoie,
Wy mi bez ſłow powiedzcie, taiemnie y ſkrycie,
Co mię w ſercu mey Pani, czeka; śmierć czy życie,
Wſzak wy naypierwey wiecie, to co ſerce czuie,
Wſzak na was, miłość, wzgarda, y gniew ſię maluie,
Ale co widzę? czy mię zrzenica nie łudzi?
Czytam w twych oczach, żem ieſt nayſzczęśliwſzym z ludzi,
Nieba! Emilianno! oczy! ſerce śliczne!
Rozum! uroda! grzeczność! przymioty rozliczne!
Y ten zbior tak wſpaniały, Cnot nieſkażytelnych,
Jak że mię wywyżſzaią, nad dolę śmiertelnych.

EMI-

EMILIANNA.

Skończmy Panie rozmowę, bo mniemam że pono,
Z oboiey ſtrony, nazbyt iuż dotąd mowiono,
O więcey ieſzcze proſzę, racz mię tu zoſtawić,
Y pozwol mi ſię ſamey, z myślami zabawić,
Ma prozba, niewiem, czy ieſt śmiałość, czy proſtota,
Ty wieſz, że o co proſzę, to nam każe Cnota.

WŁADYSŁAW.

Twoy rozkaz, ſobie ważę, tak, iak wyrok Nieba;
A kiedy Cnota, y ty każeſz; wyiść potrzeba.

SCENA TRZECIA.

EMILIANNA, y FAUSTYNA.

FAUSTYNA.

MAm czego powinſzować, Sioſtro twey piękności,
Że w ſercach wielkich Krolow, mieści ſię y gości,
Słuſznie ſię twa ſurowość, na innych natęża,
Kiedy uroda twoia, Monarchow zwycięża,
Zeſzłam ſię z Władyſławem, a tę ktorą pała,
Miłość; z oczu y z twarzy, Jegom wyczytała,
Tenże płomień poſtrzegłam, w zrzenicach Zawiſzy,
Lecz gdzie ſię Krol odzywa, tam ſię Wodz uciſzy.

EMILIANNA.

To, co ci Sioſtro powiem, niech będzie w ſekrecie,
Dotąd; ieżli ſtworzenie, iakie ieſt na świecie,
Co go zowią miłością nie wiedziałam, ani
Słyſzałam, że wzrok pięknych oczu, ſerca rani,

Pułgodzinna, nie wyszła ieszcze, czasu chwila,
Jak mi się pierwszy w życiu, Zawisza przymila,
Ktory co tylko wyszedł, Krol zaraz w też tropy,
Przychodzi; do zamęścia daiąc mi pochopy,
Ale kochana Siostro, nierozumiey, aby,
W miłość mię wplątać mogły, te słodkie powaby,
Darmo, by się w me serce, Krol wpraszał sto razy,
Nie kocham; poki Oyca, nie zaydą rozkazy.

FAUSTYNA.

Zdradzaią cię twe oczy, y ślicznie rumiany,
Wstyd wydaie, że słodkie nosisz w sercu rany,
Bo kiedy Władysława, twoy ięzyk wymieni,
Twarz ci miłość, swą farbą, rożową czerwieni.
A w tych zrzenicach, mocą niewidomey ręki,
Maluie Syn Wenery, przyiemność y wdzięki,
Bądź zaś pewna, że z Cnotą zgodney, serca chętce,
Wyrok Nieba, pomyślny skutek, zdarzy wprętce,
Bo nasz Ociec, co wolą twą, y moią władnie,
Na tak piękne zamęście twe, pozwoli snadnie,
Wzaiemnie ci zaś Siostro, powierzę moy sekret;
Nie wiem iaki mey doli, Niebo wyda dekret,
Aleby się me serce, zgodziło z Niebiosy,
Jeżliby żyć z Zawiszą, wypadły mi losy,
Podobał mi się; z wielkich Cnot, gminu y tłumu,
Insi kochaią z serca, ia kocham z rozumu.

EMILIANNA.

Nie dziw, że grzeczność, zacney y Cnotliwey młodzi,
W sercach Dam, skryte żądze, y wznieca y słodzi,
Lecz Nieba przeznaczaią, z kim w dozgonney parze,
Do przysięgi przed Swięte, poydziemy Ołtarze,
Niżeli się zaś dowiem, iak mi los okryślą,
Radzić się w osobności, chcę z sercem y z myślą.

SCE-

SCENA CZWARTA.

EMILIANNA SAMA.

KTo miłość, słodką nazwał, pomylił się w zdaniu,
Nie przystoi tak piękne nazwisko kochaniu,
Stworzenie, ktore serca rani, łzy wyciska,
Nigdy niegodne, tylko Tyrana nazwiska,
Wzdychać, ięczyć, rospa zać, narzekać, y szlochać,
Powieda, że rzecz miła iest; byleby kochać,
Kogo zdradliwa iego, uśidli ponęta,
Każe mu swe całować, kaydany y pęta,
Slepe swym posłuszeństwo rządzom, zowiąc cnotą,
Gdzie skinie, krew y życie, nieść każe z ochotą.
Ten Tyran, w opłakaną wziąwszy mnie niewolę,
Okrutnie dręczy moią myśl, serce, y wolę,
Bol moy taić mi każe, męki cierpieć skrycie,
Na złość mi zostawuiąc, gorsze niż śmierć życie,
W pierwszych poznania mego, z miłością początkach,
Już ią w naygłębszych serca, uczułam zakątkach,
Ogniem mię pali, ktory choć łzami obleiem,
Tak się wzmaga, iak płomień, gaszony oleiem,
A do samey swą mocą, przenikaiąc duszy,
Myśl słabi, siły wątli, y ciało me suszy,
Moment; iakem zaczęła, kochać Władysława,
A iuż boiaźń, żal, rozpacz na myśli mi stawa,
Już mię okrutna miłość straszy, że nie minie,
Godzina; a ten wielki Krol, w tych polach zginie,
Ze gdy w bitwie lać gotow, krew swą nieoszczędnie;
Korona iego spadnie, y Laur iego zwiędnie,
Ze te berła, te wieńce ktore mi pod nogi,
Rzucał; zetnie swą kosą, śmierci zamach srogi,
Ze tego Krola Cnoty, odwagę, y męstwo,
We krwi iego zanurzy, Turczyna zwycięztwo,

Ze się Władysław, w polach tych, swą klęską wsławi,
A memu sercu, smutek, żal, y śmierć zostawi;
Te myśli, straszne we mnie, wzbudzaią rospacze,
Wyciskaią wzdychania, ięczenia y płacze,
Tyle mam z okrutnego, kochania korzyści,
Coż dopiero czuć będę? ieźli się strach zyści.

AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA,

KORWIN, y TARNOWSKI.

KORWIN.

SŁawny Wodzu, Rycerzu mężny, y szczęśliwy,
Ktory wielą Laurami, zdobisz włos twoy siwy,
Ktorego ręka, Turkow w krwi własney zanurza,
A szeregi ich ściele, tak, iak kłosy burza,
Ty; co iak tylko Woysku, dobyć każesz miecze,
Blaskiem ich przestraszony, Tatarzyn uciecze,
A sławney szabli twoiey, boiąc się zamachu,
Przed bitwą, zwyciężonym zna się bydź od strachu,
Tobie, Korwin z ufnością, swe serce otworzy,
W przod niżli krwawey z Turkiem, bitwy czas przysporzy,
Wielkiego Mistrza w woynie, ciebie się poradzi,
W przod, niż na tłumy Pogan, Węgrow poprowadzi,
A przezorną twą radą, kieruiąc swe kroki,
Smiele poydzie, gdzie Niebios rozkażą wyroki,
Powiem ci naprzod, bardzo nie dobre nowiny,
Ktore iakem odebrał, nie masz puł godziny,

Jdę od Krola; ktory myśl ſwoią taiemną,
W gorzkości ſerca ſwego, wynurzył przedemną,
A w oſobnym ſam na ſam, zoſtawſzy namiocie,
Rozmawiał o dziſieyſzym, loſow ſwych obrocie,
Ten Pan, ktorego umyſł wielki, y wſpaniały,
Nie wzruſzony w nieſzczęściach był, iak w burzach ſkały,
Ktory ſto razy śmiercią, otoczony w koło,
Na ognie y na miecze, poglądał weſoło,
Dziś iak inſzy; z pogodnych dotąd, iego oczy,
Dziś pierwſze łzy, zła dola, wyciſka y tłoczy,
Ten wielki Krol, weſtchnąwſzy, ściſnął mię, a w głowę,
Całuiąc mię, żałoſną zaczął do mnie mowę,
Temi ſłowy: czy wieſzże, kochany Korwinie,
Ze dziſiay twoy Władyſław, zwycięży lub zginie,
Dziś albo nowym Laurem, me ſkronie okryię,
Albo oſtry Turecki miecz, zetnie mi ſzyię,
Trzeba iednak, wielkiego na to, Niebios cudu,
Zeby ten gmin świeżego, Woyſk Tureckich ludu,
Ktory dziś, bardzo zmocnił, Poganow ſzeregi,
Nie poſłał nas w mogiły, dziſiay na noclegi.
Wieſz że Turkom prześcia, do brzegow Pogańſkich,
Nie śmiały bronić Floty, Panow Chrześciańſkich,
Bo tak okręty ſwemi, Turczyn okrył morze,
Ze był w daleko większey, niż nasi ſił porze,
Z tak ſtraſzliwą potęgą, z tak niezmierną mocą,
Dziś, ten Azyi ſukkurs, Turkom przybył nocą,
Potym rzecze Krol; na tę wiadomość okropną,
A do oſtatniey klęſki, Woyſk naſzych pochopną,
Ztrętwiał Papieſki Poſeł Julian; a Swięci
Biſkupi; niezwyczaynym ſtrachem byli zdięci,
Moment minął; iak wyſzli odemnie ze łzami,
Czas mi daiąc z moiemi, bawić ſię myślami,
Daley Krol rzecze; y ty idź, a niech waleczny,
Naſz żołnierz w ſzyku, trzyma miecz ſwoy oboſieczny,

 Ty

Ty z Tarnowſkim, nayprędzey powroć tu, a razem,
Będziemy ſię ratować, radą y żelazem.
Ja na to; chociaż w myślach zatopion głęboko,
Do weſołości moie przymuſiwſzy oko,
Tylem rzekł: wielki Krolu, wielki woiowniku,
Wieſz; że Potęga Woyſka, ieſt w męſtwie, nie w likù,
A od Krola do ciebie, czyniąc kroki śpieſzne,
Przyſzedłem tu, nowiny głoſić niepocieſzne,
Teraz, radź Wodzu, w krwawych bitwach doświadczony,
O ſławie Chrześciańſtwa, Krola, y Korony.

TARNOWSKI.

Nie ieſt mi ſtraſzna, Turkow zwiękſzona potęga,
Ale zerwane Pakta, złamana przyſięga,
Ta mi ſerce przeraża, ta myśl moią trwoży,
Czy nie gniewny, wypadnie na nas, wyrok Boży,
O tym myślę, tego ſię obawiam, bo przecie,
Przyſięga, obowiązkiem wielkim ieſt na świecie,
Pokoy byłby naylepſzy; ale że po zmowie,
Dwugodzinney, zrażeni Tureccy Poſłowie,
Odiechali, a zaraz potym, wielkie ſiły,
Woyſko ich, nowych ſzykow przybyciem zmocniły.
Choćby o pokoy proſił Krol, Turczyn nim wzgardzi,
Bo Poganie, ſą wſzczęściu zuchwali y hardzi,
Teraz nam nie zoſtaie, tylko iedna rada,
Niech Krol w Bogu, y w mieczu ufność ſwą pokłada,
Niech ta mała Rycerzow, Chrześciańſkich garſztka,
Krwi ſwoiey oſtatniego, nie ſzczędzi naparſztka,
Niech ią wſzyſtką poświęci, y wierze y ſławie,
Niech zwycięży lub zginie, w krwawey z Turkiem ſprawie,
Niech wierzy, że w dziſieyſzey bitwie, y potrzebie,
Zwycięzſki Laur otrzyma, na ziemi lub w Niebie.
Ale tu do nas, mężny Zawiſza pośpieſza,
Smutno patrzy, twarz iego, mieni ſię y mieſza,

Znać;

Znać; że go ta zaſmuca, co y nas przyczyna,
Bardzo wielkie zmocnienie, Potęgi Turczyna.

SCENA DRUGA.

ZAWISZA, KORWIN, y TARNOWSKI.

ZAWISZA.

SŁawni Rycerze, wielcy Woyſk naſzych Wodzowie,
Niepocieſzne nowiny, Zawiſza wam powie,
Moy Podiazd, gdy ſię bliſko, pod Turkow podmyka,
Powiedacza okropnych wieśći, wziął ięzyka,
Agę od Krymſkich, ktory pod utratą życia
Twierdzi, że ſam ieſt świadkiem Woyſk wielkich przybycia.
Widział ten Aga Pułki, Piechoty, y Jazdy,
W takim gminie, y liku, iak na Niebie gwiazdy,
Tey nocy, pierwey niżli zaświtało zorze,
Przyſzedł ten tłum z Azyi, przeſſany przez morze,
Ktore tak napełniły, poganow okręty,
Że Flocie Chrześciańſkiey, uczyniły wſtręty,
Od zaczepki, y owſzem, naſza Flota nagle,
Daleko od Poganow, obrociła żagle,
Drugą ieſzcze wiadomość, przydał tenże Aga,
Że ſię dziſiay, na krwawą bitwę, Turczyn wzmaga,
Że iak tylko godzinę lub dwie, Sukkurs ſpocznie,
Turczyn z nami do boiu, poydzie nieodwłocznie,
Że nas iak za zginionych, u ſiebie poczyta,
Twierdząc że iego koni, zetrą nas kopyta,
A zuchwale, ſwey hardey podchlebiaiąc dumie,
Potęgę Woyſk zakłada, nie w męztwię, lecz w tłumie,

Tegom Agę, do Krola, kazał poprowadzić,
Nim tam sam poydę, z wami chciałem się naradzić.

KORWIN.

Mocnieyszy Bog; niż wielkie, hardych Pogan gminy,
Potęgę Turkow skruszy, w małe odrobiny,
Jak wiatr kurzawę z ziemi, tak ich z placu zmiecie,
Ten, ktory iest naywiększym, mocarzem na świecie,
A Turczyn,co się strasznym mnostwem,woysk swych chwa-
Wielkośćią y potęgą swą, sam się obali, (li,
Jak wieża, na gwałtownym, upadaiąc wietrze,
Wagą y mocą swoią, złamie się y zetrze,
Węgrzyn; gdy iego szablą, Bog raczy powodzić,
Będzie w dzisieyszey bitwie, w Poganow krwi brodzić,
Gdy w potyczce Naywyższy, stanie przy Polaku,
Gminy Tureckie, w małym przełamie orszaku,
A kiedy Pan zastępow, dopomoże Litwie,
Małym hufcem, tłum wielki Pogan, zniesie w bitwie,
Wszak nie raz, straszne gmachy, niezmiernego Domu,
Zniszczy ogień, małego piorunu y gromu,
Wszak Pałace; choć dachem, obłokow dosięgły,
Mała iskra, w popioły, obraca ich węgły,
Wszak mały Topor, wielki dąb, zrąbie na trzazki;
Y nas garstka, gmin Turkow zniesie z Bożey łaski;
A tę prawdę poświecie, głosić będzie sława,
Nie gmin wygraie, ale Bog y dobra sprawa,

ZAWISZA.

Takąż iak Korwin, ufność mam, w Bogu Zastępow,
Że da gminy Tureckie: na pastwisko sępow,
Że między połamane, y strzały y Łuki,
Na trupy ich Pogańskie, będą padać Kruki,

Ze krew ich ſtrumieniami, płynąc do Dunaiu,
Z wodą poydzie farbować, brzegi tego kraiu,
A naukę, da światu, Turkow klęſka ſroga,
Ze woyna rzecz ieſt ludzka, zwycięztwo rzecz Boga.
Zawiſza zaś, co Woyſkiem bitney Litwy włada,
Dziś ſobie, albo mężnie, zwyciężyć zakłada,
Albo ſię narażaiąc, na Turkow bułaty,
Za Wiarę krwawey Zycia odżałuie ſtraty.

K O R W I N.

Sliczne zdanie Zawiſzy, y umyſł wſpaniały,
Godne ſą wiekopomney, y ſławy y chwały,
Zdobią te ſentymenta, walecznych Polakow,
Przywykłych łamać tłumy Pogańſkich orſzakow,
Dziś Węgrow y Polakow, dwa bitne Narody,
O Laur albo o mary, poydziemy w zawody,
Ubiegać ſię będziemy, kto z nas większe męſtwo,
Pokaże w krwawym boiu, przez śmierć, lub zwycięztwo,
Korwin iuż ſobie obrał, przed dziſieyſzą ſprawą,
Chrześcianom zwycięztwo, a ſobie śmierć krwawą.
Szczęśliwy; ieźli chętnym, krwi ſwoiey okupem,
Laur Chrześcianom ziedna, a ſam padnie trupem,
Y w zamian piękny, za krew, życie, y Buławę,
Weźmie, dzieł ſwych Rycerſkich, wiekopomną ſławę.

T A R N O W S K I.

Poświęćmy krew y życie, Wierze, ſławie, Cnocie,
Łożmy ie chętnie w boiu, y w krwawey robocie,
Szukaymy mężnie, piękney śmierci, lub zwycięſtwa,
Tam gdzie będzie naywiękſza, Pogan ſzykow gęſtwa,
Jdźmy w ogień, iak idą na gody, a śmiele
Pytaymy, gdzie ſą Turcy, a nie iak ich wiele,

Gdy nam na gminy Pogan, zdarzy się uderzyć,
Smieymy moc Woyska męstwem; nie wielkością mierzyć,
A czekaiąc z rąk BOGA, Laurowego wieńca,
Nurzaymy szablę we krwi, Turczyna niekrzczeńca,
Szczęśliwym mieńmy tego, kto z nas w boiu legnie,
Kto za garstkę krwi, Niebios Krolestwo osięgnie,
Y za życie, tak wielkiey nadgrody niewarte,
Z boiu, poydzie w niebieskie, podwoie otwarte,
A ręką Boską z Lauru, Koronę uwitą,
Odbierze za Męczeństwo, w nadgrodę sowitą,
Do niey się wszyscy w boiu, wzaiem ubiegaymy,
A życie nasze drogo, Poganom przedaymy,
Y w setnym Turkow, ieden Chrześcianin trupie,
Niech leży, na pobitych, nieprzyiacioł kupie,
Kto z nas w krwawey potyczce; pierwey życie straci,
Niech w Niebie prosi BOGA, o zwycięztwo Braci,
Błagaiąc Naywyższego, w Męczeńskiey Koronie,
Niech Laur ziemski uprosi, Chrześciańskiey stronie.
Ale czas iść do Krola; raczcie mu się stawić,
Mnie się pozwolcie z memi myślami zabawić.

SCENA TRZECIA.

TARNOWSKI SAM.

NA schyłku życia mego, na rozstaniu z światem,
Stary Wodz, umrę ścięty, Tureckim bułatem,
A za Wielkiego BOGA, Nayświętszym wyrokiem,
Z boiu nie z łożka, poydę w grob, Rycerskim krokiem.
Szukałem w bitwach śmierci, gdym był w młodszey dobie,
Starzec; dzisiay to znaydę, czegom życzył sobie,
Wielbię BOGA, że w krwawey, głowy mey ofierze,
Dziś me życie poświęcę, y sławie, y wierze,

Ze wiek ſpędziwſzy w bitwach, w ranach, w pocie czoła,
Zginę przy doſtoieńſtwie, Krola y Kościoła.
Bo gdym w Woynach, ſtarości tak zgrzybiałey dożył,
Czas ieſt; abym mą głowę, za Wiarę położył,
Nie mogę piękniey umrzeć, a śmierć w takim zgonie,
Za ſzczęśliwſzą poczytam, niż życie na Tronie.
Kontent; że ſławnych zwycięztw, y Laurow tak ſiła,
Dziś, ze mną, iedna w ziemi, pochowa mogiła,
Ze krew, ktora Rycerſkim ogniem, we mnie wrzała,
Dziś na tych polach będzie, ſtrumieniem ſię lała.
Ofiaruię ią Tobie, Boże Chrześcianow,
Wyſłuchay ią, gdy wołać będzie, na Poganow.
Racz ich hardość potłumić, zuchwałość poſkromić,
Szyki ich zmieſzać, ſzablę ſtępić, gmin rozgromić,
Niechay, na ſiebie ſamych, obrociwſzy miecze,
Wzaiem ſię tłum Poganow, wycina y ſiecze,
Niech blaſkiem ſzabel naſzych, przeſtraſzony ſrodze,
Sam ſię zabiia, w ciężkiey roſpaczy y trwodze,
Niech Chrześcianow w bitwie, twa ręka zaſtawi,
A Turczyn niech ſię dziſiay, wielką klęſką wſławi.
Poświęcam ci mę głowę, na ofiarę krwawą,
A żebrzę; obdarz Woyſko twe, zwycięſtwa ſławą.
Ja za wiarę, mężnego w boju wytchnę Ducha,
Ty BOZE, na me proźby, racz nachylić ucha.

L

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

EMILIANNA y FAUSTYNA.

EMILIANNA.

NIech mi ſię godzi Sioſtro, przed tobą użalić,
Ze mię miłość ſwym ogniem nie przeſtaie palić.
Serce moie tak męczy, myśl moią tak trapi,
Ze wołam śmierci, niechay do mnie ſię pokwapi.
Okrutna nie przychodzi; znać w okropney Warnie,
Na moie ſię z miłością, ſprzyſięgła męczarnie,
Nie da mi prętko zkończyć, y życia y doli,
Y chce mię wolnym ogniem, zamęczyć powoli,
Nie oſchną z łez me oczy, a ſerca wzdychanie,
Y na krotką momentu chwilę, nieuſtanie.
Odetchnąć mi ſurowa miłość, nie dopuſzcza,
A myśl moię do żalu y troſkow poduſzcza.
Cnoty, Berła, Korony, Laury Władyſława,
Wſzyſtko to z iedney ſtrony, na myśli mi ſtawa.
Ale iak ſtraſzny widok, ſtawa z drugiey ſtrony,
Władyſław ścięty; we krwi ſwoiey zanurzony.
Tymi myślami miłość, zacząwſzy mię trwożyć,
Nie przeſtaie ſię na mnie odgrażać, y ſrożyć,
Straſząc mię, że krotkiego czaſu, prętkie chwile,
Me żądze w iedney z Krolem zagrzebią mogile.
Ach Sioſtro! gdyby można, żeby moie oczy,
Obaczyły go pierwey, nizli bitwę ſtoczy,
Gdybym ſię choć na krotki moment, z nim widziała,
Od ſerca bym przez uſta, to mu powiedziała:

Ze mi Ociec Cnot iego kochać, nie zabrania,
Niechayże dla mnie, życia swoiego ochrania.
Ze ieżeli on zginie, co chciał być mym mężem,
On szablą, ia miłością ranna wraz polężem,
Ze ieżeli nie życzy, abym była w grobie,
Niech życie moie, w swoiey zachowa Osobie,
Ze gdy na Laur zwycięzki, ma zarabiać krwawie,
Niechay mię nie zabiia, na ofiarę sławie.
Bo ieźli z nim ostatnie spełnią się wyroki,
Emilianna za nim, w grob poydzie bez zwłoki.

FAUSTYNA.

Nie mamy widzę Siostro, co wymawiać sobie,
Obieśmy zażalone, nieszczęśliwe obie,
Podobne łzy naszemu, los przeznacza oku,
A obydwoch Siostr serca, iednego są toku,
Jak ty, tak y Faustyna, y wzdycha y ięczy,
Podobnym ogniem miłość, pali nas y męczy,
A płaczem, y wzdychaniem, naszym nieużyta,
Dręczy nas w taynych serca, zakątkach ukryta,
Nigdy się w mych ięczenie, ustach nie ucisza,
Trwożę się, czy nie zginie, w tey bitwie Zawisza,
Czy nie da garła, Pogan zwyciężony tłumem,
Ten młodzian sławny Cnotą, męstwem, y rozumem,
A ten Rycerz, ktorego nie ieden laur zdobi,
Czy się w tey bitwie, szablą śmierci nie dorobi.
Ale żal tym czuynieyszy, serce me przenika,
Ze skrycie pałam, czystym ogniem Niewdzięcznika,
Ze gdy myśl moia, w Cnotach iego się zatapia,
Gdy boiąc się o niego, łzami się twarz skrapia;
Gdy w krwawey bitwie, ktorą dziś stoczy z Pogany,
Szła bym chętnie za niego, na śmierć y na rany,
On o tym nie wie; słowa nie przemowi ze mną,
A tobie czyni serca, ofiarę daremną,

Kocha gdzie niekochany, gdzieby go kochali,
Nie kocha, ze mną zimny, do ciebie ſię pali,
Ale Zawiſza idzie; pewnie w tey rozmowie,
O ſwych ſię Sioſtro, w twoim ſercu, loſach dowie.

SCENA DRUGA.

ZAWISZA, EMILIANNA, FAUSTYNA.

ZAWISZA.

GDy oſtatnia podobno, godzina docieka,
W ktorey mię lub zwycięſtwo, lub piękna śmierć czeka,
W ktorey, chcąc ſobie, twoie zaſłużyć pochwały,
Krew y życie poniosę, na miecze, na ſtrzały,
A maiąc ſerce tchnące Wiarą, ſławą, Cnotą,
Na bitwę, iak na gody, poſpieſzę z ochotą.
Nim w boiu los mi padnie ſzczęśliwy czy ſrogi,
Piękney Emiliannie ściele ſię pod nogi.
Jeźli mi zaś łaſk twoich, uczyniſz nadzieię,
W ogień idę weſoły, y z śmierci ſię śmieię,
A poſtrzegſzy w twych oczach, przychylne weyrzenie,
Kontent poydę, iak na Tron, pod grobowe cienie.

EMILIANNA.

Cenię twe Cnoty; ale z Niebioſow wyroku,
Jnſzy cel wypadł memu, y ſercu y oku,
Ociec y affekt, każą mi, ſprzyiać Krolowi,
Tobie; Sioſtra nowiny, lepſze niż ia powi.

ZAWISZA.

Okrutna! piorunowym twym przerażon głoſem,
Zadnym ſię w mey roſpaczy, nie pocieſzę loſem?

A tak

A tak mi ieſt nieznośna, ſerca twego ſtrata,
Ze po niey za nic ſobie ważę, reſztę świata.
Jakąż mi dobrą dla mnie, przyrzekaſz nowinę,
Chyba tę, że z roſpaczy w krwawym boiu zginę,
Chyba że dla mnie Nieba, nie będą w tym trudne,
Bym w boiu ſkończył życie, obmierzłe y nudne,
Chyba żebym uſt twoich, wyrokiem wzgardzony,
Zal na ziemi nie zbyty, w gorne poniosł ſtrony,
Krol moy, w miłości nie ma nademnie nic więcey;
W kochaniu, ten prym bierze, kto kocha goręcey,
Wielkich Monarchow berła, y naſze buławy,
Jednemi ſłodka miłość, zwykła rządzić prawy,
Rowna nas wſzyſtkich, w iednym wſzyſtkich kładzie ſtanie,
A ſerca nad Korony, przekłada kochanie,

EMILIANNA.

Gdy tak ieſt; toć gdzie Cnota, y miłość prowadzi,
Tam zmierzać ſam Zawiſza, pięknym ſercom radzi,
Niechże ſię nie ſprzeciwia, wyrokom kochania,
Kiedy Ociec y miłość, do Krola mię ſkłania.
Ja, nie zamilczę pochwał, cnotom iego winnych,
On dla ſerca, niech ſzczęścia ſzuka u Dam innych.

FAUSTYNA.

Nie zawſze, miłość będzie, okrutna z Zawiſzą,
W krotce ſię ſerca iego, wzdychania uciſzą;
Po burzach piękne czaſy, naſtaią; a zawſze,
Po złych loſach, zwykliśmy odbierać łaſkawſze,
Po grzmotach y piorunach, dzień ſię wypogodzi,
A zła y dobra dola, wzamian z ſobą chodzi,
Lepſzego ſzczęścia loſu, ſerce iego godne,
Po ſmutnych czaſach, chwile pocieſzą ſwobodne,
A tam gdzie kochaiący, w zaiemnie kochany,
Serca za ſerce, ſłodkie uczyni zamiany.

Odmie-

Odmieni się Zawiszo w wesołość twoy smutek
Gdy ci w innych zamysłach Miłość zdarzy skutek.
Znaydzie ieszcze na świecie, w twey straty nadgrodę,
Rowną Emiliannie, zacność y urodę,
O ślicznym twym umyśle, nie rozumiem; żeby,
Na wyroki mey Siostry, nie zgadzał się z Nieby,
Gdy ci iuż zakazuie, łask swoich nadziei,
Gdy chce w miłey do ślubu, iść z Krolem kolei,
Gdy przekłada, nad piękne serce, Lustr Korony,
Gdy mniey sobie poważa Cnoty, więcey Trony,
Zdanie Zawiszy, zawsze piękne y chwalebne,
Wiem, że zatłumi żądze, do niey niepotrzebne.
A gasząc ogień ofiar, u niey bezskutecznych,
Z inszą Damą zamieni, dar chęci serdecznych,

ZAWISZA.

Wzgardzony; iakże mogę w szczęściu ufać ? bardziey,
Spodziewam się, że druga odpowie mi hardziey,
Wzgarda, zwykła za sobą, złe pociągać skutki,
Y ktożby chciał, serc przyiąć braki y wyrzutki ?

FAUSTYNA.

Ufay, że zła twa dola, w dobrą się przemieni,
Bo kto ma piękne serce, Cnoty twoie ceni.
Gdy miłość nowym ogniem, w tobie się rozżarzy,
Wzaiemnością affektu, twe chęci obdarzy,
Gorzkość serca twoiego, kochaniem osłodzi,
Y z zacney cię uczyni, nayszczęśliwszym młodzi,
Będziesz kochał, wzaiemnie kochany y luby,
Krotkim staraniem prętkie, ziednasz sobie śluby,
A Niebo kończąc twoie troski y kłopoty,
Dozgonnym szczęściem, wielkie twe nadgrodzi Cnoty.

ZAWISZA.

Gdy mi Faustyna, u nog swych wzdychać pozwoli,
Ułagodzi się srogość, nieszczęsney mey doli,

Lecz choć mię do nich ciągnie, ſerdeczna ma chętka,
Nie przyidzie mi po wzgardzie, odwaga tak prętka,
Wprzod idę w ogień na śmierć, niż na miłość śmielſzy,
Nim zginę; lub do Ciebie powrocę weſelſzy.

FAUSTYNA.

Odchodzi; iuż ſię więcey nie obaczy z nami,
Wyidź Sioſtro; ia ſię ſama zabawię ze łzami.

SCENA TRZECIA.

FAUSTYNA SAMA.

Myśli moie; co ſercem dzieląc, żal y troſki,
Cierpliwie z nim znoſicie, ciężki wyrok Boſki,
A złą dolę przyimuiąc, w gorzkiey wam pokorze,
W boleściach przepędzacie, dzień, noc, zmierzch, y zorze:
Wy; co nie daiąc memu, wypocznienia oku,
Lice me zatapiacie, w rzewnych łez potoku,
Co utaioną mocą, niewidomey ręki,
Wyciſkacie, Fauſtyny wzdychania y ięki.
Wy mi ſię zwierzcie, iakich dziś czekacie loſow,
Y iakie przeczuwacie, wyroki Niebioſow.
Dziś, niż naſtąpi, ſtraſzny na mnie, zachod ſłońca,
Doli mey, niepewnego, oczekuię końca.
W polach okropney Warny, dziś około mroku,
Zawiſza czeka Laurow, lub śmierci, wyroku,
Dziſiay, albo ofiary przyimę iego ſerca,
Albo z niego, wytoczy krew, Turczyn morderca,
Ale co czuię? okiem rozumu co widzę?
Oto; z niesfornym tłumem, mych myśli ſię bidzę,
Raz miłość, wdzięczny obraz, mym oczom wyſtawia,
Ze ſię Zawiſza, w polach tych zwycięztwem wſławia,

Ze nazwany obrońcą, Wiary y Korony,
Do nog moich powraca, Laurem uwieńczony.
Lecz z drugiey ſtrony, iakie ſnuią ſię poczwary,
Oto; krwawe Zawiſzy śmierć gotuie mary,
Oto, ten Rycerz w Woyſku, tak ſławny, tak wzięty,
Pływa w krwi ſwey powodzi, mieczem Turkow ſcięty,
A odchodząc, w podziemne krwawych mogił cienie,
Bogu y mnie poſyła, oſtatnie weſtchnienie.
Skutku tak ſtraſznych myśli, czas y pora bliſka,
Z zażalonego ſerca, ięczenie wyciſka,
A błądząc, w wielkim tłumie, wyrokow niepewnych
Zanurzam oczy moie, w ſtrumieniu łez rzewnych.

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

EMILIANNA y FAUSTYNA.

EMILIANNA.

W Tym momencie, okropne dochodzą mię ſłuchy,
Nie czyniące nam dobrey, o Woyſku otuchy,
Bazarnik odbiegaiąc, y ſprzętu y wozu,
Przerażony boiaznią uchodzi z Obozu,
A tymże ſzładem, żołnierz ranny, albo chory,
Uciekaiąc, bezludne zoſtawią tabory,
Grzmot uſtał, y nieſłychać, aby kula chyża,
Z hałaſem wypadała, z harmatnego ſpiża,
Ręczney ſtrzelby, iuż dawno nie ſłyſzymy huku,
Chmury tylko widziemy, ſtrzał puſzczonych z łuku,

Pod

Pod ktorych, Woyſko naſze, mężnie walcząc cieniem,
O Laur ſię ſzablą, zbroynym dobiia ramieniem.
Ach Sioſtro, gdyby można, przez iakowy ſpoſob,
Powziąć wieść o tey bitwie, od wiadomych oſob.
Gdyby można uſłyſzeć, że zwycięzca w boiu,
Moy Władyſław, ſwe czoło, Laurem otarł z znoiu,
Ze ſpieſzy dopraſzać ſię, o moie zamęście,
W iakież by, Sioſtro, płacz moy przemienił ſię ſzczęście.

FAUSTYNA.

Kto wie, czy teraz nie ieſt, ta doba y chwila,
W ktorey ſię dwoch Woyſk ſzczęście, waży y przeſila,
Obie błagaymy Niebo; gorącemi modły,
Aby Władyſławowi, zwycięztwa ſię wiodły,
Aby Zawiſza, oſtrzem płytkiego bułata,
Do Pogańſkiego karku, ſięgał Amurata,
Aby w laur Chrześciańſkie Bog uwieńczył ſkronie,
O to, z płaczem go proſić, poydę na uſtronie.

SCENA DRUGA.

EMILIANNA SAMA.

W Gorzkości ſerca mego, w bolcściach mey duſzy,
Więkſzych, niżeli męki, nayſrożſzey katuſzy,
Gdy ięk ſpieſzy za iękiem, gdy łza łzę pobiia,
Gdy y ieden moy moment, bez płaczu nie miia.
Gdy na przemiany, męczą mię, ſtrach, żal, wzdychanie,
Do ciebie, Boże wołam, o politowanie.
Wieſz Boże; że w czyſtego ſerca niewinności,
Dotądem żadney w życiu, nie znała miłości,
Ze gdy ſię za rozkazem Oyca, zakochałam,
Nie urody, lecz cnoty, pieknym ogniem pałam:

Wieſz że w mym ſercu gości, Władyſław z tey miary,
Ze ieſt mężnym obrońcą; Kościoła y Wiary,
Ze pierwſzy raz, zniewolił mię ten Krol Młodzieniec,
Gdy ſkładał, u Ołtarzow twych, Zwycięzki wieniec,
A gdy wieſz, że w chwalebney, czyſtych żądz proſtocie,
Cnota moia kocha ſię, w Władyſława Cnocie,
Spraw o Boże! niech ſerca, ktore cnota ſpaia,
Miecz Turkow nierozdziela, y śmierć nie rozdwaia;
Nachyl Boże; mym prożbom przychylnego ucha,
Wzbudź w Woyſku Chrześciańſkim, Rycerſkiego ducha,
Niech mężnie uderzywſzy, na nieprzyiaciele,
Stotyſięczne Poganow gminy, trupem ściele,
Niech Chrześcianow twoich, mieczowi y tarczy,
Szabla y Kałkan, dumnych Turkow, nie wyſtarczy,
Niechay ſię potykaiąc, przy kotłach y trąbie,
Uſarz, zahukanego Poganina rąbie,
A przeſtraſzony blaſkiem, zbroi y ſzyſzaku,
Niechay zapomni Tatar, o ſtrzałach w ſaydaku.
Nie dopuść Panie, aby twe Kościoły Swięte,
Od brzydkich Pogan były, Kapłanom odięte,
Zabroń, aby w twych Domow zhańbionych podwoie,
Machometa zielone nie weſzły zawoie,
A Meki y Medyny, ſproſnego baiarza,
Sennik, Swiętego twego, nie ſzpecił Ołtarza.
Y ten, cośmy cię czcili w nim Bogiem y Panem,
Brzydkim ſię twoy przybytek, nie lżył Alkoranem,
Spoyrzyi, na krwawą Swiętych Biſkupow ofiarę,
Ktorą ci na plac nioſą, chcąc umrzeć za Wiarę,
A kiedy z Poganami, będą bitwy ſtaczać,
Nie dopuść Turkom, ſzabli, w krwi ich Swiętey maczać.
Racz mieć Panie w twey Swiętey pieczy y obronie,
Te, ktore kilką Koron, ozdobiłeś ſkronie.
Niech ſwą ſzablą, nie ſięga Turczyn do tey głowy,
Coś ią po bitwach, ſtroić zwykł, w wieniec Laurowy,

A nim

A nim by zginął, oſtrzem Władyſław bułata,
Mnie raczey, Wielki Boże! chciey wprzod zebrać z świata
Ale co widzę; do mnie, mężny Korwin śpieſzy,
Strapiona iego poſtać, bardzo mię nie cieſzy,
Smutna także Fauſtyna, za nim kroki wlecze,
Znać, te, co mnie, Tureckie ztrwożyły ią miecze,
Straſzna, ktorą me ſerce przeczuwa, nowina,
Język mi zawiązuie y ſłowa ucina.

SCENA TRZECIA.

KORWIN, FAUSTYNA, EMILIANNA.

KORWIN.

WSzyſtkośmy utracili, a okrutna dola,
Krola, y Woyſka klęſką, wſławiła te pola.
Straſzny widok, głow ściętych, z Chrześciańſkich barkow,
Przeraża oczy, gminem tułubow, y karkow,
Mężnych Rycerzow trupem, ziemia ſię okrywa,
Krew ich w rzeki, wielkiemi ſtrumieniami ſpływa,
A wylana z ciał martwych, czerwona poſoka,
Niechętne łzy wyciſka, z ſamych Turkow oka.
We krwi ſwey pływaiące, poważne y Swięte,
Obnażonych Biſkupow, leżą głowy ścięte,
Z krwią Kardynalſką, woda Dunaiu zmieſzana,
Swoich Wołochow zbrodni, wſtydzi ſię rumiana,
Zrąbani, ſkłuci, ścięci, zamęczeni ſrodze,
Leżą weſpoł zmieſzani, żołnierze y Wodze,
Niedobitek z pod Turkow ięcząc ſię dobywa,
A śmierci pośpieſznieyſzey w ciężkich bolach wzywa.
A we krwi ſię ze łzami, zmieſzaney zatapia,
Ze ſię śmierć niepoſpieſzna, do niego nie ſkwapia,

Niewolnik noſząc ciężar, ciaſnego okowu,
Załuie, że w mogiły, nie poſzedł do rowu.
Gmin BOGU Chrześcianow, poświęconych Xięży,
Jęczy, że go Poganin, kaydanem ciemięży,
A nad inne mu daiąc, cięższy okow brańce,
Srożſzą niewolą trapi, Boſkie Pomazańce,
Słowem; kaydany, pęta, miecze, groty, ſtrzały,
Są dziś Chrześcianina, loſy y podziały.

E M I L I A N N A.

Nim umrę, narzekaiąc na dolę okrutną,
Przebog! day mi o Krolu, wiadomość choć ſmutną.

K O R W I N.

Gdy tę wiadomość, z iego rozkazu, dać muſzę,
Uzbroy Emilianno, w męſtwo piękną duſzę.
A w ślicznych twych zrzenicach, wſtrzymuiąc łzy rzewne,
Słuchay. wyroki Niebios, na Chrześcian gniewne,
Gdy od wiernych Krol powziął, wieść niechybną Szpiegow
Ze ſię zbliża gmin wielki Tureckich ſzeregow,
Y gdy mu niezawodne, donioſły ięzyki,
Ze na naſz ieden, ſetne Amurath ma ſzyki,
Krol nieſtrwożony loſem, tak ciężkiego razu,
Dolę Woyſk oddał BOGU, męztwu, y żelazu,
A hufce ſwoie łącząc, w ściſłe ſzykow gęſtwy,
Tuſzył ſobie, nowemi wſławiać ſię zwycięztwy.
Tę garztkę ludzi, kiedy Amurath otoczy,
Jemu ſamemu zaraz, Krol zabieży w oczy,
A tylko co z nim bitwę, y zacznie y zwiedzie,
Na karku płochych Turkow, z ſwym Woyſkiem poiedzie.
Lecz choć ieden ſzyk pierzchnie, zbitego Turczyna,
Drugi ſwoie potyczki, na nowo zaczyna,
Bo gdy ſię Turczyn męſtwem, walczyć nie ośmielił,
Sztuką idąc, ſwe Woyſko, na części podzielił,

Tak

Tak nas chytrą ucieczką, zwodząc przez czas długi,
Że ieden, Turkow pierzchnął szyk, nastąpił drugi,
Poki małego Woyska, nie ustały siły,
Y szable się, na karkach Turkow nie stępiły,
Potym, większą swych szykow część, Amurath skupi,
Y tam nayprzod uderzy, gdzie byli Biskupi,
Waradyński, gdy mężnie spotkał się Infułat,
Scięty, poległ na placu, przez Turecki bułat,
A szyki Pogan łamiąc, Biskup Agryeński,
Z boiu do Nieba poniosł, Laur krwawy męczeński.
To gdy Krol widzi; blaskiem płytkiego demesza,
Ostatnie Woyska siły, y wzbudza y wskrzesza,
A niżeli na tłumy, Poganow uderzy,
Westchnąwszy; ten mi sekret, do ucha powierzy:
Ja wnet zginę; czy ścięty, czy śmiertelnie ranny,
Umrę pamiętny serca mey Emilianny,
Ty iey powiesz odemnie; ostatnie me słowa,
Bo cię Niebo w tey bitwie, od śmierci zachowa.
To rzekszy idzie w ogień na miecze, na strzały,
Łamie tłum Pogan; liczbą nie męstwem zuchwały.
Ale choć ieden zginie, drugi szyk się zbliża,
A nowy tłum przybywa, y potęga świża.
Tarnowski, gdy postrzeże, że w Pogańskim gminie,
Krol z małym Woyskiem, zewsząd otoczony zginie.
Rzecze; uprzedzam Krola, bo Wodz y poddany,
Przed Krolem iść powinien, na śmierć y na rany.
A zawoła na Woysko; zwyciężmy lub gińmy,
Krol, szuka śmierci; przed nim, my się z nią nie mińmy,
A w pośrzod gminow Pogan, poszedszy skwapliwie,
Znalazł w boiu, śmierć piękną, ktorey szukał chciwie.
W tym Krol, zawoła, gińmy, Wodz sławny y stary,
Już wziął przedemną Lauru Męczeńskiego dary,
To rzekszy; idzie w ogień, iak idą na gody,
A tłumy Pogan łamie, iak Lew owiec trzody.

Gdy

Gdy to widzę; aliści w prętce, nie wiem czyia,
Tuż przy mnie, krwią oblana, z barkow ſpadła ſzyia,
W tym ſpoyrzę; aż zrzenica ma, łzami zalana,
Widzi głowę ściętego, y Krola y Pana,
Ktorey iuż naſunione, y martwe powieki,
Piękne Jego zrzenice, zamkneły na wieki.

EMILIANNA.

Boże! coś z Władyſławem, ſpełnił twe wyroki,
Zbierz mię, abym prętkiemi, w grob za nim ſzła kroki.

FAUSTYNA.

Poczekay na mnie Sioſtro, a obie poſpołu,
Do grobowego w prędce, poydziem ſobą dołu,
Tym czaſem los Zawiſzy; chce wiedzieć Fauſtyna,
Czy zdrow, czy w boiu poległ, od ſzabli Turczyna.

KORWIN.

Bodayby żył na wieki; tak mężni, y tacy,
Być by nieśmiertelnemi, powinni Junacy,
Naywięcey dokazywał, y przy Krola boku,
Lał krew Pogan, a czekał ſwey śmierci wyroku.
Wraz też poległ, z ſwym Krolem, y wśmiertelne cienie,
Poſłało go wraz z Panem, Niebios przeznaczenie.
Widziałem, iak mu w boiu, głowa z karku ſpadła,
Jak krwi zdroie wylawſzy, twarz iego pobladła.
Y iak wytchnąwſzy duſzę, z ſwoim męztwem dzielnym,
Zamknęła, ſnem zmrożone, powieki śmiertelnym.
Ten był, okropny naſzych klęſk, pod Warną koniec,
Ktory, w tym punkcie zwiękſzył, taką wieścią, goniec:
Wyniożſzy życie z boiu, Julian Kardynał,
Kiedy ſię w beſpiecznieyſze, krainy przerzynał.
Nieſzczęśliwſzy na wodzie; iuż u brzegu prawie,
Wołoſzyn, na Dunaiu, zabił go przeprawie,

A ſławny

A ſławne wielką zbrodnią, ſwe czołny, y wiosła,
Krwią zbroczył Kardynała, Papiezkiego Posła.
Mnie nato wyprowadził Bog, z pośrzodka trupow,
Bym ſię mścił, śmierci Krola, Wodzow, y Biſkupow,
Przyidzie czas; że ſzczęśliwym Chrześcianow mieczem,
Więcey niż nas, pod Warną; Poganow wyſieczem.
Teraz, niech ta, co pięknym ſercom, cnotę ſtręczy,
Sława, takim nadgrobkiem, krew Woyſka zawdzięczy.
Wielki Krol, bitne Woyſko, Biſkupi, Wodzowie,
Poniożſzy ſwe pod Warnę, y życie y zdrowie,
Mężnie walcząc z Turkami, przy Wierze y ſławie,
Laury ſobie Męczeńſkie zasłużyly krwawie.
Niech przed światem, na piękny dzielności ich popis,
Cnoty ich głosi, wiekom potomnym dzieiopis.

DZIWAK.

KOMEDYA.

AKTOROWIE Y AKTORKI.

AMATA, Panna na wydaniu.

CNOTOSŁAWSKI, Brat Amaty.

KRĘCICKA, Służebna Amaty.

STAROPOLSKI, Ziemianin.

ROLAND, Syn Staropolſkiego, Dziwak.

FIUTYNIEC, Pacholik Staropolſkiego.

Scena ieſt w Domkowcach na Poleſiu, we Wsi Staropolſkiego.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

ROLAND, y FIUTYNIEC.

ROLAND.

JAkże tu u was nudno; coż to tu za kraie?
Fe; aż mię wstyd, na wieyskie patrząc obyczaie.
Tu, tak właśnie się śmieią, iak w Warszawie płaczą,
Jak tam chromią, tak u was, tańcuią y skaczą.
Tu nie wiedzą, iak pięknie ziewnąć, wdzięcznie kichnąć,
Jak ślicznie mrugnąć, iak się rozumnie uśmiechnąć.
Jak się nosem zakazać, iak białemi zęby,
Chlubić się; otwieraiąc na to, troszkę gęby.
Jak dowcipnie westchnąwszy, głosić serca żale,
Jak się w Kościelney ławce, rozwalać wspaniale.

Nic tu tego nie znaią, ani nawet wiedzą,
Że grzeczni ludzie, pięknie ſtoią, chodzą, ſiedzą.
Że nawet drzymią z wdziękiem, a gdy ślicznie zaſną,
Zachowuią ſpiącego ciała, poſtać kraſną.
Tu do was, gdy z Warſzawy; na wieś ſię przyiedzie,
Zdaie ſię, że ſię doſtał człek między Niedzwiedzie.
Kto by tu z wami kilka pomieſzkał mieſięcy,
Zdziczałby; y obyczay przeiąłby zwierzęcy.
A w puł roku uczułby, błąd y żal niewcześny,
Że na wśi waſzey, ſtał ſię, z człowieka zwierz leśny.

FIUTYNIEC.

Wſzakże ia od dzieciństwa, z Waſpanem tu roſłem,
A podobnom nie zwierzem, ani Waſpan oſłem,
Toć gdy tu my, y ludzie rodzą ſię y roſną,
Zacoż im chceſz przydawać, zwierząt poſtać ſproſną?
Zacoż ci ta wieś teraz, tak bardzo obrzydła,
Że poczytaſz Wieśniakow, za zwierza y bydła.
Wſzakże to wsi Oyczyſtych, obſzary y łany,
Na ciebie groſz ſkładaią, za zboże zebrany,
Wſzakże z tych wsi, a z Oyca, y pracy y łaſki,
Sprawiaſz ſobie Warſzawſkie, y ſtroie y maski,
Wſzak wieś daie pieniądze, Warſzawa roſpraſza,
Pięknać Warſzawa, ale cudza, a wieś naſza.

ROLAND.

Głupia twa śmiałość, płochy twoy humor hulaſzczy,
Wart żeby pięścią zamknąć, przeſtronność twey paſzczy,
Z takim iak ty rozmawiay, o cepie, y ſnopie,
A przy mnie ſtul pyſk, podły Fiutyńcze, y chłopie.

FIUTYNIEC.

Moſpanie; nie uſtąpię, w zacności nikomu,
Powiem, z iakiego ieſtem, imienia y Domu,

W Warſz[...]

W Warſzawie, w Wiedniu, w Rzymie, w Paryżu, w Londynie
Znaydzieſz Fiutyńcow; Jmie ich, bardzo tam ſłynie,
W każdym Narodzie, w każdym Fiutyńcy ſą kraiu,
Y zkładaią część większą, ludzkiego rodzaiu,
Wſzak przyſtoynie y ſłuſznie, Fiutyńcem ſię zowie,
Kto płoche ma poſtępki, y komu Fiu, w głowie,
Przeydź świat cały, a wſzędzie znaydzieſz w nim Fiutyńca,
Włocha, Niemca, Polaka, Litwina, Wołyńca,
Zluſtruy wſzyſtkie Kroleſtwa, Powiaty y Ziemie,
Wſzędzie znaydzieſz Fiutyńcow, ſtarożytne plemie.
Te Jmie świat widywał, w purpurze, w ſzkarłacie,
W Pancerzu, w zbroi, w ſtanie Rycerſkim, w Senacie,
A choć powiem y wyżey, to nie będę łgarzem,
Wſzakże, wielki Fiutyniec Nero, był Ceſarzem,
Ty ſam, między Jmienia mego, wielkim likiem,
Przyznay; ieśliś Fiutyńcow, nie ieſt Plemiennikiem,
Y znacznym; bo cię wſzyſcy zowiem, naſzym wzorem,
A między Fiutyńcami, ieſteś Senatorem,

ROLAND.

W niewyparzonym twoim, zamknąć mowę pyſku,
Pięścią trzeba; a w paſzczę, naſypać ci pryſku.

FIUTYNIEC.

Pięść mogłbyś ſparzyć pryſkiem, lepiey tłuſtą kaſzą,
Albo ſztuką pieczeni, zatkay gębę naſzą,

ROLAND.

Dam ci pięścią, aż w puſtey głowie ci zaſzumi,

FIUTYNIEC.

Ten obyczay Warſzawſki, tu chłop, w karczmie umi,

ROLAND.

Zębyć wybiie z paſzczy,

FIUTYNIEC.

Tu na wsi potrzeba,
Zdrowym, dobrych ſług zębom, nie pięści, lecz chleba,

SCENA

SCENA DRUGA.

STAROPOLSKI, FIUTYNIEC, ROLAND.

STAROPOLSKI.

W Szalonego śię Synu, przemieniasz z Dziwaka,
Smiesz Oycowskiego sługę bić, zkąd śmiałość taka?
Zkąd ten gniew?

FIUTYNIEC.

O to chciał mi pokazać, iak ładnie,
Da mi w gębę, iak modnie; ząb mi z niey wypadnie,
Y chiał też widzieć, ieźli przystoynie, y pięknie,
Kułakiem iego, wziąwszy w bok; Fiutyniec stęknie.

STAROPOLSKI.

Ale za co?

Dziwacy nie pytaią zaco,
A często bez przyczyny, uczynią ladaco.

STAROPOLSKI.

Powiedz Synu przyczynę gniewu,

ROLAND.

Oto wiele,
Rozprawiał, y ięzykiem przycinał mi śmiele,
A że śię ważył ze mną, przemawiać y wadzić,
Chciałem mu na łbie pustym, czuprynę pogładzić,

STAROPOLSKI.

Dobry Sędzia, oboiey, strony sprawy słucha,
Y nie darmo iest człowiek, podwoynego ucha,
Mow twą sprawę Fiutyńcze,

FIUTYNIEC.

Wprzod bym zgryzł me wargi,
Nizlibym na Pańskiego Syna, zaniosł skargi,

Zarty to, między nami były, nie nieſnaſki,
A chciano mię, wziąć za łeb, z przyiazni, y z łaſki.

STAROPOLSKI.

Mow prawdę, a przed Panem twym, nie waż ſię kłamać,
Jnaczey kości kiiem, każę ci połamać,
Porzuć żarty, zaniechay figle, y matactwa,
Bo wſzyſtkie Syna mego, chcę wiedzieć dziwactwa.

FIUTYNIEC.

Syn chciał czeſać, a Ociec chce otrzepać kiiem,
My wlażſzy między krewnych, tak, iak wąż ſię wiiem,
Dobrze mowią: między drzwi, ſtrzeż ſię wścibiać palca,
Biedaż na tego; co ma dwoch Panow, Służalca.

STAROPOLSKI.

Nie brydź, powiaday prawdę,

FIUTYNIEC.

Broń że mię od pięści
Syna, a ſłuchay drugiey, mey indukty części.
Pan powiedział, że na wsi, y brzydko y nudno,
Mnie twoiey wsi obelgę, zcierpieć było trudno,
Ująłem ſię za honor, piękney naſzey wioſki,
Za to mi Pan na głowie, chciał potargać włoſki.

STAROPOLSKI.

Coż Syn o wsi powiedział?

FIUTYNIEC.

mowił razy kilka,
Ze tu ludzie, ſą nakſztałt, niedzwiedzia y wilka,
Ze tu zwierz, a nie człowiek, ieſt każdy naſzyniec,
Y że to nie wieś, ale knieia, lub zwierzyniec.

STAROPOLSKI.

Co więcey moy Syn mowił?

FIUTYNIEC.

Ktoż by to wyliczyć,
Mogł, oto rzekł, że na tey wsi, przyidzie mu zdziczyć,
Ale

Ale w tym mię, naybardziey zmartwił, gdy rzekł, że my,
Na wsi ieść, ſpać, a nawet ziewać, nie umiemy.
Ciebie biorę za świadka, prawdy powiadacza,
Czyś miał kiedy większego, iak ia wyiadacza,
Czyś miał doſkonalſzego, iak Fiutyniec, ſpiocha,
Czy nie twardo, nie dobrze ſpię, choć chrapię trocha,
A gdy ſię do poduſzki, zabierać ſpodziewam,
Czy nierozdziewiam gęby, iak ſak, kiedy ziewam,
Ale czy widziſz, iak ſię twoy Syn, na mnie zżyma,
Y że mię pięścią zbiie, grozi mi oczyma.

STAROPOLSKI.

Nie boy ſię; ale na te głupſtwo, iego mowy,
Powiedz mi, iakiemiś mu, odpowiedział ſłowy.

FIUTYNIEC.

Rzekłem; że gdy on, w tey wsi zroſł, y w niey ſię rodził,
Słuſzna ieſt; aby między zwierzęty, rey wodził,
Y aby między dzikim gminem, naſzey trzody,
On pierwſzy zwierz, na paſzę, chodził zawſze przody,
Tey moiey odpowiedzi; że twoy Syn nie zlubił,
Gdy byś tu był nie naſzedł, był by mię wyczubił.

STAROPOLSKI.

Synu; nie darmo Ociec, dziwakiem cię zowie,
Bo widzi, że u ciebie, iak po śliwkach w głowie.
Choć byś nowy y ſtary, Swiaty przeyrzał oba,
Wſzyſtko zganiſz, nic ci ſię, nigdzie niepodoba.
Fiutyńca bić, y łaiać, żebyś ſię nie ważył,
Bo gdybym za to na cię, ſurowości zażył,
Z ciebie by wynikała, gniewow mych przyczyna,
Ty z tąd odeydź Fiutyńcze, zoſtaw ze mną Syna.

SCENA TRZECIA.

STAROPOLSKI, y ROLAND.

STAROPOLSKI.

Wieſz Synu; że gdy ieſteś, cząſtką mego ciała,
Y gdy właſna krew moia, w twe żyły ſię wlała,
Toć łatwo, twoy y każdy rozum, może dociec,
Ze cię drugiego ſiebie, kocham Syna Ociec.
Lecz ſerce Rodzicielſkie, z rozumem cię kocha,
Tak tylko iako Syna, a nie iak pieſzczocha.
Nie iak głupie w miłości, kotkow morſkich matki,
Całuiąc y ſciſkaiąc, duſzą ſwoie dziatki.
Rodzicom przy miłości, ſurowość przyſtoi,
Syn niech ich bardzo kocha, a troſzkę ſię boi.
Krwi wrzącey, y gorącym żądzom, rzyźwey młodzi,
Nigdy czułych Rodzicow, karność nie zaſzkodzi.
Pſuią młodego cugle wypuſzczone zrzebca,
Młodziana zgubi miłość, gra, trunek, podchlebca.
A kiedy go Rodzice, nie trzymaią karnie,
Częſto w zbytkach śmierć znaydzie, częſto zginie marnie.
Ta moia niech ci będzie, w pamięci nauka,
Ze młodość potrzebuie, wodzow y muſztuka.
Teraz ci, me o tobie powiem rozumienie,
Y w czym ſię maſz poprawić, dam ci napomnienie.
Odtąd iak cię powiiać, przeſtały pieluchy,
Dobre mię o twym ſercu, dochodziły ſłuchy,
Ze piękne, ſzczere, wierne, y że kocha Cnotę,
Ze do doſkonałości, oświadcza ochotę,
Ze łaſk wdzięczne, w przyiaźni ſtałe, nie obłudne,
Urazy niepamiętne, w obeyściu nie trudne.

Teraz, iak nie ten, iak by z obcych człowiek Kraiow,
Inſzegoś cale ſerca, inſzych obyczaiow.
Wymyślaſz, zrzędzaſz, łaieſz, a kiedy źle zrobiſz,
Upieraſz ſię, że dobrze, y rzecz ſwoią zdobiſz,
A wkorzeniony w ciebie, dziwactwa zły narow,
Cmi w tobie, luſtr obfitych, przyrodzenia darow,
Język twoy przykry, prędki gniew, porywczość rzyſka,
Wyſtawuią cię ludziom, na śmiech, y igrzyſka,
Wſzyſtko złym zowieſz, chociaż złym nie ieſt, iak żywo,
Co ieſt proſto do ſznura, to u ciebie krzywo.
Wſzyſtkich ganiſz, od wſzyſtkich naganiony wzaiem,
Nudnym, obmowcy świata, ſłynieſz obyczaiem.
Bardzo cię Synu proſzę, poſłuchay mey rady,
Porzuć ten nałog, popraw ſzpecące cię wady.
Nic nie gań, raczey pochwal, gdy ſie chwalić godzi,
Wſzak ſzczodrym być w pochwały, workowi nie ſzkodzi.

R O L A N D.

Jakże to można, o złym mowić, że ieſt dobry,
Ze czarne ieſt czerwone, y ſadze Cynobry,,
Gdyby mi za me kłamſtwo, dawano świat wſzyſtek,
Nigdy bym nie mogł mowić, że Cnotliwym chłyſtek.

S T A R O P O L S K I.

Jeſt to Cnota, ale w niey, y miarę, y ſtopnie,
Trzeba z wielkim rozſądkiem; uważać roſtropnie,
Bo ſą na świecie ludzie, tak wielcy, tak godni,
Ze nam nie rzecz, w tych ludziach ganić, nawet zbrodni,
Są ludzie,na ktorych ſię, nie można użalić,
A krzywdy ponieſione od nich, trzeba chwalić,
Gdy czas y okoliczność, gdy mus nas przyciśnie,
Kto rozumny; choć cierpi, nie ſtęknie, nie piśnie.
A całuiąc te ręce, co go biczowały,
Mądrze przymuſza ięzyk, do krzywd ſwych pochwały.

ROLAND.

Młodość mi nie dopuſzcza, być tak doſkonałym,
Nie umiem zwać białego, czarnym, czarne białym.
Choć by człek nayſłuſznieyſzy, gdy mi ſię ochapia,
Ze ieſt gapiem; śmiem wſzędzie, głoſić go za gapia.
A z złemi ludźmi, umyſł moy, niepoiednany,
Nie umie pochwałami, okadzać bałwany.

STAROPOLSKI.

To, ni pochwal, ni pogań, co ci ſię nie zdaie,
A świata nie poprawuy, choć w błędzie zoſtaie.
O bocianie to tylko mowią, że świat czyści,
A kto ludzi obmawia, ma wzgardę w korzyści.
Y czaſem mu, zuchwałość iego, wytchnie bokiem,
Ty; świata nie reformuy, kiedyś nie Prorokiem.

ROLAND.

Jakże to; nic nie mowić, trzebaby uſt niemieć,
Potrzeba by ogłuchnąć, trzebaby oniemieć.
Jeźli bym zaś gryzł ięzyk, muſiał by mię bolić,
Jedno to, na złe milczeć, co na złe pozwolić.

STAROPOLSKI.

Dziwaku; na rady me Oycowſkie nie sforny,
Uznaſz, w co cię wprowadzi twoy umyſł uporny,
Tak daleko w obmowy, twa zła gęba zaydzie,
Ze tę; co z niey wybiie zęby, rękę znaydzie.
Ale nas dzwonek na Mſzą, dzwięku głoſem woła,
Idźmy Synu, modlić ſię Bogu, do Kościoła.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

FIUTYNIEC y KRĘCICKA,

FIUTYNIEC.

KRęcicka w miłe do nas, przybyła gościny,
O swoim dla mnie sercu, powie mi nowiny,
Jak się ma w nim Fiutyniec?

KRĘCICKA.

Ciasne dla Fiutyńca
Serce moie. Podź mi precz: ieźli nie chcesz sińca.

FIUTYNIEC.

Kręcicka; czy żartuiesz? czy gadasz w gorączce?
Pomacay pulsu, czy się nie zmienił, w twey rączce.

KRĘCICKA.

Pomacam ci go w pysku.

FIUTYNIEC.

Coż to za Doktorka?

KRĘCICKA.

Wiesz że Doktorom trzeba, prezentu lub worka,
Gdy z prożnemi rękami, Fiutyniec mię wita,
Won mu z serca Kręcicki, y z przyiazni kwita.

FIUTYNIEC.

Won psu mowią.

KRĘCICKA.

wszak y pies, na gałęzi w lesie,
Obwiśnie, gdy zabitey kaczki, nie przyniesie,

T-

Ty coś mi przynioſł, ?

FIUTYNIEC.

Serce nadziane miłością,
Ktora mi z twey niełaſki, w garle ſtawa kością,
Ktora mi, krew y ciało iak ſuſzy, tak pali,
Ześ mię płakać powinna, iezliś nie ze ſtali.

KRĘCICKA.

Ho! ho! płakać mi każe dla mego kochanka!
Czemżeś na me nie przynioſł łzy ſporego dzbanka?
Jdź mi z oczu Fiutyńcze, nie bądź nudnym trutniem,
A nie czekay, poki cię, w pyſk pięścią nie utniem.

FIUTYNIEC.

Takeś z gniewu czerwona, iak cwikła y burak.

KRĘCICKA.

Coż cię to tych ſłow ładnych pouczył za durak?

FIUTYNIEC.

Ten gniewney Pani moiey; komplement niezgrabny,
Nie mogł by ułagodzić, prezencik powabny?

KRĘCICKA.

Przy prezencie, mow ze mną beśpiecznie y śmiele,
Pokaż prezent.

FIUTYNIEC.

Pokażęć dudka na Kościele.

KRĘCICKA.

W ſzaleńſtwo ſię obraca, śmiałość twoia wściekła,

FIUTYNIEC.

Z bolu ſzaleię, miłość twym ogniem mię ſpiekła.
Ale nie pokazany, lecz żądany prezencik,
Nie mogł by, lepſzy dla mnie, ziednać komplemencik?

KRĘ-

KRĘCICKA.

Coż masz dla mnie, ?

FIUTYNIEC.

mam kupne za dobre pieniążki,
Dla piękney mey Kręcicki, na iey głowę wstążki,

KRĘCICKA.

Pokaż prędko,

FIUTYNIEC.

Na krotką mą zwłokę, nie markocz,
Y rok nie minie, a twoi zdobić będą warkocz.

KRĘCICKA.

Z tym żartem, szukay iakiey tam u was błaznicy.

FIUTYNIEC.

Nie rodzą się błaźnice, w naszey okolicy,
Sąż u was ?

KRĘCICKA.

u nas takich nie ma wieś, ni miasto,
Gdyś był u nas; był taki ieden w tobie, za sto.
Owszem więcey, bo śmiele mogłabym poprzysiąc,
Ze wart ieden Fiutyniec, innych takich tysiąc.

FIUTYNIEC.

Wstrzymay się, w bystrym gniewu, y niełask pospiechu,
A iać wstążkami, z błaznow, wykupię się cechu,
Przyim wstążki.

KRĘCICKA.

iakże, w krotkiey chwili oka mgnienia,
Prezent; ciupę w grzecznego człowieka, przemienia.
Ale to wstążka droga, kosztowna, bogata?

FIUTYNIEC.

Nie żałuie niczego Młodzian, gdy się swata.

KRĘ-

KRĘCICKA.

Coś łożył na te wstążki ?

FIUTYNIEC.

dowcip, y staranie,
Bez pieniędzym ie kupił, nic nie dawszy za nie.

KRĘCICKA.

Toś ie ukradł; śmiesz o mnie, starać się złodzieiu ?
Nie maiąc cnoty w sercu, ni w głowie oleiu.

FIUTYNIEC.

Nieukradłem z szkatuły, wziąłem ie z nienacka,
Sprzątnąć, iest rzecz maystrowska, kraść iest rzecz partacka.
To iest sztuka; a iam ią zrobił po omacku,
Takiego wzroku w nocy, trudno znaleść w gacku.

KRĘCICKA.

Smiałeś kraść ?

FIUTYNIEC.

Fe; ma cnota, boi się postronka;
Czy chciałaż by złodzieia, Kręcicka być żonka ?
Ja w służbie Pana mego, y wierny, y czuły.
Po omacku do Pańskiey otwieram szkatuły,
Wysługuię mą płacę, w czoła mego pocie.
A w dzień y w nocy służę, bo mam oczy kocie.

KRĘCICKA.

Widział Pan, gdyś brał wstążki ?

FIUTYNIEC.

On w dzień mało widzi,
Nos siodła w okulary, a z wzrokiem się bidzi.

KRĘ-

K R Ę C I C K A.

Jakżeś wziął wſtążki ?

F I U T Y N I E C.

Oto z Pańſkiego rozkazu,
W ciemną noc, do ſzkatułym otworzył do razu.
Pan mi do niey z ufnością powierzył kluczyka,
Wiedząc; że nic, cnotliwy Fiutyniec, nie zmyka.
Kazał mi z niey wziąc wſtążki, dla ciebie na dary,
Przyim ie od Pana, tobie poſłał ie dziad ſtary.

K R Ę C I C K A.

Za co ?

F I U T Y N I E C.

byś mu uſłużna była, u Amaty,
Do ktorey Przyiaciela, poſzle dziſiay w ſwaty,

K R Ę C I C K A.

Co mey piękney Amacie, po brodatym Capie ?
Ktoremu z oczu ciecze, y z noſa mu kapie.

F I U T Y N I E C.

Nie poymuieſz mię, chocieś rozumna dziewczyna,
Z piękną twoią Amatą, Ociec ſwata Syna.

K R Ę C I C K A.

Teraz rozumiem; ale coż to ieſt za fraſzka,
Pannie ſłużebney wſtążki, przynoſić od gaſzka ?

F I U T Y N I E C.

Co chceſz więcey ?

K R Ę C I C K A.

Kto taką chce poiąć dziedziczkę,
Bogatą iey dziewczynie, ma kupić ſpodniczkę.

FIU-

FIUTYNIEC.

Będzie to.

KRĘCICKA.

Kto o przyiazń, ſtara ſię Amaty,
Dziewczynie iey ma ſprawić, kontuſik bogaty,

FIUTYNIEC.

Dobrze.

KRĘCICKA.

chcąc wziąć z Amatą, wioſki tak intratne,
Trzeba dać iey ſłużebney, ſukienki bławatne,

FIUTYNIEC.

Zgoda.

KRĘCICKA.

Piękność Amaty, y Cnot zbior tak wielki,
Wart, aby mi choć ze dwie ſprawić kamizelki;

FIUTYNIEC.

Pokiż tego?

KRĘCICKA.

Amaty gaſzek, dla dziewczynki,
Tey Damy; kupi piękne, ze złotem patynki.

FIUTYNIEC.

Gwałtu? długiż to regeſtr,

KRĘCICKA.

Amaty dzieweczka,
Godna, ze złotem, ważnym, ſporſzego woreczka,
Reſzta potym?

FIUTYNIEC.

Zbyt drogo, Kręcicka zaczynia,
Pełnaby była, wielu tych prezentow, ſkrzynia.
Ten zaś do targu będzie, ieden punkt naygorſzy,
Worek ważnego złota, nie ſkąpy y ſporſzy.

KRĘCICKA.

Kręcicka odrobiny, z targu nie uſtąpi,
Przyſłowie ieſt: dwa razy ten traci, kto ſkąpi.

Rzuć ponęty; a rybę, ułowiſz na wędce,
Rzuć pieniędzmi; a pewnie, ożeniſz ſię w prędce,
Bez datku nic nie wſkoraſz, kochany ſąſiedzie,
Wſzak mowią: że kto dobrze ſmaruie, ten iedzie,
Mow to Panu; a ieźli chce poiąć Amatę,
Niech przodem, za nię poſzle, Kręcicki zapłatę,
Jnaczey; z nim ma Pani, ſtalowa, żelazna,
Będzie; y powie, że ma Kawalera błazna.
Wieſz, że iey ſercem rządzę, że iey myślą władam,
Ze iak Echo powtarza, co iey w ucho gadam.

FIUTYNIEC.

Coż z mym Panem wyieżdżaſz? on żonki nie pragnie,
Młodą Amatę, z Dziadem ſwataſz, z capem iagnie,
Byłażby rzecz przyſtoyna, byſtrey na kſztałt łani,
Starego Pana mego, być żoną, twey Pani.
Iużem ci mowił, że ten wiekiem oſłabiony,
Starzec, nie ſobie ſzuka, lecz ſynowi żony.

KRĘCICKA.

Wiem to, y czyż podobna, by Panna młodziuchna,
Chciała ſtarca, co z niego, ſypie ſię iak z pruchna.
Ktory na nowiu Marca, lub na pierwſzey Kwadrze,
Niemocą obalony, raptem nogi zadrze.
Wiem to, że Syn ſię żeni, lecz Ociec niech płaci,
A Kręcicka, na targu ſwym, niech nic nie traci,
Ale idź ztąd, bo Pani moia, tu nadchodzi,
Pokaże to Kręcicka, iak ią za nos wodzi.

SCENA DRUGA.

KRĘCICKA y AMATA.

KRĘCICKA.

Dobre Kochaney Pani, przynoſzę nowinki,
Warte, bym za nie wzieła, piękne upominki.

Mło-

Młodzian zacny, bogaty, młody, hoży, grzeczny,
Dziśiay u nog Amaty, hołd złoży ſerdeczny,
Ten młodzian, ztąd ieſt bardziey ſzacowny, że ſtarca,
Ma Oyca, co w grob poydzie, oſtatnich dni Marca,
Co lada dzień polegſzy, oſtrzem śmierci koſy,
Ciężarne złotem, w ſkrzyniach, zoſtawi nam trzoſy,
Rozumiem że Amata, Kręcickiey nie zgani,
Ze takiego ſwey ſtręczy Konkurenta Pani.

AMATA.

Jeżeli kocha Cnotę, będzie mi przyiemny,
Bez tego do Amaty, trud będzie daremny.
Nad wſzyſtkie inne, ieden ten przekładam przymiot,
Bez niego mi Kawaler, ieſt nudny, iak wymiot.
Niech nic nie ma, a w cnocie niech będzie gruntowny,
Znaydzie w ſercu Amaty, affekt nieodmowny.
Inne wady okrasi, tym iednym przymiotem,
Bez niego, wſzyſtko u mnie, ieſt śmiecią y błotem.

KRĘCICKA.

Gdzież ieſt człowiek bez wady? nie ma go świat cały,
A nayczyſtſze bez ſkazy, nie będą Krzyſztały,
Nie maſz doſkonałości, bez żadney przywary,
Dopiero nie grzeſzemy, iak poydziem na mary.
Ten ſię zowie cnotliwym, w wielkiey ludu zgrai,
Kto mniey ma wady, albo; kto ią lepiey tai.
Płochość mamy w młodośći, a zrzędę w ſiwiźnie,
Na świecie iak na ledzie, każdy ſię pośliźnie.
Chyba iedna Amata, wad nie ma nic cale,
Y moia tylko Pani, bydź może bez ale.

AMATA.

Mam ich też moią miarkę, y z gorą; lecz mnieyſze,
Jak przyrodzone ludziom, wady, ſą znośnieyſze.

Ten; kto Swiętemi BOGA, rządzący się prawy,
Nie tknął bliźniego swego, własności, ni sławy,
Kto danego nam słowa, y wiary nie złamie,
Kto przyiaźni dotrzyma, kto szpetnie nie skłamie,
Kto będąc przyiacielem, ludzkiego rodzaiu,
Bliźniemu swemu, chętnie świadczyć, ma w zwyczaiu,
A przytym, kto ma serce, Cnotami ozdobne,
Temu zawsze, wybaczyć trzeba, wady drobne.

KRĘCICKA.

O Kawalerze, ktory ma do ciebie wzdychać,
Gdziekolwiek uszy puszczę, wszędzie dobrze słychać,
Cnotliwy, mądry, piękny, maiętny, y zacny,
Jeden tylko ma defekt, do poprawy łacny,
Ze wszystkich często gani, a pochwali rzadko,
Jednak nie tknie honoru, ale utnie gładko.

AMATA.

Palcem mi go wytykasz, łatwo powieść taka,
Daie Staropolskiego, poznać mi dziwaka.
Nimem tu przyiechała, w Warszawskim Klasztorze,
O iego nie zwyczaynym, słyszałam humorze,
Słyszałam y o Cnotach, o sercu bez skazy,
Y przez kratem go mogła widzieć, ze dwa razy.
Słuchay Kręcicka; porzuć namowy y szachy,
Nie takiey do Amaty, iak ty, trzeba swachy.
Nie mam Oyca, ni Matki, a choć kocham Brata,
Nie on, lecz chyba Niebo, Amatę wyswata.
BOGA, rozumu, serca, szczegulnie tu słucham,
A co mi ludzie szepcą, na to wszystko głucham.
Jednak o konkurencie, co mi go chcesz raic,
Nie mam przyczyn, myśl moią, przed tobą utaić.
Urodzenie, maiętność, rozum, y Osoba,
Zgodna z moią miłością, wieku iego doba,

Ze wſzelkich miar Amacie, gardzić nim nie radzą,
Jeżeli wady iego, poprawić ſię dadzą,
Wprzod to będzie Amata, ważyć iak na ſzali,
Nim tego Konkurenta, przyimie, lub oddali.

KRĘCICKA.

Jeźli w Cnocie gruntownym ieſt; to nic nie znaczy,
Ze czaſem ludzi gani, y trochę dziwaczy,
Nie z złego ſerca, ale nałogu gawędzi,
A znać ma ſwierzbę w uſtach, y język go ſwędzi.
Wſzak mowią; że u młodych, bywa puſto we łbie,
Y iak przyſłowie uczy; znaydą ſię w nim kiełbie,
A gdy młodzian ma Cnoty, zacność, y bogactwa,
Trzeba mu przy nich drobne, wybaczyć dziwactwa.

AMATA.

Trzeba go pierwey poznać, trzeba to wprzod zważyć,
Czy dla wielkich Cnot, małe wady, mu pobłażyć,
Czy ma tak piękne ſerce, y tey ceny warte,
Ze nią drobne defekta, mogą być za tarte,
Czy tak, iako przy cieniach kolory iaſnieyſze,
Są przy wadach, przymioty iego, wydatnieyſze,
To zważać, to roztrząſnąć, moia rzecz ieſt; a ty,
Nie wyryway ſię do mnie, drugi raz, przed ſwaty.
Ale wyidź z tąd, a trzymay język, za zębami,
Z Bratem mym nadchodzącym, zoſtaniem tu ſami.

SCENA TRZECIA.

CNOTOSŁAWSKI, y AMATA.

CNOTOSŁAWSKI.

Będą nam tu Sieſtrzyczko, Goſpodarze radzi,
Ociec Syna do piękney, Amaty prowadzi,

Do

Do ktorey ieźli za nim, Nieba ſię przyczynią,
Przemieni ſię Amata, z Gościa w Goſpodynią.
Zacność, Maiętność, Rozum, ſtatek bez nagany,
Czynią go znakomitym, pomiędzy Młodziany,
Nikt w nim nie poſtrzegł, żadnych złych nałogow, ani,
Płochości; iednę wadę ma, że wſzyſtkich gani,
Nie tknie iednak , niczyiey ſławy, ni Honoru,
Ganiąc nie z złego ſerca, lecz z złego humoru.
A iak cała Warſzawa, iednomyślnie mniema,
To ten Młodzian, nie Cnocie, przeciwnego nie ma,
Y ia, kochana Sioſtro, nie widzę, czemu by,
Nie był godzien dozgonne, poprzyſiąc ci śluby.
Bo gdy ſerce ma w Cnotach, gruntowne y ſtałe,
Wart tego, aby wady, przepuścić mu małe.
A ieźli na Kobiercu, Nieba cię z nim ſtawią,
Twe Cnoty, drobne iego, przywary poprawią.

AMATA.

Wiem, że nietylko Sieſtrze, ale każdey Damie,
Zgodny z prawdą twoy ięzyk, Braciſzku nie kłamie,
Znam piękne ſerce twoie, znam Cnoty chwalebne,
Ktoreć wſzędzie przyznaią, uſta niepodchlebne,
Wiem y to; że po oboch, mych Rodzicow ſtracie,
W tobie iednym, y Oyca, y Matkę mam Bracie,
Że y moia oſoba, y moia Fortuna,
W tobie ma iedynego, ſwego Opiekuna.
W wyrokach Niebieſkich, cenię twoie zdanie,
Y twey rady o moim, ſłuchać będę ſtanie.
Iednak, gdzie mi o ſzczęście idzie dożywotnie,
Trzeba mi ſię z rozumem, naradzić ſtokrotnie,
Trzeba ſię nie raz, z ſercem mym, y z myślą znoſić,
Trzeba gorąco Niebios, o natchnienie proſić,
Trzeba ſię wprzod rozpatrzyć, dobrze w Kawalerze,
Y pierwey ſię na iego, poznać charakterze,

Jaki

Jaki ma ſtatek, rozum, iakie obyczaie,
Jeźli mu Cnota do mnie, zalecenie daie,
Gdy pierwey nic nie rzekę, aż tego nie zważę,
Rozumiem, że tą zwłoką, Brata nieurażę.

CNOTOSŁAWSKI.

Moia rzecz radzić, twoia, obrać męża ſobie,
Rozpatrzywſzy ſię w ſercu, w rozumie, w oſobie.
A chociaż tego Sioſtro, Młodziana odrzuciſz,
Ani mię tym uraziſz, ani mię zaſmuciſz.
Co o nim wſzyſcy iego, gadaią ſąſiedzi,
Wierniem ci opowiedział, tak iak naſpowiedzi,
Zacny, grzeczny, rozumny, ſtateczny, maiętny,
Nie roſpuſtny, nie gniewny, uraz nie pamiętny,
Ta ſzczegulna ieſt iego, przywara y wada,
Ze z wſzyſtkiego żartuie, nagani, ogada,
Wſzyſtko mu krzywo, wſzyſtkim zawſze ſię przekarza,
Jednak ganiąc, honoru nigdyj nie zpotwarza,

AMATA.

Wielka Cnota, defekta małe, może zatrzyć,
Ale w tey Cnocie trzeba, dobrze ſię rozpatrzyć,
Jeżeli tak gruntowna ieſt, w ſwoiey iſtocie,
Ze małe wady nikną, przy tey wielkiey Cnocie.
Trzeba y nad tym myslą, dobrze ſię zabawić,
Jeźli ta Cnota zdoła, defekta poprawić,
A kto to wſzyſtko zważyć, nie da ſobie czaſu,
Ten nie do ślubu idzie, ale do taraſu.

CNOTOSŁAWSKI.

Tak ieſt; bo kto w Małżeńſkie oślep wchodzi Sluby,
Częſto ſobie przyſpieſzy, y śmierci y zguby.
Z okropnym ſerca żalem, widzieliśmy wielu,
Po krotkim, przez wiek cały, płaczących weſelu.

A kto

A kto raptem, y nagle, w ten święty ſtan wchodził,
Załował że ſię żenił, owſzem że ſię rodził.
Gdy w dożywotniey parze, przed ołtarzem ſtaiem,
Małżeńſtwo naſze będzie, lub piekłem, lub raiem.

AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA.

ROLAND, CNOTOSŁAWSKI, y AMATA.

ROLAND.

Gdy w domu Oyca mego, witam zacnych gośći,
Więcęy czuię, niż umiem, pokazać radośći.
Rodzic moy, wnet tu przyidzie, ieſt w bliſkim Kościele,
Nim Mſzy doſłucha; Syna gościom do nog ściele,
Z ſzczęśliwego, kochanych Sąſiadow przybycia,
Radość mu przyczyniła, y zdrowia y życia.

CNOTOSŁAWSKI.

Znamy przyiaźń, y dobre Serce Goſpodarza,
Ale w tym Domu nowe ſzczęście ſię nam żdarza,
Gdy wſtępuiąc w ſąſiada, kochanego progi,
Witamy cię, nie dawno przybyłego z drogi,
Już lat kilka, iakem cię widział, w młodſzey dobie,
Y nie wiem, ieżeli mnie, przypominaſz ſobie.

ROLAND.

Wſtyd mię, żem w Domu Oyca, Cudzoziemiec prawie,
To w Lublinie, ſtrawiwſzy ſiedm lat, to w Warſzawie.
Długość czaſu, y wielki gmin, rzeczy widzianych,
Tłumią mię w przypomnieniu, oſob dawno znanych,

Ufam

Ufam iednak, że moiey niezdolność pamięci,
Nie zmnieyſzy dla mnie, w ſercu twym, łaſkawych chęci.

CNOTOSŁAWSKI.

Nie może zapomnienie, bydź ſzkodne nikomu,
Zbyt też młodyś wyiechał, z Oycowſkiego domu,
Przez ſiedm lat, zacnych ludzi, widziałeś tak ſiła,
A pamięć nowych rzeczy, dawne zatłumiła.
Ale, czy znaſz tę Damę?

ROLAND.

Nie miała lat pięciu,
Gdym iey w tym Domu ſłużył, na ten czas dziecięciu,
A wſzyſtek ſkład iey twarzy, nie ieſt teraz inny,
Lecz właśnie taki, iaki przedtym był dziecinny.

CNOTOSŁAWSKI.

Twarz wzmiankuiąc, przytomney Damy, iey urody,
Nie chwaliſz; czy w Warſzawie wyſzło to iuż z mody?
Czy teraz ſą w Warſzawie, Młodzianie tak ſkromni,
Na wſi, młodzian Dam pięknych, bez pochwał nie wſpomni.

ROLAND.

Tenże to zwyczay na wſi, że zacni Sąſiedzi,
Inſze maią pytania, inſze odpowiedzi?
A gdy mnie pytaſz o mey, z Damą znaiomości,
Każeſz mi dać odpowiedź, o Damy piękności.
Niechay kto chce, waſz zwyczay, za prawo poczyta,
Ja na to nie odpowiem, o co kto nie pyta.

AMATA.

Ta rzetelność ieſt z Cnoty; uſta z myślą zgodne,
Zawſze będą chwalebne, choć nie zawſze modne.
Bo coż ma mieć znaiomość do piękności; ile,
Że ma twarz, nie wygląda przyiemnie y mile.

R O L A N D.

Krzywdę ſe czyniſz, zawſze wdzięk twoy y uroda,
Do przymiotow twey duſzy, wielkiey ceny doda.
Chociaż nie ieſt tak zbytnia, aby Dama żadna,
Nie była nigdzie, iak ty, tak piękna y ładna,
Wielki maſz wdzięk, iednakże mowiąc bez przyſady,
W twey, y w każdey piękności, znayduią ſię wady.

A M A T A.

Mam ich bez liku, owſzem piękności nic cale,
Nie mam; ty mi iey wady, powiedz poufale.

R O L A N D.

Twa piękność, wſzyſtkie ſobię zniewala affekty,
A chociaż w niey ſię drobne, znayduią defekty,
Gdy ie wielką urodą, y zgaſiſz y zmażeſz,
Smiele ci ie wymięnię, kiedy mi to każeſz.
W twych brwiach, maſz ieden dłuższy, niżli inſze włoſek,
Sliczny, acz niezbyt dobrze ſkończony maſz noſek.

C N O T O S Ł A W S K I.

Piękna ieſt między nami, y zgoda y zwada,
Ale przychodzącego witaymy Sąſiada.

SCENA DRUGA.

STAROPOLSKI, CNOTOSŁAWSKI, AMATA, y ROLAND.

S T A R O P O L S K I.

GDy w mym Domu, z kochanym widzę ſię Sąſiadem,
Rozpływam ſię z radości, y z ſerca mu rądem,
Przy-

Przybywa mi ſtaremu, y zdrowia y ſiły,
Kiedy mi cię uściſkać, Nieba pozwoliły.
Ale co to za piękność, niewidziana w świecie,
Roże gaſi rumieńcem; w młodości ſwey kwiecie.

CNOTOPOLSKI.

Przyiaźń w twoy Dom ſprowadza, y Sioſtrę y Brata,
Ta, ktorąś znał dziecięciem, kłania ci Amata,
Przez dziewięć lat w Warſzawſkim bawiła Klaſztorze,
Nim wyſzła na świat, w pierwſzey młodości ſwey porze,
Gdy ſię iak Cudzoziemka, w Domu właſnym ziawia,
Widzeniem ſwego Kraju, nayprzod ſię zabawia,
A ſzukaiąc honoru, z tobą ſię poznania,
Przed wſzyſtkiemi ſąſiady, naypierwey ci kłania.

STAROPOLSKI

Nowym ſzczęściem, me ſerce, Niebo uweſela,
Gdy kochanego witam z Sioſtrą Przyiaciela.
Sliczna Dama, co śliczna w przod była dziecina,
Cudnym wdziękiem pamięci mey ſię przypomina.
Na piękną młodź wyraſtać zwykła, piękna dziatwa,
A śliczną twarz przypomnieć ſobie, ieſt rzecz łatwa.

AMATA.

Nowina to ieſt dla mnie, y wieść nieſłyſzana,
Zebym między pięknemi, była poczytana,
Dośćby na mnie, z Klaſztornych murow wynieść cienia,
Szczegulną piękność duſzy, ſerca y ſumnienia.

STAROPOLSKI.

Hoyne Nieba, w twey śliczney zamknęły Oſobie,
Wraz y ciała, y duſzy twey, piękności obie,
W tobie Cnota z Urodą, walcząc ślicznym ſporem,
Dam cię naydoſkonalſzych, czynią pięknym wzorem,
Gdy widzących cię Starcow, nagaba kochanie.
O powabach twych myśleć co muſzą Młodzianie?

Wſtydliwym ſię rumieńcem, każdy z nich przepłoni,
A takim wdziękom, żadne ſerce ſię nie zbroni.

R O L A N D.

Wyznam prawdę, że Dama tak piękna y gładka
Jak Amata, na świecie znayduie ſię zrzadka,
Jednak nie zaraz, wſzyſtkich nas zniewala; ani,
Mienimy ſię być łatwo, Amaty poddani.
Nie zwykliśmy, w miłości więzy, iść oślepem,
Ptaſzki to bezrozumne, łapaią ſię lepem,
Młodzianie zaś długo ſię wpatruią w piękności,
Niżeli im uczynią, ofiarę miłości.

A M A T A.

Slicznie mowiſz, tak myślić, tak czynić należy,
A ten kto oślep kocha, oślep w przepaść bieży,
Zawſze zwykło rozumne, kochanie Młodzieńſkie,
Dozgonnym ſzczęściem więzy, obdarzać Małżeńſkie,
A zawſze tym pomyślnie, loſu koſtka padła,
Ktore rozum y ſerce, zgodnie ſprzęgły, ſtadła,
Tam ſzczęśliwe Małżeńſtwo, gdzie rozum był ſwatem,
Ale poydę do ſiebie, z odchodzącym Bratem.

SCENA TRZECIA.

STAROPOLSKI, y ROLAND

S T A R O P O L S K I.

Sam ſię ſądz Synu, ieżliś nie nudny, nie dziwny,
Zdaniom Oycowſkim, w oczy, śmiałeś być przeciwny,
Smiałeś w tym grubiańſtwie, przykry y zuchwały,
Ująć daney od Oyca, Amacie pochwały,
Czy twoiaż rzecz, w dyſkurſie, za ſłowka mnie chwytać,
Dość na cię odpowiedzieć, gdy cie raczę ſpytać.

RO-

R O L A N D.

Wſzyſtko com mowił, ſzczerey prawdy, ieſt iſtotą,
A zawſze ſię rzetelność może nazwać Cnotą,
Ze piękna Dama; czyliż zaraz w iey niewoli,
Serce uwięzić, zdrowy rozum, nam pozwoli?
Y czy tenże ieſt, Darow Niebieſkich porządek,
Zeby przy Dam urodzie, niknął naſz rozſądek?

S T A R O P O L S K I.

Prawda; ale też nie rzecz, wrywać ſię Synowi,
W dyſkurs Oyca, y przeczyć temu, co on powi,
Procz tego, każdy Młodzian, błądzi y wykracza,
Kiedy przy piękney Damie, iey wdziękom uwłacza,
Bo choć kto, Dam urodę, pochwałą przeſadzi,
Co to komu do tego, co to komu wadzi?

R O L A N D.

Cnota zawſze ſię zwykła, ſprzeciwiać obłudzie,
A rzetelni przy prawdzie, obſtawaią ludzie.
Dowod to ieſt niechybny, Cnotą tchnącey Duſzy;
Gdy ią obraza prawdy, do gniewu poruſzy.
Przeciwko Rodzicowi, Roland nie wykroczy,
Lecz Oycu, nawet Krolom, prawdę powie w oczy.
Bo prawda, rzecz ieſt w świecie, tak zacna, tak święta,
Ze wſzędzie być powinna, z ſzacunkiem przyięta.

S T A R O P O L S K I.

Dzika twa Cnota, mozgu krzywego, ieſt znakiem,
Y nie darmo cię ludzie, nazwali Dziwakiem.
Tak zrzędzaſz, tak wymyślaſz, taki z ciebie zgaga,
Ześ nie moia pociecha, lecz moia zniewaga,
Doznaſz w krotce, iak ſobie zle radziſz, y kędy,
Zaprowadzą cię twoie dziwacta y błędy.
Ja niechcę prożno z tobą, czas y słowa trwonić,
Twoy upor, do dobrego, nie da ſię nakłonić,

Chcieć ci twego nudnego, dziwactwa zabraniać,
Było by to, cień chwytać, y wiatry uganiać.
Sam BOG, y czas, być może, wad twoich lekarzem,
My cię nie utrzymamy, my cię nie ukarzem.
Ja śię Synu za ciebie, modlić będę BOGU,
Aby cię w nudnym twoim, poprawił nałogu.
Ale iedna rzecz wzbudza, me żale serdeczne,
Że me chęci dla ciebie, czynisz bezskuteczne,
A szczęściu twemu, Oyca zamysły przychylne,
Dziwactwem twym śię staią, spełzłe y omylne,
Bo ia, do tychczas miałem, nadzieię niepłonną,
Żeś mogł pozyskać, miłość Amaty dozgonną,
Brat iey w tym mi pomagał, y miałem sposoby,
Ktoremi me staranie, do skutku przyszłoby.
Tyś całą mę robotę, zniszczył, y obalił,
Gdyś mi to przy niey zganił, żem iey piękność chwalił,
Gdyś przy niey Oyca twego, ktory śię iuż zstarzał,
Nie uczcił; ale mu śię, sprzeciwiał przekarzał,
Gdyś pokazał, że głowa twa, na rozum chora,
W swym szwanku potrzebuie, lekow, y Doktora.

ROLAND:

Dotąd nie mam Amaty, ni w sercu, ni w głowie,
A bardzo temu wierzę, co mowi przysłowie.
Że każdemu z śmiertelnych, iest y śmierć, y żona,
Z naywyższego wyroku Niebios, przeznaczona,
Od wiekow napisano, z kim śię kto ożeni,
Dekretow zaś Niebieskich, człowiek nie odmieni.
Jeźli Roland Amatę, ma sobie zaślubić,
Niebo skłoni ich serca, że śię będą lubić,
Mego Oyca, iey Brata, tak ziednoczy zdanie,
Że ta para do ślubu, przed Ołtarzem stanie.
Jeźli mi zaś, nie sądził BOG, Amaty żony,
Trudna to: czas daremny, y marnie stracony.

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

FIUTYNIEC, y KRĘCICKA.

F I U T Y N I E C.

SKarżęć śię na twą miłość, że w ſercu mym pała,
Tak; żem zſechł, a cień tylko, chodzi mego ciała,
Spali mię na popioły, krew we mnie wyſuſzy,
Zyły moie powędzi, y kości pokruſzy,
Spoczynku mi nie daie, w boki mi śię wpiła,
Tak; że mię bolą; iakby kiiem ie obiła,
Pierſim zerwał wzdychaniem, ięk mi dławi ſzyię,
A łzami co dzień ręce, choć brudne obmyię,
Jak ſzczur ſuchary, tak mi miłość, głowę gryzie,
Jak iaſtrząb ptaſzka w ſzponach, tak mię trzyma w ryzie.
To zaś gorſza, że dla mnie Kręcicka z opoki,
Pogardzą mną, łaie mię, wziąwſzy śię pod boki,
W złości zapamiętała, nakſztałt ſrogiey ięndzy,
Swym gniewem, mych przyczynia, ucifkow y nędzy,
A na mnie okrutnieyſza, niż na myſzy ſowa,
Gdym miłością ſpieczony, ona ieſt ſurowa.

K R Ę C I C K A.

Rozumieſz, że żartuieſz, gdy ladaco brydziſz,
Czyniąc śię nudnym trutniem, baiać śię nie wſtydziſz,
Porzuć ten głupi koncept, coć śię w głowie roi,
A powiedz, co Panowie, o nas myślą twoi.
Waſz Roland, za powodem, Oycowſkiego zdania,
Czy dziwackie ſwe ſerce, do Amaty ſkłania,

Czy

Czy zmierzaiąc do ſkutku, tak pięknego ſwactwa,
Porzuca ſwe wykwinty, y nudne dziwactwa,
Czy wie, że ſerca Pani moiey, ieſtem pewna,
Że gdy każę, łaſkawa; gdy każę, ieſt gniewna,
Że gdy Kręcicka, ſercu iego, zechce ſłużyć,
Amata ſię do niego, da ſkłonić, y użyć,
Że gdy przez ciebie do mnie, do Pani przezemnie,
Uda ſię; będzie kochał, kochany wzaiemnie.

FIUTYNIEC.

Prędzeyby poſzedł głuſzec, z kurami do koyca,
Niżby Roland, do ślubu poſzedł, z woli Oyca,
Rodzica, ani żadney rady, on nie ſłucha,
Że on ſam tylko mądry, ta iego otucha,
Umyſł tego Dziwaka, zbyt pyſzny y dumny,
Mniema, że ieden w świecie, Roland ieſt rozumny,
Że nawet twa y moia głowa, nie ieſt mądra,
Y że gap ieſt Fiutyniec, a Krecicka flądra.

KRĘCICKA.

Że gap Fiutyniec; dla mnie, ta nowina ſtara,
Lecz podobna Kręcickiey nie ſłuży przywara,
Nigdy nic takowego, paść nie może na nią
Znać nie głupia, gdy za nos wodzi, ſwoią Panią,
Gdy ſkłaniaiąc gdzie zechce, ſerce iey y żądze,
W prędce za mąż ią przeda, za dobre pieniądze,
Ktorey kiedy Fiutyniec, dla Pana nie kupi,
Znać; że nie włada ſercem Pana, znać że głupi,
Znać że w ſiły rozumu, nie tęgi, nie duży,
Gdy nie umie panować, temu komu ſłuży.

FIUTYNIEC.

Alboż moy Dziwak, takie, iak twa Pani iagnie,
Żadnym ſię upor iego, ſpoſobem nie nagnie,

Ktoby

Ktoby z Rolanda głowy, chciał wybić wykwinty,
Z muzgiem by ie, wyſtrzelić muſiał, kulą z flinty.
Rowny mu cudak w świecie znalazłby ſię z trudna,
Praca z nim ieſt daremna, y rozmowa nudna,
Do tego; ia nie iemu ſłużę, moy Dziad ſtary,
Da mi ſię wodzić za nos, ſiodłan w okulary.
Jak rządzę ſtarcem, widzieć będzieſz, iak na dłoni,
Jeźli naſz Dziwak ſerce, do twey Pani ſkłoni.
Obaczyſz iak ci choynie, Amatę zapłaci,
Jak cię podarunkami, ſtarzec ubogaci.

KRĘCICKA.

Poki ci ſwey Amaty, Kręcicka nie przeda,
Poty dobrego ſłowa, Fiutyńcowi nie da.
Poty Fiutyniec będzie, gap, łgarz, ſzalbierz, plotka,
Poki nie da Kręcicki, za Amatę złotka.
Ktorego ieżeli iey, nie zmoże wyrobić,
Wart tego; ażeby mu, kiiem boki obić.
Ale ma Pani idzie, ty wychodź, ia będę,
Starać ſię, że ią złowię, iak rybkę na wędę,

SCENA DRUGA.

AMATA, y KRĘCICKA.

AMATA.

TWoy Roland, z powſzechnego naganny odgłoſu,
Rozumiem, że ieſt godzien ſzczęśliwſzego loſu.
Rzetelność iego w prawdzie, niemodna, y dzika,
Z ſerca, zbyt oſtrą Cnotą tchnącego wynika.
Mowi wſzyſtko, co myśli, a nic nie uważa,
Jeżeli ſobie kogo prawdą nie uraża.

Lecz ſkromnie bez potwarzy, czyſtą prawdę rzecze,
Nigdy ni czyiey ſławie, ni czci nie uwlecze.
Niech kto chce, ſzczerą ſerca, nagania proſtotę,
Wiem, że kto chce ią ganić, muſi ganić Cnotę.

KRĘCICKA.

Wſzakem ia to kochaney Amacie mowiła,
Ze nic ſą małe wady, gdzie ieſt Cnoty ſiła.
Choć by ſię mały defekt, w Rolandzie mogł ziawić,
Doſkonałość Amaty, może go poprawić.
Z uſilną ciekawością, z ſtaraniem, z zabiegiem,
Byłam dotąd, defektow iego, wiernym ſzpiegiem.
A gdziem mogła, puſzczaiąc uſzy, na wywiadki,
Mowiłam z domowemi, czynow iego świadki.
Lecz wſzyſtkich mych wywiadek, te miałam pożytki,
Ze grzeſzy przez ſzczegulne, oſtrey Cnoty zbytki.
Nie kłamca, nie gniewliwy, nie gracz, ani piiak,
Nie pyſzny, nie utratny, nie naganny niiak,
Pobożny, mądry, grzeczny, cnotliwy, bogaty,
Zacny; a ſłowem, godzien bydź mężem Amaty.

AMATA.

O iego obyczaiach, chciey ſię ieſzcze badać,
Może ci twoy Fiutyniec, o nich ſię wygadać.
Tym czaſem,. on tu przyidzie, a ieźli narowy,
Ma iakie, pokażą ſię, z moiey z nim rozmowy,
Wymacam ie; myśl iego, na ięzyk wyciągnę
A do ſkrytości ſerca, rozumem doſiągnę.
Ale wyidź ztąd, bo Roland iuż nadchodzi do mnie,
Nad ſwoy zwyczay wygląda, przyiemnie y ſkromnie,

SCE-

SCENA TRZECIA.

ROLAND, y AMATA.

R O L A N D.

PRzyznaſz piękna Amato, że wieyſkie zabawy,
Nudne ſą, po rozrywkach wſpaniałey Warſzawy.
Tam w niezliczonym Wielkich Panow, y Dam gminie,
Weſołością ſkrocony dzień, iak moment minie.
Muzyka, tańce, maſki, gra, y poſiedzenia,
Swiatłem gaſzą południe, w śrzod nocnego cienia.
Tam po ulicach, złotem lśniące ſię poiazdy,
Luſtrem w oczy biiącym, błyſzczą ſię iak gwiazdy,
A pyſzno ſtroyne Cugi, w ſzor ſrebrem bogaty,
Stangret zacina, w drogie ubrany ſzkarłaty,
W Pałacach cudnym kunſztem, ozdobne Pokoie,
Pyſzne ceną zamorſkich, marmurow podwoie,
Sciany żywych obrazow, ſukienką odziane,
Na ſtolikach Kobierce, złotem ślicznie tkane,
Luſtry, ktore aż chyba, nad świtaniem gaſly;
Są widoki; co oczy me w Warſzawie paſly.
Tu zaś na wsi, dzień każdy, zdaie mi ſię wiekiem,
Częściey z zwierzem przeſtaiąc, niżeli z Człowiekiem.
A widząc gminy bydła, w wieczor, y w południe,
Między tłumem obory, czas przepędzam nudnie,
Albo ſamotny, w małey zamknąwſzy ſię chatce,
Dumaiąc, nucę ſobie, tak iak ptaſzek w klatce,
Przyznay Amato; gdy ſię na wsi człek zakopie,
Jak nudno po Warſzawie, przy roli, y ſnopie.

A M A T A.

Jam w Warſzawie y razu nie była u Dworu,
Y w niey nic dobrze nie znam, procz mego Klaſztoru,

Słyszałam zaś, że Damy, y piękne y grzeczne,
Zdobią śliczną urodą, to miasto stołeczne,
Y że miły wdzięk twarzy, Rozum, Obyczaie,
Cały świat iednostaynie, tym Damom przyznaie.

ROLAND.

Tak iest, y pewnie nigdy, Francuzki, y Niemki,
Ni żadne, nie celuią tych Dam, Cudzoziemki.
Bo co się tycze Cnoty; bez skazy, y kału,
Niezmazane y czyste, są na ksztalt Krzyształu,
W Urodzie zaś, y w stanie, tak Panny iak Panie,
Są piękne, ładne, wdzięczne, są hoże, iak łanie.
Z ktoremi gdy rozumna bawi nas rozmowa,
Z ich ślicznych ust wyborne, wdzięcznie płyną słowa.
Lecz coż iest tego wieku! Piękność, Cnota, polor?
Gdy twarz rumieni, kupny, nie wrodzony kolor?
Farbami się iak obraz maluią, a czasem,
Jak mur wapnem, tak lice, bielą się bleywasem,
Y na miast tych, co skromnie w ciele się ukryły,
Ołowkiem się bezkrwawe, narysuią żyły.
Słowem że tego wieku, nie natura twarze,
Piękne daie; lecz farby, pędzle, y malarze.
Jdźmy do Cnoty; tego wieku, wyszło z mody,
Z powierzchowną skromnością, łączyć wdzięk Urody.
Cnota w sercu się chowa, a oczy swywolne,
Swym wdziękiem zniewalaią nasze serca wolne:
Y rzucaiąc te ognie, co w nas żądze wzbudzą,
Czystość swych zachowuią serc, lecz nasze brudzą.
A chcąc mieć chęci nasze, swym wdziękom poddane,
Choć same nie kochaią, lubią bydź kochane.
Co się tycze Rozumu; ten śliczny y wielki,
Przyznaie Damom Polskim, obcy Narod wszelki.
Lecz wiek nasz od dawnieyszych, rożny, y wyrodny,
Smie nazywać Rozumem, płochy dowcip modny,

Teraz

Teraz w ſłowa wyborne, myśl podła y ſłaba,
Stroi ſię: iak ſzkaradna w piękne ſzaty baba.
Teraz mowa, co chwyta za ſerca z początku,
Gdy ią do końca ſłuchaſz, nie ſtaie w niey wątku.
Teraz obmowcy ięzyk, tak wielki iak ozor,
Słuſznie mowi że wſzyſtko; obłuda y pozor.

A M A T A.

Wiem to, że większy dowcip, a rozſądek mnieyſzy,
Damom, niż wam przyznaie, wiek naſz, y dawnieyſzy,
Słabość płci naſzey, oſtra nad nią władza waſza,
W czym chce, nas z krzywdą naſzą, przewyżſza y zgaſza.
Więc mińmy Damy; Męſzczyzn przypiſuymy ſławie,
To co luſtr nayprzednieyſzy, przynosi Warſzawie.
Tam na wielki Senatu Luſtr; miło ieſt patrzeć,
Ktory by Starych Rzymian, mogł zgasić y zatrzeć,
Mądrość, co ią wiek daie ſędziwy y długi,
Powaga zarobiona wielkiemi zaſługi,
Przezorność Rad Polſkiego tak ſłynie Senatu,
Zeby mogła całemu dawać Prawa Swiatu.
Tego Senatu Rady gdy z Woiewodztw Poſły,
W iednoſtaynym umyśle, na Seymie ſię znioſły,
Zawſze od nich luſtr nowy, brały Cne Narody,
Y zwiękſzyły Oyczyſte Prawa, y ſwobody,
Widzieć ludzi w Oyczyznie, tak Wielkich, tak ſiła,
Jak musi być rzecz piękna, iak ma bydź rzecz miła.

R O L A N D.

To pewna; że po BOGU, y po Krolu Rada
Senatorſka, do ſzczęścia tych Państw ſię przykłada.
Ze kochaney Oyczyznie, wierny y uprzeymy.
Senat, zwykł utrzymywać ſwą powagą Seymy.
Ale, gdzie ſą te Seymy, y iak tych iuż mało;
Ktorymby doſzłe Seymy widzieć ſię doſtało.

Wſzak

Wſzak to iuż po dwudzieſtym, Rok piąty naſtaie,
Jak ſię każdy Seym zrywa, żaden nieudaie.
Co ieźli dłużey potrwa, bać ſię trzeba z laty,
Seymow, a z niemi, wſzyſtkich Praw naſzych utraty.

A M A T A.

BOG, y Naylepſzy z Krolow, tego nas uchowa,
Ziednoczy Rad y Poſłow, y myśli y ſłowa.
Ten Pan, co będąc Krolem, y ſerc y affektow,
W gminie Cnot Wielkich, nie ma naymnieyſzych defektow.

R O L A N D.

Nic nie maſz bez defektow, wſzyſcy wady mamy,
Krzyſztały maią ſkazy, y ſłońce ma plamy.
A choć naſz Krol przewyżſza, Cnotami Traiana,
Choć żaden łaſkawſzego. Narod nie miał Pana,
Jednak ten Krol, Cnot Wielkich, zbior nieſkażytelny,
Ten ieden, wielki defekt ma; że ieſt śmiertelny,
Ze po ſtu lat, ktorych Bog, raczy mu użyczyć,
Po śmierci iego Polſka będzie z żalu ryczyć.
Ze go zawiożſzy, z rzewnym płaczem, do Krakowa,
Z kościami iego, ſwoią ſzczęśliwość pochowa.

A M A T A.

Lubiſz dowcipnie ganić, y obmawiać grzecznie,
Gdzie żadnych wad nie widziſz, ſzukaſz ich koniecznie.
A gdy wſzędzie znayduieſz defekty; tak kładę,
Ze przyznaſz w ſobie ſamym iakąkolwiek wadę.
Powiem ci ią; a choć twe, y wady y ſkazy,
Nie zadaią naymnieyſzey, twey Cnocie, urazy,
Jednak gdy obmow twoich, cały świat ieſt celem;
Nikt z ludzi bydź nie może, twoim Przyiacielem,
A przez dzikość nudnego twego obyczaiu,
Maſz w korzyści nienawiść, ludzkiego Rodzaiu.

Nie

Niewiem, co za przyiemność znayduiesz w naganie?
Przystoynieyby w pochwałach mieć upodobanie,
Jeden Roland na świecie w żołci znalazł smaki,
Jeden twoy niesłychany, y nudny gust taki.
Zal mi Cnot twych, ktoreby lepiey się wydały,
Gdyby ich troszkę nie cmił, ten defekt choć mały.
Porzuć ten nałog; obroć na to myśl y siły,
A dotąd wszystkim nudny, będziesz wszystkim miły.
Ta zaś rada, ktorą ci, niech mi się dać godzi,
Wiedz; że nie z złego serca moiego, pochodzi.

R O L A N D.

Moc iakaś niewidoma, tego upomnienia,
W momencie na tok inszy, me serce przemienia.
Surowych ust, zmarszczoney twarzy, człek się zlęknie,
Sliczne Usta, strofuią wdzięcznie, łaią pięknie.
Kocham Oyca, lecz iego surowe przestrogi,
Daremnie się z moiemi, biedziły nałogi,
Jak się dowie, co piękność twa, y rozum umi,
Miłym się podziwieniem; staruszek zadumi.
A tak cudne, Urody twoiey we mnie skutki,
W radość przemienią iego, frasunki y smutki.
Gdy zaś, iest ma poprawa, dziełem twoim iawnym,
Nie gardź Amato sercem, od ciebie poprawnym.

A M A T A.

Nic ci na to nie powiem; wprzod muszę obaczyć,
Jeźli szczerze przestaniesz, zrzędzać y dziwaczyć.

AKT

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

FIUTYNIEC y KRĘCICKA.

FIUTYNIEC.

O czym piękna Kręcicka duma?

KRĘCICKA.

pomaleńku
Ze mną Fiutyńcze; dawno mam z tobą na pieńku.
A gdy za twe ſzalbierſtwo, mam na ciebie chrapkę,
Dumam, iak ſobie począć; żebyś mi w padł w łapkę.

FIUTYNIEC.

Tyranko! twardſza na mnie, niż ſkały y głazy,
Niż ogurek na grzędzie, ſurowſza ſto razy.
Okrutnico! do iędzy podobna, złym okiem,
Co mię iak bazyliſzek, chceſz zabić twym wzrokiem,
Pokiż mię łaiać będzieſz?

KRĘCICKA.

Szaleńcze nie gawędź,
Bo ſię o twoy ząb oprze, moiey ręki krawędź,
Jakże cię nie mam łaiać, za twe łgarſtwa? ſobieś
Sam winien, żeś wierutny ſzalbierz, hultay, obieś,
Gdzież podarunki, złotko, gdzie koſztowne ſzaty,
Za ktoreś u mnie ſerce ztargował Amaty?
Y ty, y nudny Dziwak twoy; y Dziad twoy ſtary,
Zgińcie, a wſzyſcy razem, idźcie ſe na mary.

FIUTYNIEC.

Jako? śmieſz mię zniewazać? com tak zacny młokos.

KRĘCICKA.

Słuſzny z ciebie Kawaler, do cepa, y do kos.

FIUTYNIEC.
Jako ia do kos? Pańſki Dworzanin, y ſługa?

KRĘCICKA.
Prawda; ale do Dworu, przyſzedłeś od pługa.

FIUTYNIEC.
W głowę zachodziſz; z gniewu rozum ci ſię mieſza,

KRĘCICKA.
Mam y rozum y pamięć, żeś chłop od lemieſza.

FIUTYNIEC.
Błądziſz, iam nie z tych krajow, iam ſobie człek obcy,

KRĘCICKA.
Przychodzą z obcych kraiow w ſiermięgach parobcy.
A ciebiem ia nie dawno, w inſzym znała pierzu,
Wierutny bałamucie, bezwſtydny ſzalbierzu.

FIUTYNIEC.
Słowa mi z uſt wyciągaſz; y Kręcickę pono
Nie dawno zabawiała kądziel y wrzeciono.
Y nie maſz trzech lat, iak iey, kaſzy, albo grochu,
Na iey bankiet, w czerepce, dawano po trochu.

KRĘCICKA.
Z ſzaloney twoiey mowy, to będzieſz miał w zyſku,
Ze cię za drzwi wytrącę, dawſzy ci po pyſku.
Ze pięścią wyproſzony, y kułakiem zbyty,
Z potarganą czupryną poydzieſz ztąd iak zmyty.

FIUTYNIEC.
Nie dziw, choćbym oſzalał, wſzak przy pięknych Dziwkach,
Bywa często, w młodzianow głowie, iak po śliwkach.
Ale Kręcicka dla mnie, tak twarda, iak krzemień,
Zmiękczona podarunkiem, gniew twoy w łaſkę przemień.

Choynie cię nim obdarzę.

KRĘCICKA.

Nie uwierzem; zaczym,
Na własne twych prezentow oczy, nie obaczym.
Coż masz dla mnie?

FIUTYNIEC.

Mam złotem haftowany trzewik,
W ktorym tak stąpać będziesz, iak młody Cietrzewik.
Mam patynki ze srebrem, w ktorych piękne kroki,
Stawiać będzie twa nożka mała iak u sroki,

KRĘCICKA.

Coż procz tego?

FIUTYNIEC.

mam ieszcze iedwabne pończoszki,
Tak nowe, że nie padły dotąd, na nie proszki.

KRĘCICKA.

Coż masz procz tego?

FIUTYNIEC.

O to mam wstążki, spodniczki,
Kornety, zarękawki, sprzączki, rękawiczki,
Kontusiki, futerka, szpilki, y wachlarze,
Bielidła, co swą farbą czynią piękne twarze,
Mam cały sklep, z ktorego możesz się zakwesić,
Ustroić, upudrować, y włosy utresić.
Słowem; mam dla Kręcicki, sto czerwonych w worku,
Jeżeli poprzestanie, gniewu, y uporku,
Jeźli się za Fiutyńca, poyść za mąż nie zbroni,
Jeźli serce Amaty, do Rolanda skłoni.

KRĘCICKA.

Day worek z złotem ważnym,

FIUTYNIEC.

Przyznaymy bez swaru,
Że nic płacą pięniędzy, nie wziąwszy towaru.

KRĘ-

K R Ę C I C K A.
Daięć parol za towar; lecz ty pusta głowo,
Ze szumieć poprzestaniesz, daymy wzaiem słowo.
F I U T Y N I E C.
Ręczę na mę poczciwość; ślubuię ci za to,
Ze Fiutyniec tak będzie stateczny, iak Kato.
A był to Rayca Rzymski, z brodą iak śnieg białą,
Często bywał Burmistrzem, trząsał Radą całą.
K R Ę C I C K A.
Day worek, a bądź pewny, że iak złotko grypsnie,
Kręcicka; iuż Amata z rąk się wam nie wypsnie,
O zapłaconym, Panu, idź donieś towarze,
A wierz, że ty, y Roland, dziś będziecie w parze.

SCENA DRUGA.

AMATA, CNOTOSŁAWSKI, y KRĘCICKA.

A M A T A.
NAwrociłam Dziwaka, a przy moich nogach,
Przyrzekł;że się w swych zdrzędnych poprawi nałogach,
Nie wiem, czy mu mam wierzyć, y czy w krotce znowu
Nie wroci się do swego płochego narowu.
Po nawroceniu, tyle miał do mnie śmiałości,
W te słowa mi uczynić, ofiarę miłości.
Gdy twą mocą, me serce, nową formę wzięło,
Nie gardź piękna Amato, tym, co twe iest dzieło.
Teraz; radź mi Bracişzku, czy iego ofiary,
Odrzucić mam; dla iakieyś dziwactwa przywary,
Czy też nawroconemu mą miłością sercu
Wierząc; z Rolandem stanąć na ślubnym kobiercu?

CNOTOSŁAWSKI.
Zyczyłem ci Rolanda, y byłem Prorokiem,
Ze go pięknym, uleczyſz na dziwactwo, okiem.
Teraz gdy ſię to zpełnia, nie wiedziałbym czemu,
Nie wierzyć, twą miłością ſercu poprawnemu.
Cnoty, grzeczność Rolanda, y wiek iego młody,
Moc twoiego rozumu, wdzięku y urody,
Zgodnie nam obiecuią y gruntownie radzą,
Ze małe iego wady, poprawić ſię dadzą.

KRĘCICKA.
Młodzian zwykł ſię polepſzyć, gdy do ślubu ſtanie,
A nałogi poprawia, przyſięgłe kochanie.
Y ia dziś z Panią piękne, biorąc z niey przykłady,
Z Fiutyńcem w ſtan małżeńſki, wſtępuię w iey ślady.

SCENA TRZECIA.

ROLAND, STAROPOLSKI, CNOTOPOLSKI, AMATA, FIUTYNIEC, y KRĘCICKA.

ROLAND.
RZucam nudne dziwactwo: odtąd do grobowca,
Obrzydły y obmierzły będzie mi obmowca.
Sliczna Amato; na twe przyſięgam ci oczy,
Ze nigdy tym nałogiem Roland nie wykroczy.
Cnot twych uczyć ſię będę; ieźli w czym pokawię,
Na tak piękny wzor patrząc, prędko ſię poprawię.
Poki oſnowy moiey nie doprzędą Parki,
A nie wybiią godzin oſtatnich zegarki,
Słodkim Rządom, y Prawom, Amaty poſſuſzny,
Oświadczę iey moy affekt, ſerdeczny, y duſzny.

A gdy

A gdy ſię pod grobowe wybiorę kamienie,
Miłość twoią, w śmiertelne wezmę z ſobą cienie.

STAROPOLSKI.

Amato; twa mi pięknoſć, uleczyła Syna,
Bielmo ſpada mu z oczu, y widzieć poczyna.
Poznaie ſam ſzpecące, Cnotę iego, błędy,
Obmierził ſobie brzydkość zdrzędnego gawędy,
Nader ſzczęśliwy; ieźli z nałogu poſtawſzy,
Twą mocą, wzgląd u ciebie, mieć będzie łaſkawſzy.

CNOTOSŁAWSKI.

Sioſtro; kiedyś Rolanda pogodziła z Cnotą,
Przyimuiąc ſerce iego, nie gardź twą robotą.

AMATA.

Ja zaraz ſzacowałam w Rolandzie Cnot wiele,
Zagrzebionych w dziwactwie, iak złoto w popiele.
Kiedy zaś oczyſzczony z ſzpecącey ſię zmazy,
Serce mi ofiaruie bez wady, y ſkazy,
W ſłodkiey dozgonnych naſzych affektow zamianię,
Wzaiemne mu Amata przyrzeka kochanie.
A z nim idąc w małżeńſkie śluby dożywotnie,
Jego ſerce odbiera, ſwe daie ochotnie.

FIUTYNIEC.

Gdy we wſiach śluby ſłychać, á w Miaſtach rozwody,
Panie, lepſzeż ſą mieyſkie, czyli wieyſkie mody?

ROLAND.

Wieś dziś mnie nad Warſzawy, Paryże, y Rzymy.

FIUTYNIEC.

To y Warſzawſkie precz ſię rozeſzły iuż dymy!

RO-

ROLAND.

Coż mey, rownego, świata Stolice, Modeście
Wydały kiedy?

FIUTYNIEC.

Wiwat! o cieſzcież ſię! cieście!
Kręcicka! ach iaka mię bierze oſzkomina?

KRĘCICKA.

Coś ią czuć y Kręcicka, wierzże mi, poczyna.

FIUTYNIEC.

Niechże o iednym koſzcie, będzie weſel dwoie,
Z Amatą mego Pana, a z Kręcicką moie.

KRĘCICKA.

Zgoda; a niech ta prawda, na świecie ſię wſławia,
Dziwakow y Fiutyńcow, kochanie poprawia.

NATRĘT
KOMEDYA.

AKTOROWIE Y AKTORKI.

MODESTA, Panna na wydaniu.

STARUSZKIEWICZ, Ociec Modesty.

REGINKA, służebna Modesty.

UMIZGALSKI, Młodzian.

STATECKI, Młodzian.

PUSTAK, Pacholik Stateckiego.

Scena iest w Warszawie w Dworku Staruszkiewicza.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

PUSTAK, y REGINKA.

PUSTAK.

Jak ſię miewaſz Reginko? niech ſię ſpytać godzi,
Jak ſię moiey Regince, w Warſzawie powodzi?

REGINKA.

Kłamieſz; nie twa Reginka, nie wie ieſzcze czyia,
To tylko wie, że tobie Puſtaku nie ſprzyia.

PUSTAK.

Coż to? zkąd ta odmiana? zkąd ten gniew tak ſrogi?
Zhardziałaś widzę; dobrze mowią: chleb ma rogi.
Pokiś nie była w takim pierzu, w takim ſzczęściu,
Samaś o twoim za mnie, mawiała zamęściu.
Teraz że ſię w bławatach, iak roża czerwieniſz,
Inſzaś dziś, inſza wczoray, iak mieſiąc ſię mieniſz.
Pyſznaś iak indyk, chodziſz odęta iak ſowa;
Będzieſz ty tańſza, kiedy będzieſz Puſtakowa.

Przyidzie czas; że ſpaſzuie harda twoia minka,
Gdy Puſtak będzie Mężem, a Zoną Reginka.
Gdy zawołam; Reginko! idź, ogień rozdmuchni,
A ſmaczny podwieczorek zgotuy mi na kuchni.

REGINKA.

Widzę, że iak nazwiſko, tak głowa twa puſta,
Lecz większy dla mnie reſpekt miey, lub zamkni uſta.
Nie wieſz; że my tu wſzyſtkie zowiemy ſię Damy,
Cośmy ładne, co piękną twarz y oczy mamy.
Urzędnik, czy Senator, byle tylko młody,
Szanuie w nąs y chwali, wdzięk piękney urody.

PUSTAK.

Reginka Dama? to ia Kawaler! w tey dobie
Rowniśmy; y nie mamy co wymawiać ſobie.
Y iam też piękny, zwłaſzcza kiedy ſię umyię,
Pięknieyſzym ieſzcze, kiedy na kluſkach utyię.

REGINKA.

Plecieſz Puſtaku; ale wybiy ſę to z głowy,
Zeby padł na mnie wyrok Niebios tak ſurowy,
Abym żyć miała w parze z takim grubianem,
Fe; y twymbym podobno gardzić mogła Panem,
Czas co wſzyſtko odmienia, y piękna Warſzawa,
Inſze ſercu, y myśli moiey, daią Prawa,
Chwalcow urody moiey otoczona kołem,
Widzę; iak przed pięknością moią biią czołem,
Przebieram w nich iak w plewach, a takie ſtraſzydło
Jak ty; przedtym mi znośne, teraz mi obrzydło.

PUSTAK.

Brzydź ſię mną, łay mię iak chceſz, niech twoy umyſł hardy,
Urąga ſię z Puſtaka, y pyſzni z mey wzgardy,

Cho-

Chociaż byś na mnie była, żmiią, osą, wężem,
Reginko; musisz bydź mą żoną, ia twym mężem.

R E G I N K A.

Jako, ia muszę?

P U S T A K.

Moiey omyłce wybaczysz,
Nie musisz być mą żoną, ale nią bydź raczysz,
W ostatku; niech mi Nieba, co mym losem władną,
Reginkę, czyli inszą żonę, dadzą ładną,
Za moią dolą poydę, iak w taniec, a kroki
Obrocę, tam gdzie Niebios rozkażą wyroki.
Dam se radę; nie dam się wyprowadzić w pole,
Mam rozumu po uszy, byłem Miesiąc w szkole.
Teraz odmieńmy dyskurs; Regince w sekrecie,
Mam co mowić, ieśli się przed kim nie wyplecie,

R E G I N K A.

Wszakże wiesz, że Reginka, choć czasem szczebiotka,
Jednak sekret zatrzyma, y nie bywa plotka.
Mow bespiecznie.

P U S T A K.

Wiesz dobrze, że odmieniam Pana,
Jak suknie, owszem częściey, bo ta nadszarzana,
A Panow choć miewałem, pięknych, młodych, zdrowych,
Jednakem ich co Miesiąc, odmieniał za nowych.
Teraz co mam za Pana; on ieden, ia drugi,
Szukać w świecie takiego, y Pana, y sługi.

R E G I N K A.

Nie pleć, nie trwoń mi czasu, bo u nas w Warszawie,
U gotowalni schodzi czas nasz wszystek prawie.
Jdę do niey; bielidłem uczynię się piękną,
Jak mię bez farb obaczą, ludzie się mnie zlękną.

PUSTAK.

Pozwol Reginko; niech cię ſpytam bez urazy,
Czyście wy piękne Damy? czy piękne obrazy?
Czy przyczyni piękności twoiey farba cudza?
Ktora, gdy z niey twarz otrzeſz, chuſtkę twę ubrudza,
A kiedy ią ſerweta obmyie y zbierze,
Praczka wraz y ſerwetę, y piękność twę pierze.

REGINKA.

Nie przymawiay, Paryſkim zwyczaiom, y modzie,
Bo ta, wiele ozdoby przydaie urodzie.
Mow prędko, co maſz mowić.

PUSTAK.

To ci zabełkoczę,
A przeciw twoiey Damo powadze wykroczę.

REGINKA.

Kończ; bo nie wieſz, iak Damie gadać z tobą nudno,

PUSTAK.

Tę Damęm znał chodzącą, y boſo y brudno,
Ktorey teraz z reſpektem, mam honor namienić,
Ze chciał bym Pana mego, z iey Panią ożenić.

REGINKA.

Ktoż teraz ieſt twym Panem?

PUSTAK.

Powiem, ſłuchay pilnie,
W Krymie, w Paryżu, w Jaſach, w Londynie, ni w Wilnie,
Nie kupiſz takich Panow;

REGINKA.

Ale iak ſię zowie?

PUSTAK.

Spuść oczy, ſtoy z reſpektem, nim ci ſię to powie,
Zam-

Zamkniy ufta, a ufzy miey tylko otwarte,
Bo imie Pana mego takiey czci ieft warte.

REGINKA.

Czy widzifz? iak Reginka grzeczna, iak cię flucha?
Oczy fpufzcza, z refpektem nadftawuie ucha.

PUSTAK.

Statecki ieft mym Panem, a to imie wielkie,
Zawiera w fobie cnoty, y pochwały wfzelkie,
Pan ten mądry iak Samfon, iak Salomon mocny,
Pan wfchodni, południowy, zachodni, pułnocny,
Na cztery części świata, grunt Pańfki otacza,
Dwor iego; a ktoż by go nie miał za Bogacza?

REGINKA.

Co o twym Panu mowifz, wfzyftko to ieft fraſzka,
Bo mamy do mey Pani, natrętnego gafzka,
Ten natręt, mnie y Pani mey, odetchnąć nie da;
Ze kochać nie przeftanie, z przyfięgą powieda,
Choć nim gardzi Modefta, obraca to w żarty,
Ciężki będzie do zbycia, ten Natręt uparty.
Ale fluchay; podam ci, fpofob nie zawodny,
Spofob za nafzych czafow, y za wfzyftkich modny,
Ktorym wyrobifz Pańfkie zamyfły y żądze,
Ten fpofob tak fkuteczny, zowie fię: pieniądze.
Rzuć niemi, a nie fkąpo, potym bądź befpieczny,
Ze twoy Pan będzie piękny, hoży, mądry, grzeczny.
Naprzod w oczach Reginki, ważnym złotem błyśni,
Kup u niey ferce Pani: a co fię iey przyśni,
Doniefie ci Reginka; y myśli y fłowa
Pani fwoiey przedawać, Reginka gotowa.
Ale; idź ztąd, bo Pani mey nadchodzi Ociec,
Domyślny ieft, a nafzych intryg mogłby dociec.

SCE-

SCENA DRUGA.

REGINKA y STARUSZKIEWICZ.

STARUSZKIEWICZ.

Reginko! czy Latawiec wypadł z tego gmachu,
Ledwie mię nie roztrącił, nabawił mię ſtrachu,
Wielkim pędem, wpadł na mnie, raptem y znienacka,
Mina mu iakaś ſtraſzna, y poſtać dziwacka,
Nie dość, że mię dziś znudził, waſz Natręt obrzydły,
Jeſzcze mię Niebo karze iakiemiś ſtraſzydły.

REGINKA.

Miarkuię z twey powieści, że prawda być muſi,
To, co o ſtrachach u nas gadaią na Ruſi,
Kiedy tu ſtrach widziałeś, w Latawca poſtawie,
Dziwno mi, czemu ſtrachom nie wierzą w Warſzawie.

STARUSZKIEWICZ.

Czułem ſtrach, nie widziałem; a ciebie ſię figle,
Trzymaią, nie o żartach myśl, ale o igle.

REGINKA.

Chętnie bym ſzyła, ale wielu z grzeczney młodzi,
Mowiło mi, że ſzycie pięknym oczom ſzkodzi.
Do tego; wiem że ſzyiąc ſuknia ſię ubrudzi,
A tu potrzeba czyſto ubrać ſię do ludzi.

STARUSZKIEWICZ.

Czyſto, zgoda; przyznaię, że Pannie przyſtoi,
Kiedy ſię czyſto nosi, y chędogo ſtroi.
Tak być powinno; ale nie wiem, co to po tym,
Że moia Corka lubi lśnić ſię w ſtroiu złotym,

Poży-

Pożyczać chce piękności od kosztowney mody,
A dość ma z przyrodzenia w dzięku y urody.
Twarz y stan iey iest milszy, niżli szaty drogie,
Niech te swiecą bokami, co w piękność ubogie.

REGINKA.

Jakże? gdy tu bogato każda chodzi Dama?
Twa Corka, w podłych szatach, będzie tylko sama.
Obmowią nas w Warszawie, że ta iedynaczka,
Czy Oyca ma skąpego, czy sama dziwaczka?

STARUSZKIEWICZ.

Tyś dziwaczka; twoia to wymyślna robota
Sprawiła, że má Corka chce do sukien złota,
Ty ią psuiesz; idź: Corki moiey wołay do mnie,
A kiedy z Panem twoim gadasz, gaday skromnie.

SCENA TRZECIA.

STARUSZKIEWICZ, MODESTA, y REGINKA.

STARUSZKIEWICZ.

Nie wiem, co się Regince twoiey w głowie roi?
Mną y tobą chce rządzić, swym gustem cię stroi,
Powieda; że cię noszę nie dosyć bogato,
Jakby nie ia, lecz ona, łożyła koszt na to,
Niech albo poprzestanie zrzędy niepotrzebney,
Albo się pozbędziemy w krotce tey służebney.

REGINKA.

Nie będę ia, to będzie, na mieyscu mym inna,
A każda, Państwu prawdę, powiedzieć powinna,

Chleb by mię Pańſki pobił, w garle by mi koścą,
Stanął; gdybym go płacić miała nieſzczerością.
O honor Pańſki mowię;

STARUSZKIEWICZ.

Przyſzło mi na licho,
Z tą dziewczyną! ia z Corką gadam, tobie cicho.
Milcz dawnom ci powiedział, że z ciebie gawęda,
Doiadła mi do ſerca nudna twoia zrzęda.
Corko co na to mowiſz?

MODESTA.

Bardzo mię to boli,
Ze Reginka ieſt ſprzeczna, Oyca mego woli,
Miłe mi ſą z rąk iego, ſuknie choć ubogie,
Gdy ie dał Ociec, iuż ſą u mnie bardzo drogie.

REGINKA.

Taką Corkę, trzeba by uſrebrzyć, uzłocić,
W rubiny, w dyamenty, w perły ukleynocić.

STARUSZKIEWICZ.

Prawda; ale Reginka, co tak zła, iak oſa.
Godna, żeby chodziła, odarta y boſa,
Cyt mowię, bo twoy ięzyk możeć ſię zle nadać,
Pokaż, że umieſz milczeć, wiem że umieſz gadać.

REGINKA.

Zamykam uſta palcem;

STARUSZKIEWICZ.

Trzymaſz z owym wilczkiem.
Co nie ſzczeka, choć gryzie, y co kąſa milczkiem,
Lada dzień Corkę moią złość twoia nabechce,
Ze ſię znowu w bogate ſuknie ſtroić zechce.
Ale, choćbym też Corkę kochaną zaſmucił,
Z Domu bym cię iak raka z kobiałki wyrzucił,

Y zno.

Y znośnieyby mi patrzeć na Corki mey szlochy,
Niźli na twe wymyślne dziwactwa y fochy
Ty Corko, sposobnieyszey czekay czasu chwili,
W ktorey z sobą będziemy bez swiadkow mowili;
Teraz, o większych rzeczach, niż o twoim stroiu,
Chcąc pomyślić, odeydę do mego pokoiu.
Jeźli mię tylko srogi Nátręt nie zakłuci,
A dosyć ztroskanego bardziey nie zasmuci.

SCENA CZWARTA.

MODESTA y REGINKA.

MODESTA.

Reginko, bespieczeństwo twe może cię zdradzić,
Godziłoż ci się, przy mnie, z Oycem moim wadzić?
Przykry nadzamiar ięzyk twoy, y ostry zbytnie,
Nie raz y mnie, y innym do żywego przytnie.
Wybaczam to; lecz kiedy mogłaś się odważyć,
Przeciwko Oycu memu, ust twych na złe zażyć,
Kiedy niepowściągliwa, w słowach twych y w mowie,
Temu co mi dał życie, gniewem psuiesz zdrowie.
Ten raz ieszcześ wybaczam, lecz drugi y trzeci,
Jeźli przewini, z domu Reginka wyleci.
Dzień dzisieyszy dość dla mnie był przykry y smętny,
Dość mi dziś Umizgalski dokuczył natrętny,
Y Reginka mię martwi, gdy Oycu przycina
Słowami; ktore do ust przyniesie iey ślina.

REGINKA.

Taką, za wierną moię usługę y pracę,
Za dobre serce, tak złą mam odbierać płacę?
Wiesz dobrze, że Reginka ni gnuśna, ni płocha,
Chyba tym tylko grzeszy, że cię nazbyt kocha.

Nie przewiniłam nigdy wielomoſtwem; ani,
Nic przykrego nie rzekłam Oycu moiey Pani.
Jakże mam milczeć, kiedy żal mi ſerce ſciſka,
Ze w Warſzawie możemy przyść na pośmiewiſka,
Ze gdy inne celuieſz Damy, twą urodą,
Ociec cię noſi wieyſką nie Warſzawſką modą?
Y kiedy chce do Corki zwabić kawalerow,
Na ſuknie iey żałuie ſpleſniałych Talerow.
A na ſzkatule ſwoiey, poſadziwſzy węża,
Nie wie, że nim odrazi od Corki ſwey męża.

M O D E S T A.

Surowoć zakazuię, zaniechay te ſuknie,
Bo ieżli choć raz Ociec na mnie ſię ofuknie
O twoy ięzyk, zapewne nie minie czas długi,
Ze ty pozbędzieſz Pani, ia pozbędę ſługi.

R E G I N K A.

Daięć parol; á uznaſz, że Reginka ſłowna,
Tak milczeć umie iak być umie, wielomowna,
Y pierwey ſię oduczą wadzić baby krupne,
Pierwey Panny ſłużebne nie będą przekupne,
Wprzod pytać ſię o poſag przeſtaną Młodzianie,
Wprzod bez niechęci zeydzie, wiek w Małżeńſkim ſtanie,
Wprzod będą ludzie, gruſzki kopali na wirzbie,
Wprzod ſię zdarzy, uganiać orły, małey dzirzbie,
Pierwey cetnar ołowiu na nitce zawiśnie,
Niż Reginka, o ſukniach twoich, ſłowo piśnie.
Ale coż to? dziś trzecią, mam bidę po bidzie,
Umizgalſki ten natręt, ten gaſzek tu idzie,
Oyca y Corki, przykre wycierpiałam łayki,
A ieſzcze cierpieć przykre mam natręta bayki.

SCENA

SCENA PIĄTA.

MODESTA, REGINKA, UMIZGALSKI.

UMIZGALSKI.

GDy miłość żądzom moim, swych skrzydeł pożyczy,
Lecę, do nog twych, miłey kosztować słodyczy;
A kiedy wzdychać, u stop twoich się ośmielę,
Z kochaniem y radością; serce moie dzielę,
Y Niebieskie na ziemi w ten czas trawiąc chwile,
Zażywam dobrych czasow szczęśliwie, y mile.

REGINKA.

Jak żyię, nie słyszałam o takim natręcie,
W głowę zaszedł, ladaco gada, iak w odmęcie.
Kto ma rozum, znayduie; Panie importunie,
Przyiemność w twym dyskursie, taką, iak w piołunie.

UMIZGALSKI.

Z Panią, nie z tobą gadam;

REGINKA.

Ty z nikim na świecie,
Nie gadasz; bo twoy ięzyk, nie gada, lecz plecie.

UMIZGALSKI.

Chcesz, żebym tu nie bywał?

REGINKA.

Wiedzieć nie zawadzi,
Ze kto mądry, nie bywa tam, gdzie mu nieradzi.

MODESTA.

Reginko; przerwęć duskurs twoy nazbyt beśpieczny,
Każdy tu może bywać, cnotliwy, y grzeczny.

Nic takiemu gościowi nie będzie tu wſtrętem,
Byle iak Umizgalſki, nie był mi natrętem.

UMIZGALSKI.

Doświadczasz mey miłości; ale ia z kochaną,
Choć ſurową Modeſtą, poydę na wytrwaną.

MODESTA.

Niech wprzod umrę, y pierwey, niech zginę ze ſzczętem,
Niźlibym żyła w parze, z tak nudnym Natrętem.

UMIZGALSKI.

Gniew ciężki, w ſłodką miłość, przemienia ſię z czaſem,
Szczęście ſię częſto wraca, choć poydzie nawiaſem.
Po wielkich ſmutkach radość wielkim krokiem ſpieſzy,
Jeden moment nas zmartwi, á drugi pocieſzy.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

STARUSZKIEWICZ y MODESTA.

STARUSZKIEWICZ.

LUbom twoy Ociec, iednak pochwalić cię muſzę,
Że maſz od Nieba, w pięknym ciele, piękną duſzę.
A na twe obyczaie patrząc, widzę iaśnie,
Że luſtr twoiey urody przy cnotach twych gaśnie.
Skromność, y wſtydliwego, ozdoba rumieńca,
Nie iednego do ciebie przywabia Młodzieńca.
Gmin znaczney młodzi, ktory przychodzi tu tłumem,
Chwali w tobie, złączoną urodę, z rozumem.

Ja gdy cię widzę w dobie, Panny na zamęściu,
Chciałbym cię prędko uyzrzyć, w dożywotnim ſzczęściu,
Y radbym, abyś w twoich konkurrentow gminie,
Obrała ſobie męża, niźli ten dzień minie.
Wprzod zaś nim do ślubnego przyſtąpiſz kobierca,
Poradź ſię dobrze Oyca, rozumu, y ſerca.
A ieźli nie znaſz ieſzcze w kochaniu ſłodyczy,
Nowego Kawalera, Ociec twoy ci życzy.

MODESTA.

W rękach Oyca, ſą loſy moie dożywotnie,
Skinieniu Jego będę poſłuſzna ochotnie.
Ten, ktory mi dał życie, niech mym ſzczęściem rządzi,
Serce Corki, za Oyca powodem nie zbłądzi.
Dotąd ſzczegulne w życiu, Oyca znam kochanie,
A żem ſię nauczyła, że w Panieńſkim Stanie,
Toż ieſt w ſercu mieć miłość, co w zanadrzu węża,
Ani kochać nie umiem, ani obrać męża,
Dopiero w ten czas wnidę z miłością w przymierze,
Gdy Ociec kochać każe, gdy Męża obierze.

STARUSZKIEWICZ.

Ze takie cnoty, będą błogoſławić Nieba,
Y mnie, y tobie Corko, ſpodziewać ſię trzeba.
Ale coż ci ſię zdaie, ten twoy Natręt nudny,
Umizgalſki?

MODESTA.

Ze płochy, nieſzczery, obłudny,
Jeſt ten Młodzian, nie tylko mowa go wydaie,
Ale też śmiechu godne iego obyczaie.

STARUSZKIEWICZ.

O tym natręcie, trzymam, tak iako ty, ale
Nowych mych myśli, zwierzę ci ſię poufale.

Mowi-

Mowiłem ci, kochana Corko, tyle razy,
Ze ci dam do zamęścia radę, nie rozkazy,
Y że do twego Ociec skłonny przedsięwzięcia,
Kogo zechcesz mieć mężem, Ja przyimę za zięcia.
Teraz, kiedy do ciebie, Młodziana prowadzę,
Nic ci nie rozkazuię, ale tylko radzę,
Przyiacielam od serca miał, co od pieluszek,
Rosł ze mną, dziecko, chłopiec, żył mąż y staruszek,
Tego mi przed lat ośmią, w mego wieku dobie,
Smierć nienawistna, z płaczem mym, złożyła w grobie.
Został po nim iedynak, Młodzian bardzo grzeczny,
Pobożny, Urodziwy, rozumny, stateczny.
Ten w Sądach Assessorskich, maiąc swoie sprawy,
Wczorayszey nocy pocztą zbiegł tu do Warszawy,
Dziś był u mnie, á tylko, com go we drzwiach zoczył,
Zapomniawszy żem stary, szypkom z krzesła skoczył.
Upłakałem się nad nim, z pociechy, á oku
Łez radosnych, z miłegom pozwolił widoku.
Bom postrzegł, że skład twarzy, postać, oczy, cera,
Oycowska, iest w osobie tego Kawalera.
Po przywitaniu, padł mi do nog, á wstydliwe
Oczy podnioższy, tak mi rzekł: dziś dobrotliwe
Nieba, do szczęsney doli, daią mi pochopy,
Pozwalaiąc mi twoie ucałować stopy.
Ociec moy, gdy w boleściach, ostatniey choroby,
Postrzegł, że w przodkow swoich przenieść się ma groby.
Tak rzekł; nim sen ostatni zamknie mi powiekę,
Przyiacielowi syna, zapiszę w opiekę.
A widząc, że śmierć Jego zbliżać się poczyna,
Ciebie mi Oyca, á mnie, zapisał ci Syna.
Teraz, niechay cię widzę w Oycowskiey postawie,
W życia, y serca mego nayprzednieyszey sprawie.
Corkę twą dziś widziałem, á do iey piękności,
Pierwszy raz w życiu pałam, ogniami miłości,

Gdy

Gdy ſię dziś rano, w świętym modliła Kościele,
W ślicznych oczach tey Damy, widziałem cnot wiele,
Y wyznam; ieźli moia śmiałość nie wykroczy,
Że mi iey piękność przeſzła do ſerca przez oczy,
Bo ſię z śliczney iey twarzy, iawnie wydawało,
Że ma ieſzcze pięknieyſzą Duſzę, niźli ciało.
Kocham ią, á ſtateczny ten ieſt umyſł u mnie,
Albo z nią żyć dozgonnie, albo polec w trumnie.
A co mam ſchnąć z miłości, y umierać ſkrycie,
Dziſiay z rąk twych odebrać, chcę śmierć albo życie.
Gdy tak mowił; ze łzami przeplatał wzdychania,
Swiadectwa, y dowody ſzczerego kochania.
A do nog mych przytulać nie przeſtał ſwey głowy,
Poty; pokim go temi nie pocieſzył ſłowy:
Serca mego bądź pewny, Corka ſwoim rządzi,
Będzie twoia, ieźli ią Niebo ci przyſądzi.
Sam idę do niey w ſwaty, ty za dwie godziny,
Przydź, mogą ſię nam zaraz udać zrękowiny.
A ieżeli iey będzieſz przyiemny y luby,
Dziś w nocy, Swięte ſobie, przyſiężecie śluby.
Teraz Corko, czyń co chceſz, będziemy tu oba
Z kawalerem, obaczyſz ieźlić ſię podoba,
Ja ci go życzę, ia cię upewniam, y ręczę,
Że cnotliwy ten młodzian, ktorego ci ſtręczę.
Oſzczędny gdzie potrzeba, á gdzie trzeba, choyny,
Skromny, ſzczery, rozumny, ſtarowny, ſpokoyny,
Maiętność ma doſtatnią, na Stan naſz Szlachecki,
Ten, Urodziwy młodzian, zowie ſię Statecki.

MODESTA.

Za wolą Oyca poydę, on mym ſercem władnie,
A z tak kochaney ręki, los moy dobrze padnie.
Nie wiem zaś czy nie tegom widziała Młodziana,
Na ranney Mſzy w Kościele u Swiętego Jana.

O kil-

O kilka tylko krokow, był odemnie bliſki,
Włoſy y brew miał czarną, wąs ruſy, wzroſt, niſki,
Z twarzy y z oczu iego, patrzyły mu cnoty,
Kontuſz miał biały, żupan ponſowy, pas złoty.

S T A R U S Z K I E W I C Z.

Ten ſam ieſt, á w takowey poſtaci y ſtroiu,
Dziś o dziewiątey z rana był w moim pokoiu.
Znać, że was Nieba złączą, kiedy ſię wam zdarza,
Pierwſzy raz u Swiętego poznać ſię Ołtarza.
Ale; rad nie rad muſzę, ztąd odeyść bez zwłoki,
Umizgalſki prędkiemi idzie do nas kroki.
Jak klawiſze z parteſow, ſzypkie ſtawia nogi,
Umknę wprzod, niż ten natręt przeſtąpi me progi,
Nie zcierpiałbym wykwintow, tego Jegomości,
Przyſzlęć Reginkę; niechay bawi takich gości.

SCENA DRUGA.

MODESTA y UMIZGALSKI.

U M I Z G A L S K I.

TAk właſnie, iak zebrany w krzyſztał, Słońca promień,
Ogniem zapala ſiarkę, y wybucha w płomień,
Widokiem przyiemnego blaſku twoiey twarzy,
Serce me, twą miłością pali ſię y żarzy.
Tak, iak pachniąca roża ślicznie czerwienieie,
Gdy na nię miły Zefir parą ſwą zawieie,
Zapłoną ſię rumianym wſtydem, twoie lice,
Gdy na nie rzucę pełne miłości zrzenice.

M O D E S T A.

Słońce na Niebie, roża w polach, my w Warſzawie,
Zdaleka ſzukaſz wſparcia, w miłości twey ſprawie.

Nie

Nie tak mowi, kto kocha; tak zwykł gadać w ſzkole
Zaczek, lub nie dotarte w naukach pachole.

UMIZGALSKI.

Odmienię dyſkurs; powiem, że tu Krol w Koronie,
Dyamentami ſtroyney, Pańſkie nosi ſkronie.
Tyś mi nayſzacownięyſzy y kleynot y perła,
Drożſzaś mi niźli wſzyſtkie Korony y berła.

MODESTA.

Pierwſzy twoy dyſkurs w ſzkole nie ſzpeciłby żaka,
Lecz drugiego oſnowa, cale ladaiaka.
Bo tu ani na Seymie, ni z Senatem w radzie,
AUGUST Polſki na głowę, Korony nie kładzie.
Lubo zaś mowią Damie, Tyś moia Krolowa;
Z Krolem nie rowna Damy, chyba puſta głowa.

UMIZGALSKI.

Gdy y w drugim mym ſmaku nie maſz komplemencie,
Trzeci zaraz, y w iednym powiem ci momencie.
Tak śliczną maſz urodę, tak wyglądaſz pięknie,
Ze gdy cię widzę, ſerce me z miłości mięknie.
Mdleię z kochania, ciemnym umarłych manowcem,
Poydę, aż ſtanę ſmętny pod twardym grobowcem.

MODESTA.

Tam leżą a nie ſtoią, ty znać prędko w trumnie,
Będzieſz, boś zmyſły ſtracił, gadaſz bezrozumnie.
Coż to? ſerce ci mięknie; co taka myśl znaczy?
Tylko że twoia Muza plecie y dziwaczy.

UMIZGALSKI.

Uſtał moy Pegaz; iuż ſię poci, y potyka,
Słowa nikną mi w uſtach, na końcu ięzyka,
Jeſzcze powiem; że chocieś iak Dyament twarda,
Nigdy mię nie odrazi gniew twoy, ani wzgarda;
A ſtatek moy, twe ſerce opoczyſte ſkruſzy,
Gdy doznaſz y doświadczyſz, że cię kocham z duſzy.

MODESTA.

Już też nazbyt dziwaczyſz; iuż mi z tobą nudno,
Takiego mi Natręta, dłużey ſłuchać trudno,
Odchodzę, byſtry rozum, dowcipney Reginki,
Znaydzie rowno twey Muzie, wierſze y ucinki,
Umie prowadzić dyſkurs, takim iak ty tokiem,
W ſam dobry czas, poſpieſznym zbliża ſię tu krokiem.

SCENA TRZECIA.

UMIZGALSKI, y REGINKA.

UMIZGALSKI.

Ach Reginko! posłuchay; okrutna twa Pani,
Y miłością mą gardzi, y wierſze me gani.
Co za nieſprawiedliwość! czyliż pośmiewiſka
Godny moy dyſkurs, moia Muza Wierſzopiſka?

REGINKA.

Twoy dyſkurs, tak ieſt pełen, pięknych myśli tłumu,
Ze ieſt dobry, ſam przez ſię, chociaż bez rozumu,
A słowa twe układaſz, w tak ślicznym porządku,
Ze mogą bez zdrowego obeyść ſię rozſądku,
Nie mowiż, ale śpiewaſz na podziw wierſz miły,
Y kawki nigdy wdzięczniey, iak ty, nie nuciły.

UMIZGALSKI.

Szczerze, czy chytrze mowiſz?

REGINKA.

Smieſzne to wątpienie,
Szczerſzego złota nie maſz, iak moie ſumnienie.
Ale w tym o co ſpytam, ſzczerością wzaiemną
Chciey iść, y wynurz ſerca ſkrytości przedemną.

Kochaſz

Kochaſz ty moią Panią?

UMIZGALSKI.

Ach iakże nie kocham?
Do iey pięknośći wzdycham, mdleię, ięczę, ſzlocham.

REGINKA.

To co mowiſz, nie ieſtże żart, albo obłuda?
(*Tu go utnę; ieżeli moy przemyſł ſię uda.*)
O czaſy! o zwyczaie! ſromota y groza,
Na moy ſąd, godna kary, miecza y powroza.
Staraią ſię o Damy, dziſieysi Młodzianie,
A nie pomnią, że naſze my wydaiem Panie.
Ociec ich ani matka nie ieſt tak potrzebna,
Młodzianowi do Damy, iak Panna ſłużebna.
Ta ſkrytość ſerca Damy do gruntu przenika,
Tey ucho więcey ſłyſzy, niżli Spowiednika.
Tey ſię Dama w ſekrecie, myśli ſwoich zwierza,
Do kogo iey przychylność, ſkłania ſię y zmierza.
Krotkoć powiem; twę Damę ia mam na wydaniu,
Zapłać mi ią, otrzymaſz ſkutek wtym ſtaraniu.
Wiedz zaś, iakie ſłużebney ma zapłacić żołdy
Młodzian, ktory iey Pani, nieſie ſerca hołdy.
Wprzod, niżli ſię ſwey Damie, pierwſzy raz ukłoni,
Młodzian pierwſzą nam ſummę, wyliczy na dłoni.
Nim mu da ſłowo Dama, że iego uſługą,
Nie gardzi, da ſłużebney, Młodzian ſummę drugą.
Nim zaręczą Młodziana, pokrewni y ſwaci,
Trzecią ſummę kawaler, ſłużebney wypłaci.
Nim intercyza ślubna, będzie z nim zawarta,
Od Kawalera ſumma należy nam czwarta.
Nim ślub weźmie, w dozgonne więzy nim ſię wplęta,
Młodzian, ſumma od niego należy nam piąta.
Ktory zaś Młodzian przez te nie zechce przeyść ſtopnie,
Nigdy o Damę, ſwoich zamyſłow nie dopnie.

Będzie gap, piiak, hultay, gracz, oſzuſt, y głupi,
U Pani naſzey, ieźli nam ſię nie okupi.
Teraz dobyway worka; á ſzafuy nim ſzczodrze,
Nie żałuy, choć z pieniędzy Reginka cię odrze.
Coż to ieſt? ſto czerwonych złotych dobrey wagi,
Gdy ſię za nie kupuią tak wielkie poſagi.

UMIZGALSKI.

Co powiem! oto; ſerce z żalu mi ſię kraie,
Ze ſię zprawdza przyſłowie: kto nie ma, nie daie.
Ale; niechay podpadnę oſtatniey mey zgubie,
Jeźli ci ſto czerwonych nie dam po mym ślubie,
Y niech mię ſpali ogień piorunu, y gromu,
Jeźli nie będzieſz w pierwſzych faworach, w mym Domu.

REGINKA.

Ućźciwſzuſzy Waſzmości; za takiego Gapia,
Niech ſię żadna poczćiwa, iść za mąż nie ſkwapia.
Odchodzę; nie maſz większey na ſłużebne nędzy,
Jak do ich Pań natrętny Gaſzek bez pieniędzy.

AKT TRZECI

SCENA PIERWSZA.

PUSTAK, y REGINKA.

PUSTAK.

Reginko, Panu memu twą radę donioſłem,
Y od niego do ciebie, ieſtem wielkim Poſłem.
Statecki, chcąc z Modeſtą, zabrać afekt ſciſły,
Zna to; że loſy iego, od ciebie zawiſły,

Y wie

Y wie że Dama, na głos Rodzicow swych głucha,
Pannę służebną bardziey, niż Matkę posłucha,
Teraz kiedy Modestę twą masz na przedaży,
Moy Pan ią, Pustak ciebie, kupować się waży.
Reginko; za Modestę, Tysiąc złotych w worku,
A za ciebie ci daię, darowiznę Dworku.
Jednym targiem za żony, kupuię was obie,
Modestę Panu memu, a Reginkę sobie.
Przedawałaś mi Panią, kupuię z nią sługę,
Nie rozłączam ich, płacę, y iedną y drugę.

REGINKA.

Pokaż piękne to złoto, obrączki y ranty,
Swiadczą że Pan y Pustak, oba nie furfanty.
Gdzież Dworek? czytam: *Własny moy Dworek we Lwowie,*
Y Grunt przy nim, ktory się Stateczyzna zowie,
Co go ograniczaią, dwa wielkie gościńce,
Statecki darem daię, na wieczność Regince.
Jeżli serca Pustaka, nie gardząc ofiarę,
Dziś mu poślubi miłość, posłuszeństwo, wiarę.
Złotko, Dworek, y Pustak, są to nie złe rzeczy,
Ten targ Regince, sposob życia ubespieczy.
Poydę za ciebie; ale nie na imie zgubne,
Ni oślep; lecz kontrakty takie zawrę ślubne:
Wprzod niżeli Reginka poydzie za Pustaka,
Stawa dziś między niemi Intercyza taka.
Pustak będzie pracował, na to z potem czoła,
Aby Reginka była, ni głodna, ni goła.
Starac się pilnie będzie, aby nowe stadło,
Po ludzku się nosiło, mięszkało y iadło.

PUSTAK.

Zgoda; ale też Waszmość, masz grzędy w ogrodzie,
Sadzić, szyć, prać, a tak nam, bieda nie dobodzie,
Niehc

Niech nowe ſtadło pracą, z ſobą ſię podzieli,
Puſtak będzie pilnował Panow, ty kądzieli.

REGINKA.

Puſtak będzie Reginkę, cźcił y kochał z Duſzy,

PUSTAK.

Cźcić cię będę, uſłyſzyſz częſto uczciwſz uſzy.

REGINKA.

Jeźli ſię kiedy Puſtak zbytecznie opiie,
Reginka za to kiiem, boki mu obiie.

PUSTAK.

Zgoda, kiedy za ſwoy groſz, to w ten czas powoli,
Bić mię wolno, lecz tylko poki nie zaboli.

REGINKA.

Puſtak będzie ſpokoyny, z nikim ſię nie zwadzi,
Wierny będzie w uſługach, Panow ſwych nie zdradzi.

PUSTAK.

Nie zdradzę Panow moich, y nie przedam cnoty,
Za taler bity, chyba za czerwony złoty.

REGINKA.

Reſzta potym: Modeſta idzie, niżli wkroczy,
W te progi, ty z tąd prędkim krokiem, idź mi z oczy.
Ja ſię z nią o twym Panu wygadam, wyſzepczę,
Y affekt iey dla niego, wybiegam, wydepczę.

SCENA DRUGA.

REGINKA, y MODESTA.

REGINKA.

Wieſzże kochana Pani, że konkurent nowy,
U nog twych, w krotce ſwoiey ukłon złoży głowy,

Statecki ſię nazywa, a cała Warſzawa,
Powſzechnemi odgłoſy, pochwały mu dawa.
Twoy Ociec, ma go bardzo ſzacować y kochać,
Uyrzawſzy go, z pociechy, miał płakać y ſzlochać.
Bo poki Oyca iego, duch przebywał w ciele,
Oba ci ſtarcy byli, wielcy przyiaciele.
Niewiem iak Niebo zrządzi dozgonne twe loſy,
Wiem że powſzechne chwalą, Stateckiego głoſy.

MODESTA.

Wyrokow Nieba, doli ſwoiey, nikt nie zgadnie,
BOG naprzod, potym Ociec, ſzczęściem moim władnie,
Nie mam dotąd, y nigdy mieć nie chcę ſwey woli,
Poki zamęście moiey nie ukaże doli.

REGINKA.

Swięte to ſłowa, godne na cedrze y złocie,
Bydź wyryte, na wieczne pochwały twey cnocie,
A te, ktore ſłuchaią, y Oyca y Matki,
Ubłogosławia Niebo, dobrą dolą dziatki.
Twa Rodzicielka dawno, pod ſmutnym grobowcem,
Złożona, Oyca twego uczyniła Wdowcem.
On ci Oycem y Matką, kocha cię ſerdecznie,
Miłośći iego możeſz poduſać beſpiecznie.
Całym ſercem ci ſprzyia, z nikim go nie dzieli,
Bo mu wyroki Niebios inſze dzieci wzieli.

MODESTA.

Kocham za to Reginkę, że mi ſię odważa,
Prawdę mowić; że Cnoty w mym ſercu pomnaża.
Uznaię Oyca mego affekt bardzo wielki,
On mię ukochał ſercem ſwym, y Rodzicielki,
On gdyby mi rozkazał, nie zmarſzczywſzy czoła,
Tak na śmierć, iak na gody, poſzłabym weſoła.

O no-

O nowym Kawalerze ze mną przez nie mały
Czas mowił, bardzo wielkie daiąc mu pochwały.
Statecki iest cnotliwy, czyś nie uważała,
Młodziana, com dziś na Mszy obok z nim klęczała?
Ten sam iest,

REGINKA.

Co miał kontusz białego koloru,
Zupan ponsowy, Młodzian pięknego pozoru.

MODESTA.

Ten iest, dzisiay takiemi okryty sukniami,
Oycu padł do nog o mnie, prosząc go ze łzami.
A poty u nich leżał, aż dobra otucha,
W nim niby nie wskrzesiła, y życia y ducha.
Przysięgał się że nie znał, co to iest kochanie,
Y że myślił w Młodzieńskim żyć y umrzeć stanie.
Ze iak tylko mię dzisiay w Kościele obaczył,
Zakochał się, ten co się na miłośc iunaczył.
Ze serce iego dotąd swobodne y wolne,
Y na moment nie było oprzeć mi się zdolne.

REGINKA.

Nie trzeba tu iuż pytać, ani mowić wiele,
W tym gdzie pierwsze poznanie, będzie ślub Kościele.
Dzisiay, wspolne dozgonney miłości ofiary,
Poniesiecie przed święte Ołtarze u Fary.
Ja prosić będę BOGA, gorącemi modły,
Aby tak piękney pary zamysły się wiodły.
Ale Statecki idzie do ciebie w zaloty,
Z twarzy miłość, a z oczu iego patrzą Cnoty.
Wspaniała iego postać, przyiemne weyzrzenie,
Pięknieyszey ieszcze Duszy, są to grube cienie.
Będzie tu dość cnot z wami, ia od was odchodzę,
Miłość nie lubi świadkow, ia wam nie przeszkodzę.

SCENA

SCENA TRZECIA.

MODESTA, y STATECKI.

STATECKI.

Gdy do nog twych pierwſzy raz, ſkłaniam moią głowę,
Serce, tłumiąc me myśli, przerywa mi mowę.
Zali ſię że me ſłowa, nikczemne y liche,
Słabſze ſą niżli żądze, gorące choć ciche.
Piękność twarzy, wdzięk cudny, ślicznych twoich oczy,
Płeć śnieżna przycieniona, czarnością warkoczy.
Uſta co gaſzą roże farby pięknieyſzemi,
Pokazuią w oſobie twey, Niebo na ziemi.
Dziś rano u Swiętego, widząc cię Ołtarza,
Pierwſzym raz miłość poznał, iak ſerca rozżarza.
Jak w iednym oka mgnieniu, nakſztałt błyſkawicy,
Przeſzła do ſerca mego, od twoiey zrzenicy.
W każdym twoim ruſzeniu, w każdym twym obroćie,
Cnota piękności, piękność, luſtr przydaie cnocie.
A miłość co me ſerce, zapala y ſuſzy,
Przekłada nad urodę, piękność twoiey duſzy.
Gdzie ſtąpiſz tuż ſą z tobą, nieodſtępne wdzięki,
Czcić w tobie każeſz śliczne dzieło, Boſkiey ręki.
Ja twą miłością pałam, lecz mdleię z boiaźni,
Gdy ci o dożywotniey, śmiem wſpomnieć przyiaźni.
Albo mi życie dadzą, uſt twoich wyroki,
Albo w groby mych przodkow, wpędzą mię bez zwłoki.

MODESTA.

Nie gardzę ſercem twoim, lecz moim nie władam,
W rękach Oycowſkich, loſy życia mego ſkładam.

Ze zaś młodź zacną, co się tu ciśnie z miłością,
Przewyższasz cnotą, sercem, rozumem, grzecznością,
Wiedz, że w mych Konkurentow, rzędzie y kolei,
Tobie tylko łask moich, pozwalam nadziei.
Nad wszystkich cię przekładąm; a tacy przeklęci,
Jak Umizgalski; niechay przepadną natręci.

STATECKI.

Za nic poczytam Krolow, berła y Korony,
Cyfrą są teraz u mnie, y Państwa y Trony.
O resztę świata nie dbam, gdy twoy affekt stały,
Serdecznym mym zamysłom, Nieba obiecały.

MODESTA.

Porzuć ten płonny dyskurs, y tę resztę świata,
Milcz y ufay, moy Ociec idzie, masz w nim swata.

SCENA CZWARTA.

MODESTA, STATECKI, y STARUSZKIEWICZ.

STARUSZKIEWICZ.

Jakże Corko? Ten Młodzian, grzeczny, urodziwy,
Byłże do ciebie, w swoich zamysłach szczęśliwy?
Wolałbym umrzeć, niżbym przymusu y groźby
Zażył, Oycowskie tylko, niosę za nim proźby.
Dom, y plemie poczciwe, cnoty, y uroda,
Młodziana tego niech mym proźbom, wagi doda.
Zycia by mi przybyło, gdybym Ociec stary,
Widział prędkie złączenie, tak kochaney pary.

MODE-

MODESTA.

Zamysłom Stateckiego, znać Niebo dogadza,
Gdy mi Ociec y serce, sprzyiać mu doradza.
Nie znałam nigdy, co iest kochanie, atoli,
Zaczynam się z miłością poznawać powoli.

STATECKI.

Nieba! Umrę z radości!

STARUSZKIEWICZ.

Przerwęć te amory,
Do sposobnieyszey czasu, odłożysz ie pory.
Corko moia kochana, chceszże się zaręczyć,
Z Stateckim? ktorego ci, śmiele mogę stręczyć,
Bo cię na moią miłość, y na moy włos siwy,
Upewniam, że ten młodzian, będzie mąż cnotliwy.

MODESTA.

Zawszem ia Oycze twego, słuchała skinienia,
Zycia ci nie odmowię, nie tylko pierścienia.
Chętnie czynię z Stateckim, te miłe zamiany,
Gdy tak radzi y każe, moy Ociec kochany.
Po Stateckiego sercu, pięknym y wspaniałym,
Trzymam, że mię affektem, kochać będzie stałym.
Ze iak sobie dozgonne, śluby poprzysiężem,
Nie przestaniem się kochać, aż w grobie polężem.
Niech Zonę Mąż tak lubi, iak ia będę Męża,
Niechay się stadło wzaiem, miłością zwycięża.
Nieprzestannych affektow, y Męża y Zonki,
Znakiem będą okrągłe, bez końca pierścionki.

STATECKI.

Serce me co żądzami, mięsza się y tłumi,
Same się nie zna, same siebie nie rozumi.
Miłość, radość, nadzieia, y boiaźni trocha,
Dzielą me serce, że się cieszy, lęka, kocha.

Płaczę z pociechy, z słodkiey umieram miłości,
A szczęście me zważaiąc, ożywam z radości.
Rozum moy, tłumem myśli słabi się, y nuży,
Jak się Modeście z łask iey, Statecki wysłuży.
Serce mu radzi tęgo chwycić się sposobu,
Aby się wysługiwał, od ślubu do grobu.
Ta ktora serce moie, zniewala y rani,
Modesta Stateckiego, dożywotnia Pani.
Choć ma rozum Anielski, iednak nie przenika,
Jakiego w swe poddaństwo, bierze niewolnika.
W słodkich iey więzach przeszła, wolność mi obrzydła,
Stan Młodzieński w mych oczach, iest nakształt straszydła.
Kiedy go sobie wspomnę, bardzo mię to boli,
Zem dawno tak kochaney, nie szukał niewoli.
Poki moiey osnowy, Parka nie doprzędzie,
Miłość moia wzmagać się, y powiększać będzie.
A gdy do grobow święte, przyimą mię Kościoły,
Y po śmierci me będą, kochać cię popioły.

STARUSZKIEWICZ.

Już teraz kontent umrę, a w grobowe cienie,
Chętnie poydę, gdy każe Boskie przeznaczenie,
Kiedy do iedynego moiego dziecięcia,
BOG mi pozwolił dobrać, cnotliwego Zięcia.
Prędzey niż za dwie godzin, w dożywotniey parze,
Sluby czynić przed Swięte, poydziecie Ołtarze.
Odmieni się z Młodziana, Zięć moy w Oblubieńca,
Corka ślubną koronę, weźmie namiast wieńca.
A gdy was wyrok Nieba, na kobiercu stawi,
Niech za Oycowską proźbą, BOG was błogosławi.
Bliska iest tego czasu szczęśliwego doba,
Ale Natręt tu idzie; uchodźmy z tąd oba.

SCENA PIĄTA.

MODESTA, y UMIZGALSKI.

UMIZGALSKI.

Ach Modesto! iak straszna, wieść mię w tym momencie
Doszła; o nowym do mey Pani, Konkurencie.
Nie trwożyłem się dotąd, choć Młodzianie raźni,
Ubiegali się ze mną, do twoiey przyiaźni.
Ale że Stateckiego, twoy Ociec iest swatem,
Zalę się na mą krzywdę, przed Niebem y światem.
Jeźli mi zaś Modesty, niźli ten dzień minie,
Nie odstąpi Statecki; pewnie z rąk mych zginie.

MODESTA.

Nie Męszczyzni Natrętow, boią się, lecz Damy,
Stateckiemu uczynisz strach, iak z myszey iamy.
Zebyś zaś, y moiego nie obrażał oka,
Stronić od ciebie będę, iak stronią od smoka.
Wszystkim mym Kawalerom, zawsze czynił wstręty,
Z Piekła na mnie nassany, ten Natręt przeklęty.

SCENA SZOSTA.

UMIZGALSKI SAM.

Nie tak łatwo miłości mey ogień przydusisz,
Jeźli za mnie iść nie chcesz, to za mnie iść musisz.
Zażyię zdrady, szachow, zbrodni, y matactwa,
Ażebym cię wprowadził, w poniewolne swactwa.
Obaczysz w poł godziny, iaki tuman puszczę,
Jak kłucąc Corkę z Oycem, gniew iego poduszczę.
Jak Rodzicielskie serce, na ciebie zakrwawię,
Y iak okropną scenę, w twych oczach wystawię,

Strasznìey-

Strafznieyfzy Umizgalfki, będzie w twoim Domu,
Niżli ognifty pocifk, piorunu y gromu.
Pełno w nim będzie niezgod, rozterkow y kłutni,
Wfzyfcy w nim chodzić będą, pofępni y fmutni.
Wfzyftek wzgory nogami, ten twoy dom wywrocę,
Poniechęcę, porożnię, zwadzę, zbałamucę.
A ty coś mi mowiła, że gadafz iak żaczek,
Doznafz żem ia nie taki, iak mniemafz proftaczek.
Ten Natręt, ten twoy fzkolny żak, tak cię odurzy,
Ze Modefta od żalu, we łzach fię zanurzy.
W gniewie mym, Stateckiego ftrafzniebym ponękał,
Gdyby był więkfzy niż ia tchorz, a mnie fię lękał.
Sprobuię; a ieżli ma ferce; to z złey chwili,
Uciekniemy, albo fię, będziemy profili.

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

REGINKA, y STATECKI.

R E G I N K A.

Dozgonne obowiązki, y nayniżfze dzięki,
Winnam ci ieft za twoiey, fzczodrobliwość ręki.
Dworek y złoto ważne, dałeś mi wfpaniale,
Teraz mi twe rozkazy, daway poufale.
Nie minie cię Modefta, gdyś przed fobą w fwaty,
Pofłał Pannie flużebney, z rantami Dukaty.
Choynego ferca twego, przymioty chwalebne,
Będą Młodzianom Panny, wyfławiać flużebne.
Aby wfpaniałym twoim, pięknie idąc śladem,
Ważne nam rozdażali złoto, twym przykładem.

STATE-

STATECKI.

Grzecznaś ieſt, że ty czaſem, nie gardziſz tych fraſzek,
Ale niewieſzże, co waſz wyrabia mi Gaſzek.
Jak chytrze Umizgalſki, płata mi ſztuk wiele,
Aby moie z Modeſtą, nie doſzło weſele,
W tym momencie mi nową, wyſtawił robotkę,
Przez podobnego ſobie, ſzalbierza y plotkę.
Ten oſzuſt głosi płonne, fałſze y matactwa,
Ze Natręt Umizgalſki, ma wielkie bogactwa.
Czyta liſt ktory Poczta, przynioſła oſtatnia,
Ze Gaſzka śmierć zbogaca, Wuiowſka y bratnia.
Tą wieścią, tak Modeſty Oyca, zbałamucił,
Ze ſię boię, żeby ſię z zaręczyn nie zrzucił.

REGINKA.

Nieboy ſię, tego ptaſzka w naſze ſidła złapiem,
A co go zowią gaſzkiem, my go zrobiem gapiem.

STATECKI.

Dawno nim ieſt; lecz nie wieſz, gdy ſię chytrym uda,
Gap; iaka z nim w robocie, ieſt praca y zmuda.
On bezwſtydnie cię zdradzi, on cię zproſta utnie,
On poczyta za honor, matactwa y kłutnie.
On ma za wſtyd bydź człekiem poczciwym y ſkromnym,
On ſobie ma za honor, że ieſt wiarołomnym.
On ſię iak z wielkich czynow, pyſzni y nadyma,
Gdy ſto razy przyſięże, y raz nie dotrzyma.
A gdy ſobie tak chytrze, poczyna y radzi,
Kogoż on nie oſzuka? kogoż on nie zdradzi?

REGINKA.

Inſze ieſt moie zdanie, u mnie gap y proſtak,
Chocby też naychytrzeyſzy, to wart, co zły ſzoſtak.

STATECKI.

Zoſtawmy to czaſowi, obaczyſz w robocie,
Ze ſzalbierz choć roſtropney, ſztukę wytnie cnocie.

Wiem

Wiem to że Umizgalſki, nosi liſt zmyślony,
Że na niego po Wuiu ſpadły milliony.
Omamia Teścia mego, podobno moy zwlecze
Slub, a potym, nam z oczu, zniknie y uciecze.
Tak zwykł czynić gap chytry, o iutro nie pyta,
Każdey chwili, iak brzytwy tonący ſię chwyta.
Mądryby tak nie czynił; gap nie patrzy końca,
Nie dba że będzie błaznem, po zachodzie ſłońca.
Byleby choć na godzin kilka, przed wieczorem,
Mogł ſię ucieſzyć ſzczęścia, obłudnym pozorem.
Otoż widziſz iak ciężcy, na rozumnych tacy,
Są gapiowie, co chytrzy ſą, chociaſz proſtacy.

REGINKA.

Krotkoć odpowiem ręcząc, że iak w ſidło ptaſzka,
Ułowi dziś twoy Puſtak, Natrętnego Gaſzka.

STATECKI.

Cyt, Umizgalſki idzie: marſem patrzy, wąſa
Pociąga, a nim na mnie, iak ſum iaki trząſa.
Wprzod niby ſię go zlęknę, potym go poſtraſzę,
Smiech ſobie z niego zrobię, niżeli go zgaſzę.

SCENA DRUGA.

STATECKI, REGINKA, UMIZGALSKI.

UMIZGALSKI.

Gdzież ieſt ten śmiałek, ktory w żądz ſwoich zapale,
W moiey Modeście kochać, ważył ſię zuchwale,
Mam na kark iego oſtre, bułaty, y miecze,
Dozna iak ręka moia, zabiia y ſiecze,
Gdzie ieſt Statecki; abym dobywſzy bułata,
Jak świecę go zamachem, iednym zdmuchnął z świata.

Zginio-

Zginiony ieſt, á chyba że u nog mych klęknie,
Wſpaniałe ſerce moie od litości zmięknie.
Chyba że u ſtop moich, ſzukać będzie uſzy,
A u nich leżąc, moie miłoſierdźie wzruſzy.
Chyba że łzy wyleie, y rzewnie zapłacze,
A ięczeniem do mego ſerca zakołacze,
Dopiero ſię namyślę; ieźli go w pokoiu
Nie zoſtawię; krwi iego nie wylawſzy zdroiu.
Turczyn y Tatar, mego zna oſtrze pałaſza,
Ktorym nie raz Dnieſtr ręka zakrwawiła naſza.
Gdy oczyſzczaiąc z Pogan, obfite Podole,
Zkrapiałem nie raz buyne krwią Turecką role.
Kogoż tu widzę? nie ieſtże to ten zuchwalec?
Czyś ty ſam ieſt Statecki? czyś iego ſługalec?

R E G I N K A.

Statecki drzy ze ſtrachu, y wſzyſtek ſię chwieie,
Jak trzcina, kiedy na nią wiatr gwałtowny wieie.

U M I Z G A L S K I.

Tak właſnie drzał, Chocimſki Paſza pod Kamieńcem,
Gdym znoſząc go, zwycięzkim zdobił ſkronie wieńcem.
Krew Turkow do Stambułu, Dnieſtr przez czarne morze
Nioſł; y w ten czas mnie ſławił na Ceſarſkim Dworze,
W ten czas bramy Stambulſkie zadrzały trzęſieniem
Ziemi; czy mym zwycięzkim ztrwożone imieniem.

R E G I N K A.

Wſzak to w ten czas w Stambule, takie ſtrachy zdieły
Koguty; że przez trzy dni nie iadły, nie pieły.
Y w ten czas na kokoſze takie trwogi padły,
Ze trzy dni nie kwokały, y trzy dni nie iadły.

U M I Ż G A L S K I.

Tak było; ale z czego, ten tchorzem podſzyty,
Statecki, śmiać ſię zaczął, co wprzod ſtał iak wryty?

Jeżeli nie chce zginąć, niech mi u nog leże,
A Modesty na wieki, niech się odprzysięże.

STATECKI.

Smiecę się, że gdy iesteś, gap wielki, tchorz płochy,
Jaki, y podłe ludu szpecił by motłochy.
Chcesz się czynić Junakiem, kłamiesz tak szkaradnie,
Ze twe łgarstwo, naygrubszy rozum pozna snadnie.
Z niewyparzonych twoich ust, z szalbierskiey gęby,
Trzebaby ięzyk wywlec, powybiiać zęby.
Ostrzaś mey szabli nie wart, ale płazem boki,
Obłożę ci, pamiętne dam ci na dwa roki.

UMIZGALSKI.

Po tak nieznośnym mego honoru afroncie,
Na nielitość Waspana, poydę płakać w koncie.
Teraz mi męstwo moie, z serca wpadło w nogi,
Radzi mi, bym się prędko wyniosł, za te progi.
Gorzey tu, niż z Turkami, tam rany y krysy,
Nie bałem się, uzbroion w szyszaki, w kirysy.
Y tu od stop do głowy, uzbroy mię żelazem,
Nie ustraszysz mię pięścią, kułakiem, ni płazem.

STATECKI.

Nie poydziesz ztąd, aż dobrze obity y śiny,
Ja będę miał wesele, á ty przenosiny.
Gdzież to męstwo? ta dzielność? ktorąś Dniestr zakrwawił,
Ktorąś się pod Kamieńcem, y w Stambule wsławił?

UMIZGALSKI.

Utoneła mi w Dniestrze, ale ztąd krok skory,
Niosę, bo na straszliwe wiatry bardzom chory.
Z złego razu umykam, uchodzę odwodem.

REGINKA.

Uchodź, y z całym tchorzow Umizgalskich rodem!

Lecz patrzmy, bo bezwſtydnych ten zwyczay natrętow,
Jakich ieſzcze zażyie matactw y wykrętow.

SCENA TRZECIA.

STATECKI, REGINKA, PUSTAK.

PUSTAK.

Wiecie, że gdzie potrzeba, Puſtak wſcibi noſek,
Donoſzę wam, żem z pewnych zaſłyſzał pogłoſek,
Ze Natręt, gdy zmyślone bogactwa wylicza,
Przerobił na kopyto ſwe Staruſzkiewicza,
Obiecał ſto tyſięcy, zapiſać Modeście,
A on, nie ma kredytu, na trzy groſze w Mieście.
Uwiodł, y w ſidła ſwoie tak uwikłał Dziada,
Ze mu wierzy, że wielką ufność, w nim pokłada,
Ale teraz przyznacie, Puſtaka za mayſtra,
Obaczywſzy, co w ſobie ta zawiera tayſtra.
Wlazł w nią Pan Umizgalſki, y iuż tu w niey dyſzy,
Lecz niech tego ſekretu, nikt nie wie, ni ſłyſzy.

REGINKA.

Pokaż tayſtrę.

PUSTAK.

Czy nie wieſz tryb Warſzawſki, że tu,
Nie godzi ſię y żenie, wyiawiać ſekretu.
Ale niech Pan moy śmiele, do tey tayſtry ſięga,
Bo co w niey ieſt, y ſekret, do niego ſię ſciąga.

STATECKI.

Czytam: Ten liſt należy, do Dawida Kupca,
Umizgalſki go piſze; czytaymy liſt głupca:
Proſzę cię przyiacielu, zmyśl prędko liſt nowy,
Tym, co pierwſze, dowcipem, mądrey twoiey głowy.

Ze mi moy Woy mniemany, złotem w gotowiźnie,
Oprocz Dobr; ſto tyſięcy, zoſtawił w puściznie.
Przyſzliy mi go, za moment, ia gdy w lepszey dobie
Stanę; iak wezmę Poſag, udzielę go Tobie,
Umizgalski. Co czytam! znam rękę; ach Nieba!
Wam naprzod, za me ſzczęście podziękować trzeba,
Wam zawdzięczaiąc, mego łaſkawość wyroku,
Od cnoty y iednego nieodſtąpię kroku.
Kochany moy Puſtaku, odtąd aż do grobu,
Chybą rydel z motyką, rozłączy nas obu,
Daięć poczćiwe ſłowo, przed światem y Niebem,
Ze ſię z tobą oſtatnim dzielić będę chlebem.

PUSTAK.

Zły ten kontrakt; á Nieba niechay go przemienią,
Nie chlebem, dziel ſię ze mną, lecz tłuſtą pieczenią.

STATECKI.

Wſzyſtko to będzie, ale możnaſz ſię dowiedzić,
Jak ci ſzczęście zdarzyło, taki liſt wyśledzić?

PUSTAK.

O mędrca mnie rownego, trudno ſię dopytać,
Nikt na świecie nie umie, lepiey iak ia czytać.
W myślach zaś nikt nie tęższy, á iakem cnotliwy,
Powiem ci, żem y z charty y z ſtrzelbą myśliwy.
Myślić, czytać, te rzeczy dwie; ſą mędrcow kreſem,
Więcey nie umiał Plato, z Aryſtoteleſem.
Słuchay mych nauk; pierwſza ta myśl była moia,
Aby piękna Modeſta, była żona twoia.
Druga myśl ta, żem widział częſtego poſłańca,
Do Gaſzka, od Dawida Warſzawy mieſzkańca.
Trzecia myśl, że Pan Gaſzek, ſzalbierz oczywiſty,
Fałſzywe Dawidowi zmyślać kazał liſty.

Po tych myślach z weſołą y twarzą y czołem,
Wſzedłſzy do Pana Gaſzka, tak mowić poczołem:
Dawid, iuż mię do ciebie, poſyła trzy razy,
Pytaiąc, ieźli iakie nie daſz mu rozkazy.
On zaraz liſt napiſał, á poſpieſznym krokiem,
Kazał mi iść, y reſpons przynoſić, przed mrokiem.
Tak Puſtak mądry, w ciaſne wprowadził go ſudki,
Tak myślą wielcy ludzie, y tak łowią dudki.
Tu uważay mą grzeczność; u nog Gaſzka czapkę,
Z ukłonem Puſtak złożył, za to że wpadł w łapkę.
Poty myśli Puſtaka z ſzczęściem twoim ſforne.
Drugi przymiot w tym Mędrcu, czytanie wyborne.
Poſzedłem prędko z liſtem, do ſkrytego kątka,
Oddarłem papier w koło, gdzie była pieczątka.
Potym wciąż go czytaiąc, anim ſię zaiąknął,
A w kilkunaſtu wierſzach, tylkom raz odkrząknął.
Nigdy w Areopagu, lepiey nie czytano,
Kiedy całemu światu naukę dawano.
Nigdy z większą łatwością, liſty Cycerona,
Tullia Mowcy tego, nie czytała żona.
Jak Puſtak czyta, nikt tak czytaniem nie ſłynie,
Bo z uſt Puſtaka, ſłowo każde, niby płynie.
Puſtak nie chce być własnych ſwych przymiotow chwalca,
Ty ſam przyznay, iakiego maſz ze mnie ſłużalca.
Czy nie takiegoż, ktory o co ſpytaſz, powie,
A nigdy nie wie, co ieſt mowić, iak-ſię zowie.
Czy nie takiego; ktory gdy uſta odmyka,
Nigdy nie rzecze, mam to, na końcu ięzyka.
Twoy Puſtak gdyby Grekow zaſiągnął był lata,
Byłby poczytan między ſiedmią Mędrcow świata.

S T A T E C K I.

Tyś mi Mędrzec, przyiaciel, tyś mi ieden ze ſta,
Gdyś to zrobił, że moia dziś będzie Modeſta.

EKT

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

UMIZGALSKI, y MODESTA.

U M I Z G A L S K I.

SWiadczę ſię łzami, w ktorych zatapiam zrzenice,
Y ſercem mym, nieznośne cierpiącym tęſknice,
Że ſię w ſmutnych mych myślach zaſzlocham, zażalę,
Kiedy ſię choć na moment, od ciebie oddalę.
Teraz; gdy ſię pod twoie niſko ſkłaniam ſtopy,
Ociec twoy, zaraz za mną poſpieſza w też tropy,
Powie ci o mnie, lepſze niż przedtym nowiny,
Tak to odmienia ſzczęście, czas iedney godziny.
Spadki wielkie po moim y Wuiu, y Bracie,
Łzy moie oſuſzaią, po tych krewnych ſtracie;
Gdy mi na to twoy Ociec, kazał ſię ośmielić,
Abym ſię ważył z tobą niemi ſię podzielić.
Teraz; twey y Oycowſkiey łaſkawości wdzięczny,
Smiem pod twe nogi rzucić, zapis ſtotyſięczny,
Ufaiąc; że mym ſercem nie wzgardziſz, bo przecie,
Ma iakąś cenę ſerce w młodości ſwey kwiecie,
A w ten czas nayſzczęśliwſze, zwykły bywać ſwactwa,
Kiedy z niemi ſpołkuią młodość y bogactwa.

M O D E S T A.

Bardzo ſię myliſz, w twoim rachunku y zdaniu,
Gdy taxę kładzieſz ſercu, y cenę kochaniu,
Widzę twoy zły charakter; gdy z twemi przymioty,
Chełpiąc ſię, zapomniałeś między niemi cnoty.
Wiedz o tym; że z gornego Niebioſow wyroku,
Dwa ſerca naſze, tak ſą odmiennego toku.

Że choćby ich na świecie było tylko dwoie,
Nie mogłyby się ścierpieć, te serca oboie.
A nie masz tyle piasku w morzu, w lasach liści,
Jle iest w mym do twego serca nienawiści.
Gdy zaś za Oyca wolą, za Niebios zrządzeniem,
Już się Statecki, moim zaszczyca pierścieniem,
Wiedz o tym; że wzaiemne serc naszych zadatki,
Chyba życia naszego rozerwą ostatki.
O twych zaś ogniach mowić; masz moy zakaż groźny,
Inaczey; twą zuchwałość; przypłaci żal poźny.

UMIZGALSKI.

Doświadczasz serca mego, czy się twey nie wzdrygnie,
Niełaski, y w miłości swey, czy nie ostygnie.
Ale, pierwey się Wisły wspak obrocą biegi,
A Warszawskie porzucą, y osuszą brzegi.
Pierwey wodą zapalać będziem, gasić ogniem,
Niż się twą surowością, przełamiem, lub pogniem.
Jmeś na mnie do niełask, y do gniewu prętsza,
Tym iest w mym sercu miłość, Modesty gorętsza.
Bo mały ogień w straszne płomienie wybuchnie,
Gdy z impetem na niego, potężny wiatr dmuchnie,
To mię zaś nic nie trwoży, tylko mię zadziwia,
Ze Statecki, zamysłom moim się sprzeciwia.
Ktoż to iest ten Statecki, względem mnie, y czyli,
Na rowney z sobą szali będziem się ważyli,
Pogodziłbym się prędko, z takim Jegomością,
Gdybym nad iedną moią dał mu rządy włością.

MODESTA.

Ostrożnie o Stateckim mow; boć się poszczęści,
Jeźli twą gębę, iego nie uskromią pięści.

SCE-

SCENA DRUGA.

UMIZGALSKI, MODESTA, y STARUSZKIEWICZ.

MODESTA.

ACh Oycze! chceſz o tego natręta y tchorza
Mowić mi? nad to mię twoy rozkaż upokorza!

UMIZGALSKI.

Jm dłużey u nog twoich wzdychać mi ſię zdarza,
Tym większym ogniem miłość, ſerce me rozżarza,
A im bardziey mię twoia ſurowość zażali,
Tym większym żądz płomieniem, ſerce me ſię pali.
Teraz gdy mię twoiego Oyca pomoc wſparła,
Oczy me oſuſzyła, y łzy me otarła.
Szczęście chęciom mym ſprzyia iawnie y otwarcie,
Kiedy do Corki Oyca, ziednało mi wſparcie,
Młodość, rozum, bogactwa, zacność urodzenia,
Czynią mię przecież godnym, Modeſty weyzrzenia,
Jle; że winny twoiey hołd oddaiąc cnocie,
Pod twe nogi Dobr wſzyſtkich, rzucam dożywocie,
Z ſtem Tyſięcy zapiſu, nim więcey powoli,
Niebo mi, piękney świadczyć Modeście pozwoli.

MODESTA.

Prędzey bym ſobie zmiię, iaſzczurkę lub węża,
Niźli Umizgalſkiego obrała za męża.
Y z ſwoim dożywociem, y ſwoim zapiſem,
Niechayby z oczu moich, poſzedł ſobie z biſem.
Ten natręt uprzykrzony, ten oſzuſt wierutny,
Tyran, co na dwie piękne ſerca, ieſt okrutny,

Moiey

Moiey y Stateckiego, przeſzkadza przyiaźni,
Choć wie, że nic nie wſkora, iak na złość nas drażni.

STARUSZKIEWICZ.

Corko; z dziecińſtwa twego, uczyłem cię cnoty,
Chcąc w ſercu twym wkorzenić, chwalebne przymioty.
Cieſzę ſię, że Modeſta z mych nauk korzyſta,
Y że w niey iak dziedziczna ieſt, cnota Oyczyſta.
Widzę, że gdy do ciebie, Młodzian przyſzedł w ſwaty,
Wprzod pytaſz czy cnotliwy, potym czy bogaty.
Kiedy zaś Stateckiego, cnotom zalecenie
Sam dawſzy, zamieniłem ſam waſze pierścienie,
Wiem, że gdybym mu ſłowa niedotrzymać radził,
Pewniebym przez to cnotę, y Corkę mą zdradził.
Nię myślę o tym, krotkiey tylko ślubu zwłoki,
Ządam, niżli was złączą Niebieſkie wyroki.

M O D E S T A.

Filut co liſty zmyśla, ſzach co plotki ſieie,
Co w ſwych matactwach wſzyſtkie pokłada nadzieie,
Oſzuſt, co ſię zkądś wyrwał, od motłochu ludzi,
Tenże to me wyciſka łzy, twą cnotę łudzi?
Jego to takie ſztuki, płata mi złość wściekła,
Nikt nie wie, zkąd ten człowiek rodem, chyba z piekła.
Piſzeſz o Umizgalſkich Domie Herbarz Polſki?
Głuchy o nim Paprocki, y niemy Okolſki.
Nie zna go nikt w Warſzawie, Bankruta ma ſwata,
Dawida; a ſwe włości ma na końcu świata.
Wiem że przyſtoyność radzi, y z nią przyczyn wiele,
Bym ci ſię nie przykrzyła o prędſze weſele.
Niechcę przeczyć tey zwłoce, lecz niech mi ſię godzi,
Przełożyć ci przed oczy, co twey ſławie ſzkodzi.
Statecki wprędce tego, oſzuſta wyśledzi,
A ślub moy wieść o iego podłości uprzedzi.
Smiać ſię będą, że iedna oſoba tak podła,
Nas y na moment, ſzpetnym matactwem uwiodła.

SCENA TRZECIA.

STATECKI, STARUSZKIEWICZ, UMIZGALSKI, MODESTA. PUSTAK, REGINKA.

STATECKI.

Oycze pozwol! niech podłych sług Mistrzowych zgraia,
Na szubienicę tego prowadzi hultaia,
Czytay list, zważ, co zbrodnia tak szkaradna znaczy.
Potym dopuść, niech ginie Natręt, w swey rospaczy.

STARUSZKIEWICZ.

Widzę list; Umizgalski pisze, znam tę rękę,
Czytam; a iuż przeczuwam, mą hańbę y mękę.
Proszę cię przyiacielu, zmyśl prędko list nowy,
Tym, co pierwsze, dowcipem, mądrey twoiey głowy.
Ze mi moy Wuy mniemany, złotem w gotowiźnie,
Oprocz Dobr, sto tysięcy zostawił w puściźnie.
Przyślij mi go za moment, ia gdy w lepszey dobie,
Stanę, iak wezmę posag, udzielę go tobie.
Umizgalski. Hultaiu iakżeś się odważył!
Zebyś mą starość, sztuką tak szkaradną zażył.
Y nie bałżeś się srogiey gniewnych Niebios kary,
Gdyś chciał twoim oszustwem zhańbić wiek moy stary.

UMIZGALSKI.

Zginąłem; ale niech mię obronią od zguby,
Dzisieysze Stateckiego, z Corką twoią śluby.

MODE-

MODESTA.

Oycze ! pozwol niech Corka do nog twych ſię rzuci,
Niech nam kara Natręta, weſela nie ſmuci,
Zażyi litości, odpuść brzydkie przewinienie,
Będzie Umizgalſkiemu katem, złe ſumnienie.

STARUSZKIEWICZ.

Daruię wſzyſtko, bo wiem, że ſzachy y łgarze,
Okrutniey niżli kaci, złe ſumnienie karze.

PUSTAK.

Już Statecki z Modeſtą, odpędzili licho,
O Puſtaku z Reginką, dotąd ieſzcze cicho.

STATECKI.

Już nie będzieſz mym ſługą, ale przyiacielem;
Y z moim, twe z Reginką, chcę złączyć weſelem.

REGINKA.

Wielkie dzięki Waſzmości, za dobrą nowinę.
Lecz czy Umizgalſkiego uważacie minę?
Nicby to nie wadziło, bym tego Junaka
Zęby wzięła w prezencie od mego Puſtaka.
W nadgrodę, ktorym on dziś groził, poiedynku,
Chcę koniecznie od ciebie tego upominku;
Da mi zań Pani moia perełeczek ſznurek,
Nie boy ſię, wſzak maſz dobry, z piąciu palcow kurek.
Ten inſtrument, iak tylko ſilnie mu przyłożyſz,
Gładzey niż kurkiem, wraz mu ośm zębow wydrożyſz.
Zakręćno ſię Puſtaczku: zatrzey rękę: chuchni:
Nie ſtraſz go: nie męcz: gładko w ſame ząbki dmuchni.

PUSTAK.

Wtę mi gray. Umizgalſki, otworz trochę gęby,
Mey Regince twoie ſię podobały zęby.

Widziſz, że mam inſtrument dość zręczny y czyſty.
Lepſzego na twe dziąſła nie znaydzieſz dentyſty.
Otworz uſta:

UMIZGALSKI: *ściſnąwſzy zęby* :
Nie mogę: ścięły mi ſię ſzczeki.

R E G I N K A.

Ha! ha! ha! bądź że iuż tym, czym ieſteś na wieki.
My ſię cieſzmy: a każdy niech ginie ze ſzczętem,
Kto ſię waży, bydź w ſłodkiey miłości, Natrętem.

ZYCIE

ZYCIE CZŁOWIEKA.

NIeſzczęſny; co go Matka z bolem rodzi
Człowiek; płaczący na ten świat wychodzi,
A przeczuwaiąc złego przykrość loſu,
Łączy ze łzami, ſkargę ſwego głoſu,
Wyciſnąwſzy ſię, z wnętrzności więzienia,
Krotki ma moment wolnego wytchnienia.
Aż zaraz, ledwie widzące świat dzicie,
Złe ſzczęście w ſciſłe, krępuie powicie,
Doznaie daley, co ieſt los człowieczy,
Pokarmu żywność, wypłacze, wybeczy,
Wyżey y niżey noſząc go kołyſka,
Fortuna ſwoie zaczyna igrzyſka,
Z tą mu ſpokoyność, z tą mu ſen przychodzi,
Co młodych rowno z ſtarymi uwodzi.
Potym po ziemi, okrakiem ſię włuczy,
Głupie; za bidą ſwą chodzić ſię uczy,
Jdąc upada, płacze; przecież znowu,
Jdzie, ucząc ſię wracać do narowu.
Wnet nowym kſztałtem, nieſzczęście ſię zrzędza,
Jdzie z nim do ſzkoł, płacz, kłopot, y nędza,
Tam mu Bakalarz, bidy wymyſł nowy;
Z tyłu napędza, rozumu do głowy.
W czytaniu oczom niezwyczayna męka;
W piſaniu, co ſię nie nałomie ręka?
Tak go w męczarnię ciągnąc poniewoli,
Rozbiera członki, wymyślnie zła doli.
Potym nas w rożne z bidą zſyła ſtany,
Tym każe ſprawiać obſzary y łany,
Za pługiem wołow prac czyniąc oſtatki,
Pocić ſię, gmerząc w wnętrznościach ſwey Matki.

Tego

Tego w żołnierſkim chcący trzymać bycie,
Mieniać mu każe za groſz, krew y życie,
A w krwawym boiu, będąc zboycą śmiałym,
Krzcić okrucieńſtwo, nazwiſkiem wſpaniałym.
Trzeciemu zleca, nadſługiwać możnym,
Dworzanem biegłym, frantem być oſtrożnym.
Skarbiąc ſe łaſki, obłudne y zmienne,
Dni przykre, nocy przebywać bezſenne,
A ſpoſob życia, obrawſzy ſe podły,
Zebrać ſowitſzey iałmużny, przez modły,
Przeklinać ſzczęście, idące oporem,
Z prożną nadzieią, włoczyć ſię za Dworem.
Tym kupczyć, raniey wſtawać niźli zorze,
O deſkę z śmiercią puſzczać ſię na morze,
A za kawałek, giętkiey żołtey ziemi,
Zpuſzczać ſwe życie z burzami morſkiemi,
Innym iako mnie, żyć każe wiek nudny,
Piſząc wierſz, częſto oporny y trudny,
Gryść wargi, trudzić biedzące ſię myśli,
Przeklinać pioro, co niezręcznie kryśli,
A wymęczywſzy wierſz wypracowany,
Drukować boiazń pracy ſwey, nagany
Potym cierpliwie znieść, od lada żaka,
Ze praca wierſzow moich ladaiaka.
Wymyśla daley złe ſzczęście, gdy w parze,
Przed ſtraſzne Boga wiedzie nas Ołtarze,
A tam w przyſięgłą do śmierci niewolą,
Oddawać każe myśl, ſerce y wolą.
Y zwiodłſzy żonkę na powab zamęścia,
Dzielić z nią, troſki ſwoie y nieſzczęścia.
Dopieroż bieda, Małżonkow obſiędzie,
Uſzykowana w licznym dzieci rzędzie,
Mąż bieda, żona druga, to bied dwoie,
Z tych pełne będą młodych bied pokoie.

Jak wiele trzeba, pracy y ſtarania!
Do uczciwego dziatek wychowania.
Co ſię Małżeńſtwo nakłuci, natrudzi?
Zeby też w Domu było, iak u ludzi.
Zeby dziecięciu zoſtawić doſtatki,
Co trzeba pracy, y Oyca y Matki:
Niebacznych, że groſz przyſzły z potem czoła,
Uroni ſyna ochotka weſoła,
Y tyſiąc złotych wyoranych z pola,
Jedna zle grana ſtraci Pancerola.
Jeſzcze złe ſzczęście, y los kłopotliwy,
Męczy ſię z nami, chociaż iuż włos ſiwy,
Y do zachodu nachylone lata,
Bliżſzemi czynią, gornego nas świata.
Złe ſzczęście z ſtarych, wyprawia maſzkary,
Siodła nam noſy, kładąc okulary.
Oczom okienkiem patrzyć każe ſzklanym,
Na ſzczudle nogom, przywyknąć drzewianym.
A nim nas w ziemię, Boſki wyrok zaſzle,
W lecie ſłabości, w zimie cierpieć kaſzle,
A popruchniałe utraciwſzy zęby,
Zawczaſu w ziemi ſkładać, kości z gęby.
Aż też nas z koſą, chuda śmierć przydybie,
Jdź rzeknie, zkądeś wyſzedł, ſtary grzybie.
Mrzemy; a mały przyczynek z nas Ziemi
Przybywa, kośćmi w proch obroconemi.
Mieści ſię człowiek, wynioſły y dumny,
W pięciołokciowey kilku deſkach trumny.

O ROWNOSCI SZCZĘSCIA DOCZESNEGO.

POrzućmy błędy, á poſpolſtwa zdaniem,
Y gminu ludzi pogardźmy mniemaniem,

A ſzczęścia, ktore lud ſamemu Państwu
Przywłaſzcza, rownie udzielmy Poddaństwu,
Y wſzyſtkich ſtanow, rowną twierdząc dolę,
W iednakim ſzczęściu, kładźmy Tron y rolę.
Niebom powinne, ſpiewaiąc pochwały,
Ze nas mieć wſzyſtkich ſzczęśliwemi chciały.
Nayczyſtſzą z Bogiń, Damo bez obłędy,
Co cię czczą Mędrcy, á wzgardzaią ludy,
Prawdo; udzielna wſzyſtkich nauk Pani,
Przyim wierſz moy, na znak poddaństwa y dani.
Nie opowiem ſię, z nim Apollinowi,
Ani uczynię ofiar Parnaſowi,
Dość będzie wierſz moy, chwalnym y ſzczęśliwym,
Gdy będzie twoim, gdy będzie prawdziwym.
BOG ieſt nas wſzyſtkich Ociec, z iedney Matki,
Z ziemi zlepieni, rodzoneśmy dziatki,
Każdy z nas, iednym ſpoſobem ſię rodzi,
Każdy przez wyiście duſzy, z świata ſchodzi.
Po śmierci, każdy z nas w proch ſię obraca,
A ciało ziemi, duſzę Bogu wraca.
W życiu też czyny duſzy, zmysłow, ciała,
Wſzyſtkim iednakie moc Boſka nam dała,
Za cożby, ſzczęścia nieiednakie miarki,
Mieliśmy? poki nie ſprzątną nas Parki.
Y czemby w ſzczęścia ukrzywdzony dziele,
Jeden go mało człek miał, drugi wiele?
Nie wiem, z iakieyby naſz Ociec przyczyny,
Nie rownym ſzczęściem, podzielił ſwe ſyny?
A z iedney gliny, zlepiwſzy ſtworzenie,
Temu dał radość, temu utrapienie?
Y przywiązawſzy, ſzczęście do Korony,
Przeklął niedolą, pługi y zagony?
Ten Pan, co nie zwykł czynić oſob braku,
W czapce, w Koronie, w magierce, w Szyſzaku,

Nie

Nie umknął ludziom ſzczęścia, a na Tronie,
Nie dał go więcey, niźli na zagonie.
Y chcąc ſzczęśliwych, mieć kmiotkow y Panow,
Nie przywięzywał ſzczęścia, do ich ſtanow.
Rowna weſołość, śmiertelnym ſię zdarza,
W komorze chłopka, y w Zamku Ceſarza,
A radość, Panow nawiedzaiąc gmachy,
Zawita częſto y pod wieyſkie dachy.
Oracz co radląc uznoi ſwe ſkronie,
Szczęśliwy może bydź, iak Krol w Koronie,
Y paſtuch, co go pożywi podarſze,
Może w ſwym ſzczęściu, wyrownać Monarſze.
Widziſz, to Niebios ſklepienie tak śliczne,
To iaſne Słońce, te gwiazdy tak liczne,
Mieſiąc, ſąſiada ziemi, co promienie,
Wzięte od Słońca, w naſze zſyła cienie.
Ta, co ſię oczom, przymila y wdzięczy,
W rożne kolory, ſtroyney piękność Tęczy.
Wſzyſtkie te światła, rzucaią iednaki
Blaſk między Krolow, y między żebraki.
Gdy ſię zieloną świat odzieie wioſną,
Gdy śpiewa ſłowik pioſneczkę żałoſną,
Gdy nowym głoſem kukułka zakuka,
Gdy drzewo niby z radości ſię puka,
Te łąki ſtroyne y w ziołka y w kwiatki,
Te choyney ziemi obfite doſtatki,
Krolow y kmiotkow, patrzącemu oku,
Rowny wdzięk czynią, z Boſkiego wyroku.
Jednym przeraża huczny obłok grzmotem,
Krola na Tronie, y chłopka pod płotem,
A kiedy poſzle głos ſtraſzny do ucha,
Piorun Ceſarza trwoży, iak paſtucha.
Gdy zaś ſwą wagą, y mocą gdzie zmierzy,
W Tron, czy w chałupkę, bez braku uderzy.

Zarowno ziębią, y wiatry y burze,
Chłopow w fiermiędze, y Xiążąt w Purpurze.
Pafterz; gdy lubey y piękney Pafterce,
Z miłofną twarzą, odda fwoie ferce.
A na znak dobrze przyiętey miłości,
Z uft iey ufłyfzy, fłowko wzaiemności.
Więcey radości, w fwym fercu uczuie,
Niż Krol, gdy wielkie Państwa zawoiuie.
A gdy fię z fwoią kochanką wyfwata,
Za nic poczyta fobie refztę świata.
Tęfknią Krolowie na Tronach, a kmiotka,
Ucieszy lada kiermafz, y ochotka.
Xiążęta dworem otoczeni wkoło,
Nofzą pod Mitrą, zafępione czoło.
A chłopek, z iednym w ftodolę parobkiem,
Cieszy fię miłym rąk fwoich dorobkiem,
Y kilkanaście kop rachuiąc w gumnie,
Doftatkiem Krolow pogardza rozumnie.
BOG nafz y Ociec, chciał nas mieć na ziemi,
Nie wfzyftkich Krolmi, wfzyftkich fzczęśliwemi,
Radość z pociechą, w każdym daiąc ftanie,
Wymierzył rownie ukontentowanie.
A mocą, ktorey pioro nie okryśli,
Zamknął ie w fercu każdego, y w myśli.
Y kazał, żeby poty w nas mieszkało,
Poki fię z dufzą nie rozłączy ciało.
To fzczęście, ktore dał nam wyrok Bofki,
W prawdzie częftokroć, przeplataią trofki,
Ale te, nafzą fprawione robotą,
Wfzyftkich iednaką trapią nas gryzotą,
Y kłopot, ktory fam fobie człek knuie,
Serce tak Krola, iak kmiecia poczuie.
A w błędzie fwoim, poftrzegłfzy fię obie,
Szukaią fzczęścia, y znaydą ie w fobie,

Ow więzień wzięty do taczek w kaydany,
Przeklina zrazu, los ſwoy opłakany.
Aż ſię z rozumem poznawſzy powoli,
Smieie ſię w więzach, y śpiewa w niewoli.
W ten czas, gdy Xiąże błyſzczący w kleynotach,
W prożnych taiemnie trapi ſię gryzotach,
Tamten ſzczęśliwy, w więzach y ſiermiędze,
Ten wſzyſtek w złocie, ſkryte cierpi nędze.
Tak, w każdym ſtanie, na każdym urzędzie,
Szczęście ieſt, ale y nieſzczęście wſzędzie.
Swiat ieſt iak morze, a na rowney łodzi,
Wſzyſtkim do portu, płynąć nam ſię godzi.
Ten port ieſt ſzczęście, Rozum ſtyrem rządzi,
Kto z nim żegluie, na morzu nie zbłądzi.
A chodź rzucaią łodkę iego fale,
Nie rozbiie ſię na zdradliwey ſkale.
Y choć ſię trafi, że powſtawſzy nagle,
Burza pozrywa, y podrze mu żagle,
Wnet iego ſtyrnik Rozum, ſkały minie,
A żeglarz z łodką do brzegu zawinie.
Ten zaś, co w płochym żądz ſwoich uporze,
Puſzczać ſię waży, bez wiosła na morze,
A nie radząc ſię wiernego ſtyrnika,
Rozumu, nurtow y ſkał nie unika,
Czy Krol, czy Xiąże, czy chłop na zagonie,
Nieſzczęſny płynie, y łodź mu utonie.
Od iedney świata, aż do drugiey osi,
Każdy człek, w ſercu ſwoim, ſzczęście nosi,
A ten dar Niebios w duſzę naſzę wlany,
Rownie podzielił Pan BOG między ſtany.
Rządź ſię rozumnie, ſprawuy ſię poczciwie,
A w każdym ſtanie żyć możeſz ſzczęśliwie.

GAY.

GAY.

Ty, co w słonecznym, chłodzisz nas upale,
Zpotniałe w cieniach osuszaiąc czoła,
Co cię w zwierciedle, czystych wod krzysztale,
Natura stroi, w drzewka, w kwiatki, w zioła,
Co straconego, część piękności Raiu,
Pokazuiesz nam, rozerwi mię Gaiu.

Tam ściany z drzewek, sporządza natura,
W zielone z liścia, stroiąc ie obicie,
Dach śliczna czyni gałęzi struktura.
Podłogę kwiatem uściela obficie.
Y iak w pałacach, mieć muzykę moda,
Tam śpiewa słowik, a szumem gra woda.

Tam niepłatnego potrawy kucharza,
Owoce w liczney rodzaiow rożności,
Ziemia gotuie, a Słońce dowarza,
Drzewa przynoszą, częstuiące gości.
Ktorym natura, że z ochotą rada,
Uczta od Czerwca, trwa do Listopada.

Od morza wyszłe, daie im napoie,
Co się przez ziemię, do morza przechodzą,
Zywe, y w biegu, nie ustanne zdroie,
Co nas, nad inne trunki, bardziey chłodzą.
Ktorych piy co chcesz, byś był w nich kąpany,
Z tak choyney uczty, nie poydziesz piiany.

Ty gaiu, żal moy, rozryway serdeczny,
Otuchą szczęścia, ciesząc los okrutny,
Ze affekt Jris, znać będę społeczny.
Ze czas wesoły, zluzuie czas smutny.

A nim

A nim twe liście, ieſienny wiatr zwieie,
Niech ſzczęścia mego ſpełnią ſię nadzieie.

ZRZODŁO.

Ty, co weſołość, w ſmutne wlewaſz Kraie,
Co z biegiem twoim piękność łąkom płynie,
Co miłym graiąc ſzumem, zdobiſz gaie.
Co wnoſiſz iakąś przyiemność, w puſtynie.
Wdzięczen ochłody, w gorącu y w znoiu,
Wierſzopis śpiewą, chwały twoie zdroiu.

Milſze ſą brzegi,
Ktore twe biegi,
W zwierciedle ſwoim ſtroią,
Czyſta twa woda,
Piękności doda,
Kwiatkom, co ſię z niey poią.

Kiedy ſe ſzczupak, igra w tym ſtrumieniu,
A wraz twe wody, ſłowik przelatywa,
Zadaieſz, miłą wątpliwość widzeniu,
Czy ryba leci, a ptaſ k czy pływa?
Tam wzrok złudzony , przyiemnym zawodzie,
Rybę na drzewie wi , ptaka w wodzie.

W gorączce ſerca, w miłości zapale,
Ciebie ſię radzą, y ſtarzy y młodzi,
W twym, przezroczyſto płynącym krzyſztale,
Kto wart kochania, obaczyć przychodzi.
A choć iſtotnie, pokazuieſz twarzy,
Młodzi cię chwalą, a ganią cię ſtarzy.

Wier-

Wierſzopiſowi, w pracy ſwey nadgrodę,
Na dowod twoiey wyświadczyſz wdzięczności,
Gdy śliczną będzie przeglądać urodę,
Jris, ſzpeć oſtrey minę ſurowości,
By znaiąc, że ſię twarz iey gniewem zmienia,
Łaſkawſze na mnię rzucała weyrzenia.

ŁĄKA.

Co twe o lepſzą, y ziołka y kwiatki,
W zgodney rożności zgromadzone licznie,
Wdzięczne rodzącey ſtroią łono Matki,
Co cię w kolory ubieraią ślicznie,
Przyiemna łąko patrzącemu oku,
Niechay ſię z twego naciеſzę widoku.

Tam ſe byk młody,
Bieżąc w zawody,
Obſzerne mierzy pole,
Rog wyraſtaiąc,
Z wołkiem igraiąc,
Do Krwi ieſzcze nie kole.

Pierś wyprożnioną,
Tam napełnioną,
Matka cielenciu daie,
Tam trzodzie trawę,
Oku Zabawę,
Paſterz widzący ſtaie.

Na dnie zielonym, rozrzucane ładnie,
Kwiatki, na ukaz daiąca y wzory,
Natura, uczy dobierać nam ſnadnie,
Y w piękną zgodę, iednoczyć kolory,

Tak